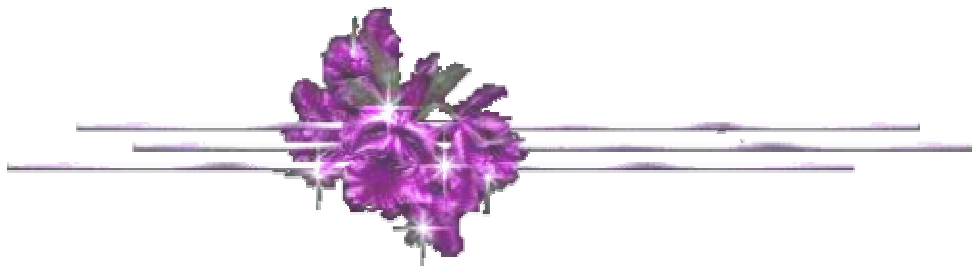




MARIE FERRARELLA



Pełnia szczęścia

ROZDZIAŁ 1

Gdzie jesteś? - zapytał.

W odpowiedzi spojrzały na niego ciemne, lśniące oczy, tak bardzo podobne do jego własnych. Cade Townsend poczuł, że znowu ogarnia go rozpacz.

Powiódł opuszkami palców po twarzy syna - jak ślepiec, usiłujący odczytać rysy twarzy stojącego przed nim dziecka.

Jednak zamiast miękkiej, gładkiej skóry i delikatnych krągłości buzi trzylatka, palce jego napotkały zimną, twardą taflę - szybkę, za którą widniała fotografia Darina.

Panującej wokół ciszy nie zakłócał dziecięcy śmiech. Od trzech lat śmiech ten dźwięczał już tylko w pamięci Cade'a. Właśnie dziś miały dokładnie trzy lata od chwili, gdy usłyszał go po raz ostatni.

Dziś były urodziny Darina.

W dzień taki jak dziś utracił synka.

Wspomnienie tego dnia nigdy nie zbladło w jego pamięci. Wręcz przeciwnie - z każdym dniem utrwalalo się i nabierało coraz żywszych barw. Zabrał wtedy Darina do wesołego miasteczka, żeby uczcić jego urodziny. Były tam huśtawki, koleжки i karuzele, a także masa hałasu i głośnej muzyki. Darin nie wiedział, w którą stronę najpierw popatrzeć. Wszystko go fascynowało. Cade uśmiechnął się z dumą do chłopczyka na fotografii. Dzieciak miał umysł jak gąbka. Chłonał wszystko, wszystkim się interesował. Był dla niego szczególnym darem niebios, zwłaszcza odkąd zabrakło Elaine.

Zgodnie z jego życzeniem, dzień ten miał należeć tylko do nich obu. Cade planował zaprosić gości później, ale nigdy do tego nie doszło.

Dni, które nastąpiły potem, wypełnione bez reszty rozpaczliwymi poszukiwaniami syna, zmieniły życie Cade'a w niewyobrażalny koszmar. W jednej chwili plany kariery literackiej legły w gruzach. Potem odkrył, że alkohol przynosi mu chwilowe zapomnienie. Na szczęście ocknął się w porę. Wspomnienie ojca, nałogowego pijaka, który w wieku trzydziestu dwóch lat skręcił sobie kark, przywiodło go do opamiętania.

W którymś momencie zrozumiał, że nawet w tak tragicznej sytuacji można próbować zrobić coś dobrego dla innych. Wtedy właśnie założył w południowej Kalifornii agencję detektywistyczną, trudniącą się poszukiwaniem zaginionych dzieci - porwanych lub takich, które uciekły z domu - i umożliwiającą im powrót do rodziny. Odniósł sukces.

Cade'owi oraz jego dwóm współpracownikom udało się odszukać wszystkie dzieci, których odnalezienie zleciły mu ich rodziny.

Wszystkie, prócz Darina.

Syn, z powodu którego założył tę agencję i który dawał mu impuls do życia, wciąż znajdował się na liście zaginionych.

Był taki czas, kiedy Cade doszedł do wniosku, że walczy z jakimś urojonym przeciwnikiem, gdy tak naprawdę jego największym wrogiem była rozpacz. Kiedy, słaby i udręczony, nie potrafił się jej przeciwstawić, zaczynał niemal wierzyć, że jego syn raz na zawsze zniknął z powierzchni ziemi. Był wtedy o krok od całkowitego załamania. Brał się w garść, pokonując słabość i ból, ponieważ wiedział, że to jedyny sposób, jeśli nadal chce funkcjonować i być komukolwiek potrzebny.

W dni takie jak ten, kiedy wspomnienia nachodziły go ze wzmożoną siłą, trudno było nie poddać się cierpieniu.

Tylko co mu to da, jeśli będzie użalał się nad sobą? - pytał w myślach sam siebie.

Ciche chrząknięcie uświadomiło mu, że nie jest w biurze sam. W progu stała jakaś kobieta. Szczupła, wysoka, o ciemnokasztanowych włosach, otaczających jej bladą twarz, na której malowało się zniecierpliwienie. Musiała stać tam już przez dłuższą chwilę, obserwując go, póki nie doszła do wniosku, że pora przerwać jego rozmyślenia.

Z odziedziczonym po babce Indiance kamiennym spokojem, którym nauczył się posługiwać jak orężem, Cade odstawił fotografię na biurko, gdzie załśniła w promieniach popołudniowego słońca. Dopiero gdy uznał, że umieścił ją na właściwym miejscu, podniósł wzrok na ciemnowłosą kobietę.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytał, unosząc się lekko z krzesła.

McKayla Dellaventura niecierpliwie machnęła ręką w stronę korytarza.

- Pańska sekretarka powiedziała, że mogę wejść.

Cade uniósł brwi.

- Nie ma mojej sekretarki. Zachorowała.

- Taka blondynka - dodała, uznając, że Cade będzie wiedział, o kogo chodzi.

- Ach, to Megan, moja współpracownica.

Megan Andreini, agentka specjalna, związana z jednostką, która prowadziła poszukiwania Darina, z powodów osobistych porzuciła pracę w Federalnym Biurze Śledczym i przeszła do jego agencji. Po roku dołączył do nich Sam Walters, były policjant, a całkiem niedawno pojawił się młodszy brat Megan, Rusty, świeżo upieczony absolwent college'u z podwójną specjalizacją z kryminologii i prawodawstwa. Pracy mieli coraz więcej - zrozpaczone rodziny zlecały im poszukiwania zaginionych pociech, a oni starali się wywiązać jak najlepiej ze swego zadania. Efekty ich zabiegów były różne, tak jak i okoliczności, w jakich znikwały dzieci, i trudności, jakie napotykali w swojej pracy.

Cade wskazał na krzesło po drugiej stronie biurka.

- Proszę, niech pani siada.

Kobieta przycupnęła na brzegu krzesła. Widać było, że jest bardzo zdenerwowana. Nie zdziwiło go to. Ci, którzy szukali pomocy w agencji, często znajdowali się w skrajnej rozpaczce i nierzadko nie wstydzili się płakać przed obcym człowiekiem. Wraz z zaginięciem dziecka ich życie legło w gruzach.

Siedząca przed nim kobieta nie wyglądała na osobę skłoną do łez. Jeżeli już, to raczej na matkę, gotową rzucić się z gołymi rękami na tych, którzy porwali jej dziecko. Urzędując za tym biurkiem, nauczył się trafnie oceniać charaktery. Dlatego w swojej klientce z miejsca rozpoznał nieustępliwego wojownika.

- Nie wiem, od czego zacząć.

Do tego także zdążył już się przyzwyczaić.

- Wszystko jedno - powiedział łagodnym tonem. - Później to sobie poukładamy.

- A kiedy wciąż była niezdecydowana, dodał: - Może pójdzie nam łatwiej, jeżeli zaczniemy od tego, że mi się pani przedstawi.

Mac poczuła się jak ostatnia idiotka. Jak mogła o tym zapomnieć? Chyba tylko dlatego, że nigdy dotąd nie znalazła się w takiej sytuacji.

Skinęła głową i powiedziała:

- No tak, rzeczywiście. Nazywam się McKayla Dellaventura. Doktor McKayla Dellaventura - dorzuciła, jakby ten tytuł, który kosztował ją tyle wysiłku, miał drugorzędne znaczenie. - Jestem dentystką... - Urwała, uznając, że przecież to nie ma znaczenia. - Przepraszam, ale to wszystko jest takie trudne. Mam w głowie kompletny mętlik.

Cade znał to uczucie i wiedział, że będzie towarzyszyło jej tak długo, póki znów nie połączy się ze swoim zaginionym dzieckiem. Wolał jej jednak tego nie mówić.

- Niech się pani nie spieszy - powiedział uspokajająco. Zsunęła się na sam brzeżek krzesła.

- Niech mi pan pomoże odnaleźć moją siostrzenicę. Została porwana.

Z kieszonki na piersi Cade wyjął zniszczony notes w skórzanej oprawie i otworzył go na nowej stronie. Nim znowu podniósł wzrok, zapisał coś. Potrzebował całej masy szczegółów i musiał pomóc tej kobiecie w dostarczeniu mu niezbędnych informacji.

- Na jakiej podstawie sądzi pani, że siostrzenica została porwana?

- Na jakiej podstawie? - Mac gorzko się roześmiała. - Mamy wszelkie podstawy, żeby tak przypuszczać. - Nagle zawrzała gniewem. Jakim trzeba być potworem, żeby porywać dziecko z miejsca wypadku? - To półtoraroczna dziewczynka, sama nie potrafiłaby jeszcze odjechać - dodała.

Odetchnęła głęboko raz i drugi i trochę się uspokoiła. Brat zawsze ją ostrzegał, że swoim niewyparzonym językiem gotowa napytać sobie biedy. Uśmiechnęła się przepaszająco.

- Przepraszam, że się uniosłam. To przez te ostatnie przeżycia. - Przeczesała palcami włosy. - Dwa dni temu moja siostra miała wypadek. Kiedy przyjechało pogotowie, jeden z lekarzy powiedział jej, że ze względu na doznane obrażenia dziecko może potrzebować bardziej wyspecjalizowanej opieki, niżby to mógł zagwarantować miejscowy szpital. Potem wezwał drugi ambulans, który miał ją zabrać do Mission Memorial Hospital. - Jej zielone oczy pociemniały. - Rzecz w tym, że ten drugi ambulans nigdy nie dotarł z Heather do szpitala.

Wciąż miała w pamięci to pełne osłupienia niedowierzanie, jakie ogarnęło ją, kiedy przyjechała do Mission Memorial, żeby się dowiedzieć o stan zdrowia dziecka. Irytację, która przerodziła się w paraliżujący lęk. Doskonale pamiętała też rozmowę telefoniczną ze swoimi rodzicami, którym musiała przekazać wiadomość o zaginięciu ich jedynej wnuczki. Wreszcie, chcąc oszczędzić rodziców, to także ona musiała powiedzieć o tym siostrze. Nigdy nie zapomni uczucia bezradności, z jakim patrzyła na szlochającą Moirę.

Męka, jaką wszyscy odczuwali, była nie do zniesienia. Dlatego postanowiła, że albo odnajdzie Heather, albo polegnie w tej walce.

Spróbowała się opanować i mówiła dalej:

- O ile nam wiadomo, ambulans został skradziony lub uprowadzony. -

Nachyliła się nad biurkiem i wbiła wzrok w Cade'a. - Chcę, żeby pomógł mi pan odnaleźć Heather, i to jak najszybciej.

Było jeszcze wiele pytań, które musiał zadać.

- Czy pani siostra... - zaczął.

Uprzedzając jego pytanie, Mac poderwała się z krzesła.

- Moira leży w Harris Memorial Hospital i uważa, że nie ma już po co żyć. -

Dzieliła je różnica zaledwie dwóch lat i rozumiały się bez słów. Moira była najdelikatniejszym dzieckiem w rodzinie. Nieśmiałą pięknnością, tak różną od wojowniczej Mac. Mimo różnicy charakterów łączyła je głęboka miłość i Mac zawsze starała się chronić swoją łagodną siostrę. - Rodzina wyznaczyła mnie, żebym występowała w jej imieniu.

- Rodzina? - Mimo ponurych okoliczności Cade nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. To zabrzmiało zupełnie jak w starym filmie o mafii.

Mac zaczęła się niecierpliwić. Od dwóch dni dreptała w miejscu, a wiedziała, że upływający czas działa na ich niekorzyść, zmniejsza szansę odnalezienia siostrzenicy. A ona tak bardzo chciała zrobić coś konkretnego. Pożytecznego. Chciała odszukać Heather, zanim stanie się jej krzywda. Bała się nawet pomyśleć o tym, że może już ją to spotkało.

- Mój ojciec, matka, bracia, siostra - po prostu rodzina - powtórzyła wyzywającym tonem.

Nie było żadnych wątpliwości. Miał do czynienia z osobą impulsywną. Sam był z natury metodyczny i zrównoważony, uznał więc, że konieczny jest pewien kompromis. I to z jej strony, bo on nie zamierzał zmieniać własnych, wypróbowanych metod pracy.

- Dostali państwo jakiś list? - zapytał.

Brak jakiegokolwiek wiadomości nie oznaczał w tym wypadku nic dobrego.

- Heather zniknęła. Czy to nie wystarczy?

Ta kobieta była zdecydowanie inteligentna, tylko stanowczo zbyt niecierpliwa.

- Chodzi mi o to - zaczął spokojnie, jakby mówił do dziecka - że ten ktoś, kto uprowadził ambulans, mógł zrobić to z zupełnie innych powodów. Może wcale nie wiedział, że jest w nim pani siostrzenica, i odkrył to dopiero po fakcie.

Mac poczuła na plecach zimny dreszcz. Nie wiedziała, czy to lepiej, czy gorzej, ale nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Teraz liczyła się każda chwila.

- Jakkolwiek by było, dziecko zniknęło.

- Ma pani rację - przyznał. - Ale jeśli porywacze chcieli ukraść ambulans, a nie dziecko, jest duża szansa, że zostawią pani siostrzenicę w jakimś bezpiecznym miejscu, tak żeby można ją było szybko odebrać i zwrócić rodzicom.

Mac pomyślała, że taka perspektywa też jej nie uspokaja. Małeńka Heather, zostawiona gdzieś na jakimś pustkowiu - lepiej nawet tego sobie nie wyobrażać.

Czując, że ogarnia ją rozpacz, postanowiła wyłożyć karty na stół.

- Nie chciałabym się powtarzać jak stara płyta, panie Townsend, ale muszę panu przypomnieć, że podczas gdy pan snuje swoje teorie, mojej siostrzenicy wciąż nie ma. - Szybko streściła mu dotychczasowy przebieg wydarzeń. - Policja próbuje zlokalizować ambulans wraz z załogą, ale jak na razie bez skutku.

- Zobaczyła, jak Cade otwiera usta, i uprzedziła go, dodając:

- Wiem, że robią, co mogą, więc proszę mi oszczędzić kazania. Wiem też, że mają tyle innych spraw na głowie. Nie mogę im mówić, co mają robić.

Cade pomyślał, że energiczna doktor McKayla Dellaventura z całą pewnością próbowała komenderować policją w Bedford, w stanie Kalifornia, tylko jej się nie udało, i to nie dlatego, że się nie starała.

- Uważa pani, że mnie może mówić, co mam robić? Mac nie zauważyła błysku rozbawienia w jego oczach.

- Skoro panu płacę, mogę chyba wymagać.

Z reguły w kontaktach z ludźmi nie była aż tak obcesowa. Ale teraz, gdy w grę wchodziła tak wysoka stawka, uznała, że nie musi pamiętać o dobrych manierach.

Cade przyglądał jej się przez chwilę, a potem powiedział ze spokojem:

- Może pani wymagać, żebym zrobił wszystko w celu odnalezienia Heather. Natomiast nie może pani ode mnie żądać, żebym słuchał jej rozkazów. Prowadzenie śledztwa należy do mnie oraz do ludzi, którzy pracują w mojej agencji. Pani płaci za poszukiwania, a nie za to, że będzie nimi dowodzić. - Spojrzał na nią, żeby się upewnić, czy dobrze go zrozumiała, ale nie potrafił wyczytać tego z jej twarzy. - Ma pani jakieś pytania?

Mac pomyślała, że sama się o to prosiła. Nikły uśmiech przemknął przez jej twarz.

- W każdym razie nie muszę mieć wyrzutów sumienia, że byłam niegrzeczna, kiedy tu weszłam.

Cade odpowiedział uśmiechem. Może zachował się dość szorstko, ale czuł, że tak było trzeba.

- To nie miało być kazanie.

Potrząsnęła głową. Kasztanowe włosy rozsypały się jej na ramionach.

- Moje uczucia się tu nie liczą. Liczy się tylko to, żeby jak najszybciej odnaleźć Heather. I to żywą - dodała z naciskiem, a potem na moment przerwała. - Mam takie okropne przeczucie, że jeśli nie odzyskamy jej zaraz, to już nigdy jej nie znajdziemy.

Był to oczywiście powszechnie znany fakt, że im więcej czasu upłynęło od momentu porwania, tym mniejsza była szansa na odnalezienie zaginionego dziecka. Wspomnienia bladły, ludzie zaczynali zapominać. Fakty myliły się, dowody ginęły, wskazówki bywały przeoczone.

- Jeżeli nie znajdziemy Heather - ciągnęła, starając się nie myśleć, co oznaczałoby to dla niej i reszty rodziny, nie mówiąc już o siostrze - Moira tego nie przeżyje. - Była o tym przekonana. Życie Moiry wisiało na włosku.

- Moira to pani siostra, tak? - zapytał.

- Moja siostra - powtórzyła, kiwając głową i dopiero wtedy dotarło do niej, że zapomniała mu powiedzieć, jak nazywa się jej siostra. - Nazywa się Moira McGuire.

Mac wyprostowała się, jakby nagle urosła, i spojrzała na Cade'a przenikliwie.

- Weźmie pan tę sprawę?

Słuszne pytanie. O ile w ogóle było to pytanie, w uszach Cade'a zabrzmiało raczej jak rozkaz. Nagle zrozumiał, że niełatwo będzie odmówić tej kobiecie.

- Wszyscy moi pracownicy są aktualnie zajęci - zaczął.

- Nie pytałam o nich, tylko o pana - przerwała mu apodyktycznym tonem. - Ja, to znaczy moja rodzina - poprawiła się, choć to ona wyszukała jego agencję i przysłała do niego z tą sprawą - no więc, chcielibyśmy, żeby to pan się tym zajął.

Wiedziony lojalnością zapragnął powiedzieć jej parę słów w obronie wspólników, z których każdy był przecież doskonałym fachowcem, ale porzucił ten zamiar, czując, że rozmawia z osobą głuchą na wszelkie argumenty. Najwidoczniej podjęła już decyzję. Zresztą, dlaczego miałby sugerować, że nie weźmie tej sprawy? Tak się akurat złożyło, że w tej chwili jako jedyny z całej agencji był do wzięcia.

Skinął potakująco głową i zaczął jej tłumaczyć:

- Wczoraj wieczorem zamknąłem ostatnią sprawę...

- Świetnie, zatem jest pan wolny.

Ta kobieta musiała chyba przejść jakieś przeszkolenie wojskowe. Chyba lepiej się od razu poddać. Z drugiej strony, miał absolutnie dosyć wszystkiego. Był wykończony fizycznie i psychicznie. Tak naprawdę marzył już tylko o jednym - żeby pojechać na urlop. Wiedział jednak, że nawet jeśli pojedzie na koniec świata, nie uda mu się uciec przed samym sobą. Siedzenie z założonymi rękami i wpatrywanie się w fotografię Darina wpędziłoby go w szaleństwo. A jeśli postrada zmysły, nikt nie będzie miał już z niego żadnego pożytku. Także Darin, kiedy go w końcu odnajdą.

Kiedy, nie jeśli.

Cade trzymał się tej wątej nici nadziei równie mocno, jak to doradzał swoim klientom. Różnica była taka, że podczas gdy ich statki dopłynęły w końcu do portu, jego wciąż błąkał się gdzieś po bezmiarze oceanu.

Nim udzielił odpowiedzi, patrzył przez dłuższą chwilę na siedzącą przed nim kobietę. A potem lekko się uśmiechnął.

- Zachowuje się pani, jakby była jedynaczką. Zaskoczona nagłą zmianą, jaka zaszła na jego dumnej, surowej twarzy, Mac zamrugła oczami. Skąd taki wniosek?

- Dlaczego?

- Widać, że przywykła pani stawiać na swoim.

W jego ustach brzmiało to raczej jak obojętna uwaga niż krytyka i tak też to przyjęła.

- Jedynactwo nie ma z tym nic wspólnego. Ojciec zawsze powtarzał mi, że jeśli będę o czymś mocno przekonana, zwyciężę. Jestem przekonana, że to panu powinnam powierzyć odnalezienie siostrzenicy i że pan tego dokona. No to jak? Umowa stoi? - nalegała.

- Pani mi pochlebia, pani... Dellaventura, tak?

Nie zamierzała mu schlebiać. Mówiła po prostu prawdę. Wzruszyła ramionami.

- Jeżeli pochlebstwa pomogą, może być i tak. Dobrze też panu zapłacimy.

Znacznie powyżej pańskich stawek.

W głowie Cade'a rozległ się ostrzegawczy dzwonek. Ludzie nie zwykli trwonić pieniędzy bez powodu, nawet ludzie zamożni, a na taką wyglądała pani Dellaventura. Ostatnio dotarty do niego pewne sygnały, że klienci próbują podkupywać pracowników jego agencji. Sam jeszcze się z tym nie spotkał, ale może właśnie przyszła na niego kolej.

- Czemu miałyby mi pani płacić powyżej normalnych stawek, pani doktor?

- Mam na imię Mac - poinformowała go. - Lepiej niech się pan przyzwyczai do tego imienia, bo póki nie znajdziemy Heather, będziemy często przebywać w swoim towarzystwie.

ROZDZIAŁ 2

Będziemy często przebywać w swoim towarzystwie? - powtórzył Cade i z niedowierzaniem pokręcił głową, ponieważ Mac przytaknęła, jakby było to najzupełniej oczywiste.

Podstawową regułą było to, że zawsze pracował sam. Ludzie tylko mu przeszkadzali. Funkcjonował w grupie jedynie na tej zasadzie, że sporadycznie i dyskretnie kontaktował się ze swoimi współpracownikami.

Odchylił się w krzesło i spojrzał na McKayę.

- Ta uwaga była nie na miejscu - powiedział w końcu. - Chyba że płaci mi pani za to, że mam być statystą w jednoosobowym spektaklu.

Nauczyła się z miejsca rozpoznawać opór. I zawsze radziła sobie w ten sam sposób. Atakując wprost.

- Ależ jest jak najbardziej na miejscu, panie Townsend, bo ja rzeczywiście zamierzam z panem pracować.

Uśmiechnął się przepaszająco.

- Moje zęby raczej nie potrzebują fluoryzacji.

- Jestem dentystką pediatrą, a nie szkolną higienistką.

Cade'a nigdy nie interesowała wojna płci. Człowiek w jego pojęciu to człowiek, a płeć czy inne cechy odróżniające to rzecz wtórna. Różne odcienie na podobnych obrazach.

Pochylił głowę.

- Mój błąd.

Jego wiedza, a raczej niewiedza, na jej temat nie liczyła się w tej chwili. Ważne było coś zupełnie innego. Mac wstała i nachyliła się nad biurkiem.

- Pański błąd polega na tym, że według pana człowiek może robić tylko jedną rzecz i nic ponadto. Tak się składa, że przeszłam szkolenie dla stróżów prawa.

Nie dodała, że ukończyła je z doskonałym wynikiem i że przez chwilę wahała się nawet, czy nie wstąpić do policji. Pomyślałby pewnie, że próbuje mu

zaimponować. Nie mógł się bardziej mylić. Chciała go jedynie przekonać, że podczas poszukiwań Heather nie będzie mu kulą u nogi.

Trzeba było jej przyznać, że nigdy się nie poddawała. Wysoka i smukła, przypominała Cade'owi szkockiego teriera, który jak już raz zacisnął na czymś zęby, nie zamierzał popuścić.

- Ukończyłem kursy malarstwa - powiedział. Sztuka była jego przelotną namiętnością. To tam właśnie poznał Elaine i zakochał się od pierwszego wejrzenia. - To oczywiście wcale nie znaczy, że jestem wybitnym artystą.

- To prawda - zgodziła się Mac - ale może mógłby pan nim być na swój sposób. Działamy na wielu płaszczyznach, panie Townsend, i nie powinniśmy się obawiać naszej wszechstronności.

Cade przypomniał sobie wyrażenie „mówić do ściany”. Wyjątkowo dobrze pasowało do tej kobiety, głuchej na wszelkie argumenty.

- Czy to było przeszkolenie dla stróżów prawa, czy tylko kursy prawnicze? - zapytał.

- Dla stróżów prawa - odparła, zastanawiając się, jakie to na nim zrobiło wrażenie. Z jego oczu trudno było cokolwiek wyczytać i to ją deprimowało. Perspektywa, że zostanie pokonana na argumenty, wcale jej nie odpowiadała. Całe jej dotychczasowe życie było walką. Zdobywała nowe terytoria i - co równie ważne - potrafiła je utrzymać. - Wyświadczy pan moim pacjentom przysługę, jeżeli weźmie mnie pan ze sobą - dodała.

- Jak to?

- Nie mam teraz głowy do pracy.

Mimo iż pacjenci zawsze byli dla niej bardzo ważni, od dnia wypadku nie była w stanie poświęcać im należytej uwagi. Martwiła się o siostrę, o siostrzenicę, a także o to, jaki wpływ będą miały te dramatyczne wydarzenia na życie rodzinne, a zwłaszcza na zdrowie matki. Po raz pierwszy w życiu Mac nie była w stanie zebrać myśli i skoncentrować się na czymś innym poza niedawną tragedią. W tej sytuacji uznała, że najlepsze, co może zrobić, to zająć się szukaniem Heather. Wszystkie inne zajęcia były z góry skazane na niepowodzenie.

- Wizja procesów, wytoczonych przez poszkodowanych pacjentów, powinna pomóc utrzymać myśli w ryzach.

Traciła bezcenny czas, próbując przekonać tego faceta. Jeżeli on ma jakieś uprzedzenia co do pracy z kobietami, trudno. Nie będzie próbowała go nawrócić, tylko poszuka kogoś innego, kto będzie chciał z nią współdziałać.

Spojrzała na drugie drzwi.

- A może ktoś z pańskich wspólników nie będzie miał tego rodzaju obiekcji i druga osoba nie będzie mu przeszkadzała w pracy?

Cade pomyślał o Rustym, który nie zdążył jeszcze wyrobić sobie żadnych zawodowych nawyków. Rusty mógłby być potencjalnym kandydatem, gdyby nie to, że właśnie zaczął prowadzić jakąś sprawę. Megan i Sam także byli w połowie swoich spraw. Rozmawiał z nimi tego ranka, po przyjściu do biura.

Czyli pozostawał tylko on.

- Niestety, aktualnie wszyscy są zajęci.

Mac wciąż stała nad nim, jakby w ten sposób łatwiej jej było przekonać go do swoich racji. Patrząc na nią, Cade próbował zgadnąć, co jej chodzi po głowie.

- Nie wiem, jak pani wyobraża sobie naszą działalność, ale sprawa taka jak ta wymaga całej masy nieciekawych zajęć i dopasowywania szczegółów. - To bardzo prawdopodobne, że ta kobieta ma jakąś hollywoodzką wizję prywatnego detektywa. - W naszej działalności jest mało dramatycznych pościgów, ataków z bronią w rękę i tym podobnych spektakularnych akcji. To po prostu żmudna, metodyczna praca, która bardziej przypomina układanie puzzli. Każda najbliższa informacja, każdy najdrobniejszy szczegół może się przydać przy tworzeniu większej całości.

Jeżeli chciał ją tym porównaniem zniechęcić, to mu się nie udało.

- Z moją pierwszą układanką z tysiąca kawałków uporałam się, kiedy miałam osiem lat.

Cade cicho gwizdnął, rozbawiony. Jej determinacja miała korzenie w dalekiej przeszłości.

- Widzę z tego, że jest pani człowiekiem nieustającego sukcesu.

- Czasami mówiono mi, że jestem niezdolna - odparła Mac - ale mogę panu obiecać, że będę się starała pomagać, a nie przeszkadzać. To pan będzie dowodził, a ja bez szemrania będę wykonywać wszystkie pańskie polecenia.

Cade roześmiał się.

- Wątpię. Już raz powiedziałem nie, a pani nie chce tego przyjąć do wiadomości.

- No dobrze - zgodziła się. - Z pewnymi zastrzeżeniami. - W jej wzroku odmalowała się powaga. - Próbuję uratować nie tylko moją siostrzenicę, ale i młodszą siostrę. Moira straciła męża w wypadku samochodowym, tuż przed urodzeniem Heather. Finansowo dobrze jej się powodzi, ale jej stan psychiczny to zupełnie inna sprawa. Ona nie jest taka przebojowa jak ja.

Cade pomyślał, że mało jest chyba na świecie równie przebojowych kobiet.

- Kolejny cios prawdopodobnie ją zabije. Nie mogę do tego dopuścić - powiedziała z determinacją. - No więc, co pan na to? - Spojrzała mu przenikliwie w oczy, modląc się o pozytywną odpowiedź. - Wynagrodzę to panu zawiązaniem. - Zaczęła wymieniać sumę, ale on zdawał się jej nie słuchać.

- Odnalezienie pani siostrzenicy będzie wystarczającym zawiązaniem - poinformował ją sucho.

Pieniężkami z zainkasowanych honorariów pokrywał wydatki na utrzymanie biura i zakup najnowszego sprzętu, a także wypłacał pensje współpracownikom. On sam nie miał większych potrzeb. Satysfakcja, jakiej doznawał na widok rodziców, którzy znów mogą wziąć w objęcia odnalezione dziecko, w zupełności mu wystarczała.

A jedyną upragnioną nagrodą za wszystkie trudy mogłoby być tylko odzyskanie własnego syna.

Cade przypomniał sobie słowa, które powiedział do Savannah King, kiedy prosiła go, żeby wstawił się za nią u Sama i namówił go, by pozwolił jej uczestniczyć w poszukiwaniach. Potrafił wczuć się w jej położenie i udało mu się przekonać Sama - Savannah szukała własnego dziecka. A oni mieli szukać nie córki McKayli Dellaventury, tylko jej siostrzenicy. Matka to matka, a ciotka to już nie to samo. Dlaczego miałby łamać dla niej swoje zasady?

A jednak, gdyby teraz odmówił tej kobiecie, czułby się jak hipokryta.

Nie podobało mu się to słowo. Jak generał na polu bitwy, nigdy nie kazałby komuś robić czegoś, czego sam by nie zrobił. A to oznaczało również przyprowadzenie klienta do okopów.

Przewrócił z westchnieniem kartkę w notesie, po czym wyjął z szuflady magnetofon i postawił go na biurku. W oczach Mac dostrzegł błysk triumfu, ale również cień niepokoju.

- Dobrze - powiedział, wskazując, by znów usiadła. - Musisz dotrzymać obietnicy - powiedział, przechodząc na ty. - Nie może być żadnych wątpliwości co do tego, kto tu jest szefem. - Szczerze mówiąc, było to ostrzeżenie. Przy pierwszej próbie przejęcia władzy zostanie odesłana. Miał konkretne powody, żeby tak myśleć. - I proszę, żadnych prób wyprzedzania mnie.

Mac usiadła, wyraźnie rozluźniona.

- Obawiam się, że nawet bym nie potrafiła.

Potraktował to jako kolejne pochlebstwo. Nigdy nie był łasy na pochlebstwa, nawet kiedy był znacznie młodszy.

- Jeżeli ma mi to stworzyć fałszywe poczucie bezpieczeństwa, to proszę oszczędzić sobie trudu. Ostatnio wszyscy wydają mi się podejrzani.

Mac lubiła, kiedy ktoś uczciwie stawiał sprawę. Uczciwość była tą właśnie cechą, jakiej przede wszystkim szukała w ludziach. Pierwszą i jedyną.

- Mamy więc ze sobą coś wspólnego.

Ale tylko to, pomyślał Cade. Nie wyobrażał sobie, żeby cokolwiek innego mogło ich łączyć.

- No, dobrze - powiedział, wciskając klawisz - zaczynajmy.

Przez następną godzinę zasypywał ją gradem pytań. I musiał przyznać, że odpowiadała na nie szczerze i bez wahania.

Jeżeli Mac mówiła prawdę, wyglądało na to, że z góry można było wykluczyć zemstę jako powód porwania. Ponieważ jednak nie przysłano listu z żądaniem okupu, porywacze raczej nie zamierzali zwrócić dziecka.

Cade zerknął w notatki. To, co zobaczył i usłyszał, było dość niewiarygodne. Albo mieli do czynienia z bezczelnym porwaniem w biały dzień, albo z dziwną kradzieżą samochodu, która zakończyła się inaczej, niż to sobie zaplanowali złodzieje.

- Moim zdaniem samochód twojej siostry został celowo zepchnięty z szosy.

Mac już od dawna żywiła podobne podejrzenia.

- Ale dlaczego? Przecież Moira nie ma żadnych wrogów.

Moja siostra pracuje jako wolontariuszka w miejscowym szpitalu trzy razy w tygodniu. Wszystkie dzieci w sąsiedztwie przepadają za nią. Nie istnieje też żaden zawiedziony przyjaciel ani nikt, komu mogłaby się w jakikolwiek sposób narazić. Czemu ktoś miałby robić coś takiego?

- Byłbym skłonny przypuszczać, że jakiś kierowca chciał wyładować na niej swoją złość, gdyby nie to, że przy okazji porwano twoją siostrzenicę.

Cade zmarszczył brwi i zamyślił się. Z natury nie był optymistą, a siedząc na tym fotelu i wysłuchując różnych opowieści, miał okazję przekonać się, do czego ludzie mogą się posunąć. Dlatego też w każdej sprawie zaczynał od najgorszego wariantu, a w tym przypadku złe przeczucia wręcz same się narzucały.

- Czy ktoś poza najbliższą rodziną okazywał Heather szczególne względy?

Mac długo zastanawiała się, pragnąc udzielić mu możliwie najpełniejszej odpowiedzi. W końcu wyjęła portfel i bez słowa położyła na biurku fotografię Heather, zrobioną przed niespełna miesiącem.

Cade wziął zdjęcie i przyjrzał się dziewczynce. Ubrana w różowy kombinezon, z główką odrzuconą do tyłu, patrzyła w obiektyw z uśmiechem, który natychmiast pragnęło się odwzajemnić. Czule obejmowała dużego, żywego królika.

Mac zauważyła reakcję Cade'a. Tego się właśnie spodziewała. Heather była uroczym dzieckiem, dla którego wszyscy z miejsca tracili głowę.

- Ludzie zwracali na nią uwagę - powiedziała.

- Mogę to zatrzymać?

Gestem wskazała, żeby wziął sobie zdjęcie.

- Proszę. - Wyraz jego twarzy lekko ją zaniepokoił. - O czym pan myśli?

Cade wiedział, że jej się to nie spodoba, ale nie miało to żadnego znaczenia dla śledztwa. Chciała prawdy, a on był jej to winien.

- Możliwe, że zostało to ukartowane wcześniej.

- Jak to?

- Siostra mogła zostać zepchnięta z drogi, żeby kidnaperzy mogli porwać Heather. - Spojrzał ponownie na fotografię. - Dzieci takie jak twoja siostrzenica są w wysokiej cenie.

- W wysokiej cenie? - Mac nie zrozumiała go albo raczej nie chciała zrozumieć.

- U kogo?

- Jest wiele bezdziejnych małżeństw - odparł. - Przed nimi są jeszcze handlarze dziećmi.

- Ma pan na myśli nielegalny handel dziećmi?

- Niewykluczone. Na razie to tylko czyste spekulacje. - Wsunął zdjęcie do kieszeni. - Zresztą, mogę się mylić. Może kiedy my opowiadamy tu sobie tę historię, policja wpadła już na trop twojej siostrzenicy.

Mimo iż bardzo chciałyby w to uwierzyć, nie miała złudzeń. Z drugiej strony, sugestia Cade'a wydała jej się zbyt nieprawdopodobna.

- Przecież żeby zrobić coś takiego, trzeba było spowodować wypadek, wezwać karetki, lekarzy i tak dalej... - Spojrzała na niego. - To brzmi nierealnie.

- Nie bez powodu powstało powiedzenie „Prawda bywa często bardziej fantastyczna niż fikcja”. Zresztą, może masz rację - przyznał. W ten sposób przynajmniej pozostała im nadzieja. - A teraz weźmy się do roboty. Czy wiesz, do kogo należy karetka, która zabrała twoją siostrzenicę?

Mac zgnębiona potrząsnęła głową. Nie przyszło jej do głowy, żeby o to zapytać.

- A czy twoja siostra jest w takim stanie, że może złożyć zeznania?

Mac zapisała mu na plus, że o to zapytał.

- Moira zrobi wszystko, żeby odnaleźć Heather.

- To dobrze.

Cade sporządził notatki. Przystępstwo zostało popełnione w Newport Beach, przy autostradzie Pacific Coast Highway. Cade nie znał nikogo z policji na tym terenie, ale właśnie nadarzała mu się okazja. Będzie musiał się skontaktować z detektywem, wyznaczonym do prowadzenia śledztwa w tej sprawie. Nie liczył na

wiele. Z doświadczenia wiedział już, że zawodowa solidarność miała jedynie pięćdziesiąt procent szans na wzajemność.

Podniósł wzrok na Mac. Nagle przemknęło mu przez myśl, że to wyjątkowo piękna kobieta.

- Jest jeszcze coś, co chciałabyś mi powiedzieć?

Nie lubiła ulegać panice. Jeżeli da się ponieść emocjom, nie pomoże w ten sposób ani Moirze, ani Heather. A Townsendowi da do ręki wygodny argument, żeby się jej pozbyć.

- Tylko to, że zrobię wszystko, byle jak najszybciej odzyskać moją siostrzenicę.

To rozumiało się samo przez się. Cade wyłączył magnetofon i zamknął notes, a potem wstał i wsunął go do kieszeni.

- W porządku. Spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Mac poderwała się na nogi.

- Zgodziliśmy się na zaimkę „my”, a nie „ja” - przypomniała mu, idąc za nim do drzwi.

Determinacja Mac wydała mu się dość irytująca, choć przecież nauczył się traktować swoich klientów z maksymalną cierpliwością.

- Już mamy zaczynać?

- Tak. Chyba że ma pan najpierw coś innego do zrobienia.

- Nawet skazaniec ma prawo do ostatniego posiłku - odparł z westchnieniem Cade.

- Zjemy coś po drodze. Ja zapłacę.

- To tylko eufemizm. Mówiłem o miejscu odosobnionym - wyjaśnił Cade.

Mac zarumieniła się.

- Przepraszam - powiedziała - ale jeżeli mamy razem pracować, musimy nauczyć się porozumiewać w sposób bezpośredni.

Cade już miał na końcu języka uwagę, że może jest to znak, iż nie powinni razem pracować, ale to zapoczątkowałoby tylko kolejną wymianę zdań. Przeczucie podpowiadało mu, że, podobnie jak w poprzednich przypadkach, nie wyszedłby z niej zwycięsko.

Jedno natomiast musiał przyznać doktor McKayli Dellaventurze - chwilowo udało jej się odciągnąć jego myśli od własnej tragedii.

Zaczynała mu się także podobać. Było to coś, czego nie brał w ogóle pod uwagę.

- Chodźmy - mruknął.

Kiedy weszli do sąsiedniego pokoju, natknęli się na bardzo wzruszającą scenę. Rusty klepał Sama po plecach, a Megan serdecznie go ścisnęła. Na ich twarzach malowała się ekstatyczna radość. Cade natychmiast pomyślał o sprawie, nad którą Sam pracował. Pewnie udało mu odnieść sukces.

- Co się tu dzieje? Czy wydarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć?

Megan miała lepszy kontakt z Cade'em niż z Samem czy Rustym. Może dlatego, że była kobietą, a może dlatego, że od dawna ze sobą współpracowali. Z miejsca udało jej się wychwycić nutę zdenerwowania w jego tonie.

Trudno mu się zresztą dziwić. Wiedziała, co przeżywał tego dnia. Ogarnęło ją współczucie. Zнали się od momentu, w którym została oddelegowana przez FBI do prowadzenia śledztwa w sprawie uprowadzenia Darina Townsenda. A świadomość, że sprawa ta nadal nie została zakończona, leżała jej na sercu.

Rusty odwrócił się. Przypominał wielkiego, rozradowanego psiaka.

- Składamy Samowi gratulacje.

Cade znał już Rusty'ego na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż chłopak nie ma zwyczaju mówić wprost.

- A co się stało?

Sam nie potrafił już dłużej milczeć. Dowiedział się o tym tego ranka i osłupienie szybko przemieniło się w ogromną radość.

- Savannah spodziewa się dziecka, a ja będę ojcem.

- Przecież już jesteś ojcem - przypomniała mu Megan.

- No tak, ale to zupełnie co innego - upierał się Sam. - Tym razem będę nim od samego początku.

Savannah miała już jedną córkę. To właśnie przy okazji jej poszukiwań Sam stał się kimś tak ważnym w ich życiu.

- Nigdy dotąd nie miałem nawet psa - wyznał - a tu nagle mam zostać ojcem dwójki dzieci! - Nagle dotarł do niego sens tych słów, uświadomił sobie także, do kogo je mówi. A przecież nigdy w życiu nie chciałby zranić Cade'a. - Przepraszam, stary.

- To wspaniała wiadomość, Sam. Bardzo się cieszę - uspokoił go Cade, i była to prawda. Nie chciał, żeby ludzie chodzili wokół niego na palcach, dlatego że przeżył tragedię. - Mam tylko nadzieję, że dziecko odziedziczy urodę po Savannah. -

Uśmiechnął się serdecznie. - Będiesz wspaniałym ojcem,

- Cade, zanim zapomnę, pomyślałam sobie, że pewnie chciałbyś to mieć - wtrąciła Megan i podała mu fotografię, pachnącą świeżą farbą z drukarki.

Cade odwrócił się.

- Co to jest? - Pytanie zamarto mu na ustach, kiedy spojrzał na kartkę papieru.

- To aktualny wizerunek Darina. Tak pewnie teraz wygląda. - Wyraz twarzy Cade'a powiedział jej, że wszelkie wyjaśnienia były zbędne. Zmieszła się. - Pomyślałam sobie, że to mogłoby pomóc...

Cade usłyszał wahanie w jej głosie. Wyczuł, że jest skrepowana. Podobnie jak wszyscy. I to przez niego.

- Dobrze zrobiłaś - powiedział. - Ostrożnie złożył kartkę na pół i schował do portfela. - Dzięki.

- Nie ma za co. - Megan przeniosła wzrok na kobietę, którą już wcześniej widziała. - Wybierasz się dokądś? - zapytała Cade'a.

- Ja... to znaczy my - poprawił się, patrząc na Mac - właśnie wychodziliśmy. To jest doktor McKayla Dellaventura, nasza najnowsza klientka. A to Megan Andreini - zwrócił się do Mac - oraz Rusty Andreini i Sam Walters, czyli moi wspólnicy. - Mimowolnie objął ramieniem Mac, kierując ją w stronę drzwi.

- Będziemy w kontakcie - obiecał Megan. - Gratuluję ci, stary - powiedział do Sama. - Przekaż pozdrowienia Savannah.

Mac pomyślała, że pracownicy tej agencji chyba szczerze się lubią i dobrze czują w swoim towarzystwie. Wzięła to za dobry znak. Idąc za Cade'em do samochodu, skinęła w stronę budynku, z którego właśnie wyszli.

- Mili ludzie.

- O tak. - Cade otworzył drzwi wozu i pomógł Mac wsiąść do środka.

Dobre maniery były czymś rzadkim w dzisiejszym świecie. Natychmiast zapisała to Cade'owi na plus. W głowie kłębiły jej się dziesiątki pytań. Wybrała jedno na chybił trafił.

- Kto to jest Darin? - zapytała, kiedy obszedł wóz i usiadł na fotelu kierowcy. Może nie powinna pytać, ale zastanowił ją wyraz twarzy Cade'a, kiedy Meg dała mu to zdjęcie.

- To mój syn. - Przekreślił kluczyk w stacyjce i spojrzał na Mac. Po co jej to właściwie mówił? Może dlatego, że w ten sposób utrzymywał się w przeświadczeniu, iż Darin jednak żyje.

- Dziś są jego szóste urodziny. - Po czym, uprzedzając jej pytanie, dodał: - Darin zaginał trzy lata temu. - I nagle, nim uświadomił sobie, co robi, zaczął opowiadać Mac szczegóły tej straszliwej historii.

Spuścił wtedy synka z oczu tylko na minutę. Na jedną minutę, kiedy tamten człowiek zapytał go o drogę. Był starszy od Cade'a i wyglądał na dość zmęczonego. Towarzyszyła mu mała dziewczynka, może czteroletnia, która niecierpliwie szarpała go za rękę. Pomyślał wtedy, że ma szczęście, bo jego Darin jest taki grzeczny i dobrze wychowany.

Kiedy znowu spojrzał na miniaturową kolejkę, jazda właśnie się zakończyła, ale w wagoniku nie było Darina. Nie biegł do niego, wyciągając ręce i zachłystując się z radości, gotów natychmiast się z nim podzielić nowymi wrażeniami.

Cade zamknął oczy. Poczul lodowaty skurcz żołądka. Jak wtedy, kiedy zaczął wołać Darina, a potem go szukać.

Na próżno. Po chłopcu zaginał wszelki ślad.

Ochroniarze przez wiele godzin przeczesywali teren parku, ale udało im się znaleźć tylko czapkę Darina w pobliżu jednej z męskich toalet.

Od tej pory pojawiło się wiele tropów, hipotez i informacji, wszystkie jednak prowadziły donikąd.

Cade tysiące razy odtwarzał w pamięci tych kilka kluczowych minut, analizując szczegółowo każdą sekundę w nadziei, że odkryje jakiś drobny szczegół, wcześniej przeoczony. Szczegół, który doprowadzi go do syna.

Zamieścił nawet ogłoszenie w lokalnej gazecie, próbując odnaleźć mężczyznę, z którym wtedy rozmawiał, licząc na to, że mógł on coś zauważyć. Niestety, nikt się nie zgłosił.

Teraz, gdy opowiadał Mac tę historię, każde słowo było jak nóż wbijany w serce. Trzy lata. Nie widział syna od trzech lat. Umknął mu tak ważny okres w jego życiu. Kto mu to zwróci? Mimo to nie przestawał wierzyć, że kiedyś zdoła wynagrodzić synowi tak długą rozłąkę. Zacznie już w momencie, w którym znów się połączą.

Opowieść Cade'a wywarła na Mac wielkie wrażenie. Zgłosiła się do jego agencji z polecenia znajomej ojca, a ponieważ liczył się przede wszystkim czas, nie zaprzętała sobie głowy takimi szczegółami jak dodatkowe informacje. Teraz, wstrząśnięta i zaniepokojona, odwróciła się do Cade'a.

- Nie może pan znaleźć własnego syna?

Cade poczuł uderzenie krwi do głowy, zaraz się jednak opanował.

- To z powodu mojego syna otworzyłem tę agencję. Jak na razie jest to jedyna sprawa, której nie udało nam się pomyślnie rozwiązać. - Wcisnął hamulec i zwolnił, wyjeżdżając z parkingu. - Może w tej sytuacji wolisz zwrócić się do kogo innego?

W pierwszym odruchu chciała powiedzieć „tak”. Potem przyszło zastanowienie. Ten człowiek bez reszty poświęcił się swojej pracy. Jeśli wszystkie sprawy prowadzone przez jego firmę, z wyjątkiem tej jednej, zakończyły się sukcesem, to czy można było prosić o lepsze rekomendacje?

- Nie. Dowiedziałam się, że to jest najlepsza agencja. Bardzo mi przykro, że jedyny nie rozwiązany przypadek dotyczy właśnie pańskiego syna.

- Mnie też - odparł krótko Cade. Spojrzała na niego.

- Przynajmniej pan wie, co teraz przeżywamy.

- Tak - powiedział, zdejmując nogę z hamulca. - Doskonale wiem, co przezywacie.

ROZDZIAŁ 3

Moira, kochanie, to jest Cade. Przyprowadziłam ze sobą detektywa. To on odnajdzie naszą Heather.

Cade z zasady rozpoczynał każdą nową sprawę z pozytywnym nastawieniem, tym razem jednak potraktował tę otwarcie wyrażoną zapowiedź sukcesu jak dodatkowe obciążenie.

W ciemnych, zwróconych na niego oczach błysnęło coś, jakby cień nadziei. Dopiero po chwili wychwytał pewne podobieństwo między siostrami, na pierwszy rzut oka nie były do siebie ani trochę podobne.

Kiedy się przyjrzał bliżej, doszedł do wniosku, że krucha, błada istota, która niemal tonęła w olbrzymim, szpitalnym łóżku, wygląda jak szkic stojącej obok niego kobiety. McKayla została namalowana pełnymi, nasyconymi kolorami, a pastelowy zarys Moiry przebijał zza matowego welonu. Przypominała egzotyczny kwiat, niezdolny do życia w naturalnym środowisku.

Gdyby nie to, że czas naglił, byłby się wycofał. Wolałby wrócić później, kiedy Moira będzie bardziej skłonna do rozmowy. Niestety, musiał zabrać się do tego już teraz.

- Pani McGuire, nazywam się Cade Townsend - powiedział z uśmiechem. - Muszę pani zadać kilka pytań.

Jego oświadczenie zostało powitane niechętnym prychnięciem mężczyzny, stojącego po przeciwnej stronie łóżka.

- Nie może pan iść z tym na policję? - zapytał, mrużąc szare oczy pod krzaczastymi, siwymi brwiami. Na jego pobrużdżonej twarzy malowała się głęboka troska. - Moja córka miała ciężkie przeżycia. Musi teraz odpocząć.

- Gdyby się pan jeszcze nie domyślił - Mac zwróciła się do Cade'a - to jest mój ojciec, doktor Arthur Dellaventura. A to moja mama, Sylwia. I mój brat, Danny - wskazała na młodego, wysokiego mężczyznę przy oknie.

Cade skłonił się wszystkim po kolei, ale jego uwaga zwrócona była na ojca Mac.

- Wiem, w jakim stanie jest pańska córka, panie Dellaventura, ale jeżeli mam odnaleźć pańską wnuczkę, muszę poprosić panią McGuire o możliwie najdokładniejszą relację z przebiegu całego wydarzenia. O ile to oczywiście możliwe. Czasami nawet najbliższy szczegół...

- Proszę cię, Arthurze. - Sylwia położyła mężowi rękę na ramieniu. - Niech robi wszystko, co mu pomoże w odnalezieniu Heather.

Cade zauważył, że Moira jest podobna do matki. Obie sprawiały wrażenie wątpliwych i delikatnych i zdawały się wymagać szczególnej opieki. McKayla za to od pierwszej chwili wydała mu się silna i zdecydowana. Musiała wdać się w ojca.

Pan Dellaventura zmarszczył brwi i po kolejnym sapnięciu niechętnym gestem wyraził zgodę.

Cade spojrzał na Moirę. Źrenice miała rozszerzone. Najwidoczniej została nafaszerowana środkami przeciwbólowymi. Mógł tylko mieć nadzieję, że będzie w stanie zebrać myśli.

- Może mi pani opowiedzieć własnymi słowami, co się wydarzyło? - zapytał łagodnie.

Mac cofnęła się o krok, żeby Cade mógł podejść jeszcze bliżej. Widok siostry sprawiał jej nieznośny ból. Niech no tylko dostanie w swoje ręce ludzi, którzy ją wpędzili w taki stan! Spojrzała na Cade'a. Musiała przyznać, że sposób, w jaki zwracał się do Moiry, zrobił na niej pewne wrażenie. Mimo iż czas naglił, przemawiał do niej cicho i łagodnie, jakby była zranionym ptakiem, oszalałym z trwogi. Zresztą, odkąd mogła sięgnąć pamięcią, wszyscy zawsze traktowali Moirę tak, jakby była kimś niesłychanie kruchym. Ona także. Widocznie tak już musiało być.

I Moira, i matka były jak figurki z delikatnego kruszcu. Ona za to była twarda niczym skała - jak ojciec i bracia. Czasami, w skrytości ducha marzyła, żeby bodaj na chwilę upodobnić się do matki i siostry. Żeby choć na krótko wzbudzić w kimś instynkty opiekuńcze i poczuć, jak to jest, kiedy ktoś otacza cię opieką.

Niestety, miała też świadomość, że nawet gdyby tak się kiedyś stało, już po pięciu minutach straciłaby cierpliwość. Była z natury kobietą czynu, urodzoną opiekunką, a nie istotą potrzebującą opieki. Tego nie dało się zmienić. Poza tym istniejący stan rzeczy w zupełności jej odpowiadał.

Na dźwięk głosu Cade'a Moira jeszcze głębiej zapadła się w poduszki.

- Spróbuj, Moira - namawiała ją Mac. - Zrób to dla Heather. Oddychając z trudem, Moira zwilżyła spieczone wargi. Widać było, że próbuje zebrać rozproszone myśli.

- Jechałam autostradą Pacific Coast Highway - zaczęła cichym głosem. - Byłyśmy w centrum handlowym, w sklepie z zabawkami. Heather i ja. Ktoś... ktoś jechał za nami. Coraz prędzej i coraz bliżej. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Zjechałam na sąsiedni pas, ale oni ciągle za mną jechali. I w końcu zepchnęli mnie z drogi. - Głos jej się załamał. Mac opiekuńczym gestem ujęła ją za rękę. - Mój samochód zaczął koziołkować. Krzyczałam... - W jej oczach czaił się strach. - Myślałam, że to już koniec.

Cade słuchał jej opowiadania, starając się nie ulegać emocjom.

- Czy zapamiętała pani markę samochodu? Numery rejestracyjne? Cokolwiek? Moira pokręciła głową w przygnębieniu.

- Tylko kolor. Niebieski.

Cade pomyślał, że na drogach jeżdżą tysiące niebieskich samochodów. To niewielka pomoc.

- Czy zatrzymali się? - zadał kolejne pytanie.

- Nie - odparła niepewnie. - Chyba nie. Nie mogę sobie przypomnieć. - Potarła czoło. - Pamiętam ambulans. I sanitariuszy. Myślałam, że Heather jest ze mną w karetce. Powiedzieli mi, że żyje, ale odniosła obrażenia i istnieje groźba wewnętrznego krwotoku. - Później nie pamiętała już nic aż do chwili, kiedy ocknęła się w szpitalu. - Przykro mi, ale nic więcej nie pamiętam. Uderzyłam się w głowę. Wszystko mi się pomieszało.

Na jej bladych policzkach pojawił się nikły rumieniec, zaraz jednak zniknął. Nawet bandaż na jej czole miał w sobie więcej życia niż ona sama. Cade, głęboko poruszony, nakrył dłonią przezroczystą dłoń Moiry.

- To wystarczy. Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła. - Cofnął się, a Arthur i Sylwia zajęli miejsce przy łóżku. Sylwia usiadła i nachyliła się nad córką.

Mac szybko podeszła do Cade'a. Pewnie się boi, że ją zostawię, pomyślał. Zresztą była to całkiem kusząca perspektywa.

Arthur odszedł na chwilę od łóżka Moiry. Jego miejsce natychmiast zajął Danny. Pan Dellaventura zbliżył się do Cade'a, ujął go pod rękę i poprowadził w róg pokoju.

Zmierzył Cade'a badawczym wzrokiem, a potem zapytał:

- Czego pan potrzebuje?

- W tej chwili niczego. - Cade spojrzał na Mac. - Pańska druga córka zaoferowała mi wszelką możliwą pomoc. - Cade lubił się zabezpieczyć. Tak na wszelki wypadek. Dodał więc: - Gdybym czegoś jeszcze potrzebował, dam panu znać.

Dellaventura skinął głową i wrócił, by czuwać przy Moirze.

Wyszli z izolátky i minęli grupkę krewnych na korytarzu. Mac próbowała nie myśleć o tym, że Cade mówił o niej jako o „drugiej córce”. Mimowolnie trafił w sedno. W porównaniu z Moirą zawsze była tą „drugą córką”. Przywykła zresztą do tego, ale od czasu do czasu - jak na przykład teraz - świadomość tego na nowo ją zaskakiwała.

Przyspieszyła kroku, żeby zrównać się Cade'em.

- Nie za wiele tego, prawda?

Cade przystanął przed windą i wcisnął guzik.

- Bywało mniej.

Mac przysunęła się i ściszyła głos.

- Przede mną nie musi pan niczego ukrywać. Ja jestem ta silniejsza. Wolę znać prawdę.

„Jestem ta silniejsza”. Czy porównywała siebie do siostry, czy do reszty rodziny? Cade pomyślał, że chyba raczej to drugie.

- Prawda wygląda tak, że czasami musiałem pracować, mając jeszcze mniej informacji - powtórzył.

- Czy chociaż skutecznie? - zapytała, unosząc wyzywająco podbródek.

Nadjechała winda. Cade przepuścił Mac przodem.

- Tak - powiedział, naciskając guzik.

Mac wbiła wzrok w zasuwane się metalowe drzwi.

- To dobrze. Co robimy teraz? - Zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: - Pomyślałam sobie, że powinniśmy porozmawiać z personelem karetki, która przywiozła tu Moirę.

- Tak właśnie zrobimy.

Ich oczy na moment się spotkały, ale to wystarczyło, żeby dodać Mac otuchy. Uśmiechnęła się.

- Mówiłam, że nie zamierzam przeszkadzać.

Niestety wyglądało na to, że już sama jej obecność zaczyna mu przeszkadzać. I to w sposób, jakiego Cade nie brał pod uwagę. Potrząsnął głową, żeby odpędzić myśli, na których analizowanie nie miał teraz czasu.

Drzwi rozsunęły się. Wyszli do holu.

- Czy twoja siostra nie wspominała nigdy o tym, że ktoś podejrzany kręcił się koło niej? - zapytał, a widząc zdumiony wzrok Mac, dodał: - Nie było żadnych podejrzanych telefonów o dziwnych porach, żadnych rzekomo przypadkowych spotkań?

- Jakby ktoś ją śledził albo osaczał? - zapytała, a kiedy Cade skinął głową, zdrzała, wyobrażając sobie przestępcę, czającego się w mroku. - Nie - odparła.

- Jesteś tego pewna? - Cade przystanął przed tablicą informacyjną. Strzałka z napisem „Administracja” wskazywała w prawo.

Mac znowu musiała przyspieszyć kroku.

- Tak, jestem pewna. Gdyby coś takiego miało miejsce, Moira na pewno by mi o tym powiedziała. Ona mi wszystko mówi. Jest taka nieśmiała.

Było to kolejne niedopowiedzenie. Na ustach Cade'a pojawił się uśmiech, zmiękczając ostre, surowe rysy, odziedziczone po babce Indiance.

- Nie chwyta od razu za miecz jak ty, prawda? - zapytał. Mac nie potrafiła powiedzieć, czy kpił z niej, czy nie.

- Jestem od niej starsza - odpowiedziała wymijająco.

Cade pomyślał, że wiek nie ma tu nic do rzeczy. To temperament i wygląd stanowił o różnicy, nie wiek, ale to już nie jego sprawa. On miał tylko odnaleźć Heather.

Pulchna urzędniczka w administracji szpitala z miejsca zaoferowała wszelką możliwą pomoc. Podała im nazwę firmy, do której należał ambulans, zapewniając ich przy okazji, że coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy w siedemdziesięcioletniej historii szpitala Harris Memorial.

Odgadując przyczynę jej obaw, Mac zapewniła kobietę, że ich rodzina nie zamierza wnosić skargi przeciwko szpitalowi. Administratorka odetchnęła z ulgą.

- W tym świecie wszyscy pozerają się nawzajem - powiedziała Mac, gdy z Cade'em opuszczali Harris Memorial. - Ludzie gotowi są występować do sądu o odszkodowanie pod byle pretekstem.

- Mówisz w imieniu swoim czy rodziny? - zapytał. Czy ktoś skarżył kiedyś ją albo ojca? Może sprawcą porwania był jakiś poszkodowany pacjent, który chciał się zemścić.

- W jednym i w drugim. - To, co przydarzyło się Moirze, nie było winą szpitala, tak jak nie było winą Moiry to, że wypadła z autostrady. Jeden rzut oka na twarz Cade'a wystarczył, żeby móc odgadnąć jego myśli. - Nie, nikt nas nigdy nie podał do sądu - dodała.

Ona jest dobra. Naprawdę dobra, pomyślał z uznaniem Cade, kiedy jechali do firmy, której ambulans przywiózł Moirę McGuire do szpitala. Biura firmy znajdowały się w pobliżu autostrady, na której zdarzył się wypadek.

Kiedy mijali miejsce zdarzenia, Cade zjechał na pobocze.

- Myślisz, że coś tu znajdziemy? - zapytała Mac.

Cade'owi wydało się to wątpliwe, ale zawsze była jakaś szansa.

- Może. - Otworzył drzwi. Autostrada, często zatłoczona, była tym razem stosunkowo pusta. - Zostań w samochodzie - zwrócił się do Mac. - Ja się tu trochę rozejrzę. To nie potrwa długo.

Mac ani myślała zostać w wozie. Tego się zresztą po niej spodziewał.

Sięgnął z westchnieniem po aparat fotograficzny, leżący na tylnym siedzeniu. Wyglądało na to, że McKayla Dellaventura zamierza dotrzymać słowa i przez cały okres śledztwa będzie towarzyszyć mu jak cień.

Tylko do czasu, kiedy zacznie robić się gorąco, pomyślał, idąc w stronę widocznych na asfalcie ciemnych śladów. Obiecał sobie, że przy pierwszych oznakach niebezpieczeństwa odeśle ją do domu, nie bacząc na jej protesty.

Przykłęknął i posuwając się na czworakach, zaczął badać grunt. Ślady opon w miejscu, gdzie samochód Moiry McGuire wpadł w poślizg, były jeszcze całkiem świeże. Przebieg całego wydarzenia był za to jedną wielką niewiadomą. Może tamten kierowca chciał tylko przestraszyć Moirę i wcale nie zamierzał spowodować poważnego wypadku.

Mac stała nad nim i wpatrywała się w nawierzchnię autostrady. Poza śladami opon nie dostrzegła niczego szczególnego. Może powinna się przyjrzeć z bliska.

Kucnęła obok Cade'a, lecz nadal nie widziała niczego godnego uwagi, ale nie była przecież profesjonalistką.

- Czego szukasz? - zwróciła się do Cade'a, porzucając oficjalną formę. Stali się przecież partnerami.

- Kawalków łamigłównki - odparł. Sięgnął po aparat i zrobił dwa zdjęcia, a potem czekał, aż polaroid je wypluje.

Nie zauważył na drodze żadnych śmieci, odłamków plastiku czy odprysków farby. Zerknął na fotografie, a potem schował je do kieszeni i spojrzął na Mac.

- Czy wóz został poważnie uszkodzony? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

Cade odwrócił się na pięcie i pomaszerował do samochodu. Pobiegnęła za nim.

- Nie oglądałam go. Policja wezwała pomoc drogową. Zabrali wóz do warsztatu. - Widocznie to było ważne. - Chcesz ich numer?

Cade rzucił aparat na tylne siedzenie, a potem usiadł za kierownicą.

- Tak.

Mac wyjęła wizytówkę z torebki. Ruszyli. Cade wyciągnął rękę.

- Dzięki. - Co za wzorowo zorganizowana kobieta, pomyślał, chowając wizytówkę do portfela. Zorganizowana i pociągająca. To całkiem niezła kombinacja.

- Jakże to ma znaczenie, czy samochód został bardzo zniszczony?

- Może żadne - odparł. Wcisnął gaz. Nabrali prędkości. Udało im się przejechać jeszcze na żółtym świetle. - Z drugiej strony niewykluczone, że potwierdzi to

podejrzanie, iż tamten kierowca celowo jechał za twoją siostrą i chciał ją zepchnąć z szosy, żeby porwać Heather.

- No cóż. Osiągnęli to. Moira rzeczywiście zjechała z drogi. Jeżeli takie były ich zamiary, czemu po prostu od razu nie zabrali dziecka? Na co czekali? Jaka rolę odegrał w tym wszystkim ten drugi ambulans?

Cade nie miał zwyczaju głośno rozmawiać. Nie przywykł też, żeby ktoś go zasypywał gradem pytań, domagając się natychmiastowej odpowiedzi. Na ogół rozważał wszystko w milczeniu, póki fragmenty nie ułożyły się w jego głowie w większą całość.

- Tego jeszcze nie wiem - odrzekł, zerkając na nią z ukosa.

Nie dała się nabrać na jego uprzejmy ton. Podświadomie czuła, że jest poirytowany.

- Nie gniewaj się. Ja się tylko zastanawiam na głos.

Dobrze wiedział, o co jej chodziło. Nawet Elaine narzekała, że z niego milczek. Nie przywykł dzielić się z nikim swoimi spostrzeżeniami.

- Zdawało mi się, że ja tu jestem szefem - powiedział.

- Tak, ale ja nie jestem niemową. - Mac nie znosiła ciszy.

Cade cicho się roześmiał. Ta kobieta, wśród wielu innych zalet, miała także wyjątkową umiejętność posługiwania się niedopowiedzeniem.

- To prawda, nie jesteś niemową - przyznał.

Odpowiedzi na pytania uzyskali, gdy wreszcie udało im się porozmawiać z załogą ambulansu, który przywiózł Moirę do szpitala.

Dwaj mężczyźni mieli właśnie przerwę i siedzieli w ciasnym pokoiku na tyłach budynku, w którym mieściły się biura firmy. Pomieszczenie służyło za kuchnię, jadalnię i pokój rekreacyjny. Mężczyźni siedzieli przy stoliku, który musiał pamiętać lepsze czasy, i grali w karty.

Cade przedstawił im siebie oraz Mac i wyjaśnił cel wizyty, a potem zapytał:

- Kto wezwał panów na miejsce wypadku?

Wymienili spojrzenia. Wyższy z nich przestał się kołysać na tylnych nogach krzesła i wychylił się do przodu. Przednie nogi krzesła skrobnęły z hałasem o podłogę.

- Nikt.

To brzmiało zupełnie bez sensu.

- No to co panowie tam robili? - Mac uprzedziła pytanie Cade'a.

Chęć poznania odpowiedzi sprawiła, że Cade ugryzł się w język i nie skarcił Mac za to, że łamie ich umowę.

- Wracaliśmy do bazy od innego wezwania - wyjaśnił wyższy mężczyzna. - Zobaczyliśmy wypadek. Ta niebieska toyota...

- Nissan - poprawił go drugi mężczyzna z irytacją.

Pierwszy, Jake, bo takie imię miał wyhaftowane na kieszonce kitla, spiorunował go wzrokiem.

- To była toyota - powtórzył z uporem. - Mój brat pracuje w garażu. Znam się na samochodach...

Jego partner, Andy, prychnął lekceważąco:

- Tylko dlatego, że twój brat...

Cade uniósł rękę i przerwał dyskusję, zanim zdążyła przerodzić się w kłótnię.

- No więc, jak to było z tym niebieskim samochodem? Jake zaczął opowiadać:

- Toyota najechała na szewroleta, ale nie mocno. To nie powinno być się zdarzyć. Może ta kobieta wpadła w panikę...

Cade zauważył, że Mac z trudem powstrzymywała się od pytań. Ciekawe, jak długo potrafi zachować milczenie?

- Czy kierowca tego drugiego wozu próbował się zatrzymać?

- O tak - wtrącił się Andy - a przynajmniej jego samochód zwolnił. Kiedy usłyszał syreny, znowu przyspieszył.

- Syreny? - zapytał Cade. Czyżby policja tak szybko przybyła na miejsce wypadku? W pobliżu tego odcinka autostrady stał pojedynczy dom. Czy ktoś widział wypadek przez okno i wezwał policję?

Na twarzy Jake'a ukazał się pogardliwy uśmiech. Skinął w stronę kolegi.

- Andy lubi włączać syrenę przy byle okazji. Nie dba o to, że kiedyś popękają mi bębni.

- Więc ten kierowca pojechał dalej? - Cade nie dawał za wygraną.

Andy energicznie skinął głową i zgasił papierosa w popielniczce.

- Jak strzała.

Ostentacyjnie odganiając ręką dym, Jake syknął:

- Strzały nie potrafią prowadzić samochodu...

Mac przypomniała sobie dawne czasy, kiedy musiała rozstrzygać kłótnie młodszych braci. Podniosła głos.

- I co było dalej?

- Wyciągnęliśmy z wozu tę kobietę i jej dziecko. Andy przyniósł nosze i poszedł po drugie, ale ja pomyślałem sobie, że dziecko powinno pojechać do Mission Hospital. Mają tam specjalny oddział dla dzieci. Więc ich wezwałem.

- Nie ty, tylko ja - poprawił go Andy.

- Niech ci będzie, ty ich wezwałeś - powiedział ze złością Jake.

- Czy dziecko odniosło poważne obrażenia? - zapytał Cade.

- Miało guz na czole i drobne zadrapania - wyjaśnił Andy. - W przypadku takich małych dzieci lepiej dmuchać na zimne.

- Jaka firma odpowiedziała na wasze wezwanie? - zapytał Cade, modląc się w duchu, by to pytanie nie zapoczątkowało kolejnej kłótni mężczyzn.

Jake porwał leżącą na stole paczkę papierosów, zanim jego kolega zdążył się znowu poczęstować.

- Dominion. Przyjechali gdzieś tak po kwadransie. Wtedy my odjechaliśmy. A policja załatwiła resztę.

- Kiedy przyjechała policja? - wyrwało się Mac. Andy zamyślił się.

- Jakies pięć, dziesięć minut przed naszym odjazdem. Cade skończył pisać i zamknął notes.

- Dominion? Gdzie jest ich baza?

- Gdzieś w okolicach Laguny. - Spojrzał na Andy'ego, ale ten nie miał nic do dodania - Joan ma adres. - Wskazał w kierunku biura.

Cade i Mac podziękowali im za pomoc i poszli do biura po adres firmy Dominion. W pokoiku na zapleczu znowu wybuchła kłótnia, tym razem o to, kto ma rozdawać karty.

- To cud, że w ogóle udało im się dojechać do szpitala z moją siostrą - mruknęła Mac.

W odpowiedzi Cade tylko się roześmiał.

Niecałe pięć minut później wsiadali do wozu. Mac uznała, że milczała wystarczająco długo. Ten człowiek był wyjątkowo mało kontaktowy.

- No i co?

Wiedział, że pyta go o wnioski. Niestety, jak na razie nie miał żadnych. Tylko same podejrzenia.

- Coraz bardziej wygląda mi na to, że kierowca tej niebieskiej toyoty umyślnie najechał na twoją siostrę, żeby móc porwać dziecko.

Mac nie była naiwną dziewczynką. Wiedziała, jaki jest ten świat. Jednak coś takiego nie mieściło jej się w głowie.

- Przecież oni odjechali...

- Kiedy ambulans pokrzyżował im plany - przypomniał jej Cade. - A poza tym, nadal nie znaleziono tego drugiego ambulansu.

Chciała zapytać, co to może, jego zdaniem, oznaczać, ale się rozmyśliła. Pewnie i tak usłyszałaby wymijającą odpowiedź. Cade Townsend nie lubił, żeby na niego naciskać. Powiedziała sobie, że płaci mu za fachowość, a nie za towarzystwo. Z westchnieniem osunęła się w głąb fotela i próbowała zapanować nad rozbieganymi myślami.

- Mogę powiedzieć tylko to, co powiedziałem już policji. Henry i Smithy to nasi najlepsi kierowcy. - Łysy mężczyzna za biurkiem spojrzał niechętnie na Cade'a. Obok rozdzwonił się telefon. - Przyjmij, Billy, dobrze?! - krzyknął przez ramię do kogoś za zasuniętą kotarą, oddzielającą biuro od magazynu. Potem odwrócił się i znowu spojrzał na Cade'a i Mac. - Henry pracuje tu od samego początku, Smithy przyszedł trzy lata temu, tuż przede mną. Jeżeli któryś z nich świadomie wpłatał się w jakąś aferę, to ja jestem Elvis Presley.

Zadzwoił drugi telefon. Nie kryjąc irytacji, mężczyzna podniósł słuchawkę.

- Dominion. - Przez chwilę słuchał w milczeniu, marszcząc brwi. - Co z nimi? A ambulans? - Odetchnął z ulgą, a Cade i Mac wymienili spojrzenia. - Dzięki Bogu. Tak, oczywiście, i dzięki za telefon.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na nich z wyższością.

- Dzwonili z policji. Właśnie znaleźli Henry'ego i Smithy'ego - obwieścił triumfalnym tonem. - Ambulans też znaleźli.

To już było coś.

- Gdzie oni są? - zapytał Cade.

- Hej, Billy! - krzyknął mężczyzna do kolegi na zapleczu - znaleźli chłopaków.

Wszystko w porządku. - Dopiero potem odpowiedział na pytanie: - Policja zabrała ich do Harris Memorial.

- Nie masz wrażenia, że znowu wracamy do punktu wyjścia? - spytała Mac, kiedy szli ku drzwiom.

- Przynajmniej jesteśmy w ruchu - odparł Cade.

Miał rację. To było znacznie lepsze niż siedzenie przy łóżku Moiry, trzymanie jej za rękę i zastanawianie się, czy policja znalazła Heather.

- Ja wcale nie narzekam - obruszyła się Mac, wsiadając do samochodu.

Cade pokiwał głową na znak, że przyjmuje do wiadomości tę informację.

- No to wszystko jasne.

Jeden krok bliżej - powiedziała sobie Mac, kiedy Cade uruchomił silnik. Jeden krok bliżej do Heather.

ROZDZIAŁ 4

Przecież już to wszystko opowiedziałem policji.

John Smith - dla kolegów z pracy Smithy - sprawiał wrażenie mocno zniecierpliwionego.

Zerknął na Henry'ego, który był już gotowy, po czym skończył zapinać koszulę i spojrzał wymownie w stronę drzwi.

- Spieszę się do żony. Zwróćcie się do policji. Tam dostaniecie wszystkie informacje.

Cade dawno już się nauczył, jak sobie radzić z opornym świadkiem, który nie chce mówić, ale zanim zdążył otworzyć usta, Mac już go ubiegła i przyparła sanitariusza do muru.

- Wie pan równie dobrze jak my, że policja często nabiera wody w usta, kiedy chodzi o prowadzone przez nich śledztwo. Oni nie są tacy skorzy do tego, żeby się

dzielić informacjami. Ta mała dziewczynka, którą wieźliście do Mission Hospital, to była... to jest - poprawiła się szybko - moja siostrzenica Heather. Odkąd została porwana, nie mieliśmy żadnej wiadomości. Moja siostra, a mama tej malutkiej, leży w szpitalu, na oddziale intensywnej terapii. - Przerwała i wnikliwie spojrzała mu w oczy. - Do życia potrzebna jej nadzieja. - Położyła rękę na ramieniu mężczyzny. - Proszę, niech pan nie odbiera jej tej nadziei.

Cade patrzył na nią z podziwem, zastanawiając się, na ile to, co mu wcześniej o sobie powiedziała, było prawdą. Nie ulegało wątpliwości, że Mac potrafiła na zawołanie odstawić niezły teatr.

Smithy przyglądał rzadkie, siwiejące włosy i westchnął.

- W porządku. Myślę, że mamy jeszcze pięć minut. - Spojrzał na kolegę. - Co ty na to, Henry?

Wysoki, kościsty mężczyzna podszedł do łóżka, na którym siedział Smithy.

- Nie mam nic przeciwko temu.

W oczach Mac pojawił się błysk triumfu. Zupełnie zapomniała o obecności Cade'a.

- Jak on wyglądał? Ten człowiek, który jechał toyotą? Smithy patrzył na nią przez chwilę, zdeorientowany.

- To nie był on, tylko ona.

- Kobieta? - Cade uniósł w zdumieniu brwi i spojrzał na Mac. Oboje przyjęli niemal za pewnik, że porywaczem Heather jest mężczyzna.

Smithy, bardziej rozmowny z tej dwójki, dorzucił:

- O tak, to była kobieta, i to bardzo elegancka. Wsiadła z nami do ambulansu. To znaczy ze mną - wyjaśnił, bo Henry siedział z przodu, za kierownicą. - Powiedziała, że jest ciotką dziecka i że była z nim w samochodzie, kiedy zdarzył się wypadek. Powiedziała też, że jej siostra życzyła sobie, żeby pojechała z dzieckiem. - Spojrzał na Mac, a potem na Cade'a. - W całym tym zamieszaniu nie przyszły mi do głowy żadne podejrzenia. Pomyślałem, czemu nie?

Henry mruknął coś pod nosem, a potem chrząknął i spojrzał na Smithy'ego.

- Myślę, że po tej aferze nieprędko weźmiemy jakiegoś dodatkowego pasażera.

Smithy posępnie pokiwał głową.

- I co było dalej? - niecierpliwił się Cade.

- Jak tylko oddaliliśmy się z miejsca wypadku, ta kobieta wyjęła pistolet, wycelowała go we mnie i kazała Henry'emu zjechać z autostrady na zachód, do jakiejś małej miejscowości.

- Huntington Beach - wtrącił się Henry.

W tym momencie weszła pielęgniarka i poprosiła, żeby zwolnić łóżko, które było potrzebne dla następnego pacjenta. Kiedy znaleźli wolny kąt, Mac zapytała niecierpliwie:

- No i co?

- Kazała Henry'emu zatrzymać karetkę, a potem musiał mnie związać - kontynuował Smithy. - Zapytałem, o co jej chodzi, ale ona w ogóle nie chciała z nami rozmawiać, tylko ciągle wydawała rozkazy. A potem uderzyła mnie w głowę tak, że straciłem przytomność, związała Henry'ego i oddaliła się z dzieckiem.

- Przecież nie poszła na piechotę - zauważyła Mac. - Musiał tam czekać na nią jakiś samochód.

Rzeczywiście zaczynało to wyglądać na porwanie, zaplanowane z zimną krwią. Mac poczuła zimny dreszcz. Jak długo ci ludzie śledzili Moirę, czekając, aż trafi im się szansa? I jak często zdarzały się takie rzeczy?

- Ona miała telefon komórkowy - powiedział Smithy. - Wezwała taksówkę. Co za cwana sztuka. - W głosie mężczyzny zabrzmiała nuta mimowolnego podziwu.

- Czy któremuś z was udało się zobaczyć tę taksówkę? - naciskała Mac.

- Ja ją widziałem. - Smithy uśmiechnął się, błyskając złotym zębem. -

Podniosłem się na kolana i wyjrzałem przez tylną szybę. Zobaczyłem, jak wsiadała do taksówki.

- Co to była za taksówka? - zapytał Cade. Mężczyzna z żalem pokręcił głową.

- Nie mogłem odczytać nazwy korporacji. Wóz miał na dachu reklamę nowej sztuki, tej, która idzie teraz w „Centrum”. Nie mogę sobie przypomnieć tytułu. - Spojrzał zgnębiony na Cade'a, a potem na Mac. - Moja żona chce się na nią wybrać. Jest tam taki facet w masce. Duch coś tam.

- „Duch w operze”? - zapytała Mac. Nic innego nie przyszło jej do głowy.

Smithy klasnął w ręce, a potem wycelował palec w Mac.

- Tak. To jest to.

- Pamiętacie jeszcze coś? - zapytał Cade. Smithy potrząsnął głową.

- Nie, to już wszystko. Pomogliśmy wam chociaż trochę?

- O tak - zapewnił Cade. Każda informacja znaczyła bardzo wiele. Nie będzie łatwo odszukać tej taksówki, ale przynajmniej wiedzieli już, na czym się skoncentrować. Postanowił zaryzykować jeszcze jedno pytanie.

- A gdzie policja was znalazła? Smithy spojrzał pytająco na Henry'ego.

- Nie potrafię dokładnie powiedzieć - odparł Henry. - Ona kazała mi jechać jakąś boczną drogą wzdłuż wybrzeża. Gdzieś w okolicach Huntington Beach. Tam znaleźli nas dopiero na drugi dzień.

- Nie próbowaliście wzywać pomocy? Henry potrząsnął głową.

- To było niemożliwe. Zakneblowała nam usta bandażem i taśmą. Poza tym byliśmy związani.

- A jak ona wyglądała? - zapytał Cade.

- To bardzo dziwna sprawa - powiedział Smithy. - To była rzeczywiście kobieta z klasą. Gdybyście ją zobaczyli na ulicy, nigdy by wam nie przyszło do głowy, że ta osoba mogłaby być w cokolwiek zamieszana.

Cade powoli zaczął nabierać pewności, że mają do czynienia ze zorganizowaną szajką. To była zbyt profesjonalna robota. Zaczął się zastanawiać, ile osób może być w to wmieszanych i jaki może być zasięg tej przestępczej organizacji.

Spojrzał na Smithy'ego.

- Mógłbym prosić o więcej szczegółów na temat tej kobiety?

- Była wysoka. Wyższa niż ta pani. - Smithy spojrzał na Mac. - Blondynka, koło czterdziestki, bardzo zadbana. Miała świetną figurę. Dobrze ubrana, w eleganckim kostiumie. Ładna.

Mac kątem oka zauważyła, że Cade zawzięcie coś notuje w swoim zeszytiku. Ogarnęło ją zniecierpliwienie. Nagle zaczęło jej się wydawać, że drepczą w miejscu, zamiast posuwać się naprzód.

Smithy westchnął głęboko i zaczął sobie masować obolałe mięśnie.

- Strasznie mnie wszystko boli - powiedział do Cade'a. - To dlatego, że byłem tak długo związany.

Mac nagle przyszedł do głowy pewien pomysł.

- A może mógłby pan opisać rysownikowi jej wygląd? - zapytała.

Smithy skrzywił się. Bardzo mu się spieszyło do domu, a już i tak stracił więcej czasu, niż zamierzał.

- Jak długo to potrwa?

Cade pytaniem odpowiedział na pytanie.

- A jak długo to potrwa, zanim przestaną pana dręczyć wyrzuty sumienia, że to przez pana ta mała dziewczynka nie wróciła do matki?

W tej sytuacji Smithy uznał, że nie mają wyjścia.

- Dobrze, porozmawiamy z rysownikiem.

- Miałaś na myśli kogoś konkretnego? - zwrócił się Cade do Mac.

Jeszcze nie skończył mówić, a ona już sięgnęła po telefon komórkowy i wystukiwała numer.

- Mojego brata, Randy'ego. On się urodził z ołówkiem w ręku.

- Szczerze współczuję twojej matce - mruknął Cade. Odpowiedziała mu uśmiechem, który był równie niepokojący jak ona sama.

- Czy o to panu chodziło?

Randy Dellaventura podniósł szkiełko, żeby Smithy mógł go sobie obejrzeć.

- Tak, to ona. - Smithy spojrział na Cade'a. - Mówiłem, że to kobieta z klasą.

Randy z westchnieniem ulgi wyrwał z bloku kartkę i podał ją człowiekowi, który miał odnaleźć jego siostrzenicę.

Cade wpatrywał się w rysunek przez dłuższą chwilę. Ta kobieta nie przypominała żadnej z osób, na jakie natknął się w swojej dotychczasowej pracy. Wiedział jednak z doświadczenia, że szajki prowadzące nielegalny handel dziećmi wciąż werbowały nowe twarze.

Pokazał szkic Mac. Może ktoś z jej rodziny zna tę osobę?

- Przyjrzyj jej się uważnie. Nie rozpoznajesz tej kobiety? Mac z nadzieją śledziła każdą kreskę, którą postawił Randy.

Teraz pokręciła głową. Okazuje się, że to nie takie łatwe.

Cade spojrział na Randy'ego i przyłapał się na tym, że zadaje sobie w myślach pytanie, ilu jeszcze członków liczy klan Dellaventura. On sam był jedynakiem i

chował się w spokojnym, tradycyjnym domu, który prawdopodobnie był całkowitym przeciwieństwem domu, w jakim dorastała Mac.

- Dobra robota - powiedział, patrząc na rysunek. Pomyślał, że trzeba go będzie jak najszybciej zeskanować, porobić kopie i rozdać, komu trzeba.

Wszystko jednak w swoim czasie i we właściwej kolejności.

- Teraz musimy pokazać ten portret waszej siostrze - zwrócił się do Mac i do Randy'ego.

- Nie. - Moira potrząsnęła głową i oddała Cade'owi szkic. - Nigdy w życiu nie widziałam tej kobiety. Czy to ona porwała Heather?

- Wygląda na to, że tak.

- Ale dlaczego? Czemu miałyby robić coś tak strasznego? Po co jej moja córeczka? - W oczach Moiry pojawiły się łzy. Otarła je i ciągnęła dalej. - Przepraszam. Myślałam, że już wyplakałam sobie oczy.

- Jeszcze za to zapłaci, Moiro - powiedziała Mac z przejęciem. - Mogę ci to obiecać. A teraz weź się w garść i postaraj się wyzdrowieć. Zrób to dla Heather. - Uścisnęła dłoń siostry. - Zobaczymy się później. Idziemy - zwróciła się do Cade'a, wskazując głową drzwi.

Znowu zaczęła wydawać mu rozkazy. Widocznie ta kobieta musi zawsze grać pierwsze skrzypce. Wyszedł za nią, ale zatrzymał się, jak tylko znaleźli się na korytarzu. Kiedy spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem, zapytał:

- Dokąd idziemy?

Przez chwilę zdawała się nie rozumieć, o co mu chodzi. A potem machnęła ręką w nieokreślonym kierunku i odparła:

- Do następnego miejsca.

Cade skrzyżował ręce na piersi i czekał. Był ciekaw, co ona znowu wymyśliła.

- To znaczy gdzie?

- Nie wiem. Przecież to ty jesteś detektywem.

- No właśnie. Spróbuj pamiętać o tym dłużej niż przez trzy sekundy. - Po tych słowach Cade ruszył w stronę windy.

- Przepraszam. - Mac pobiegła za nim. - Nie wiedziałam, że tak łatwo cię urazić.

- Wcale nie tak łatwo, a przynajmniej na ogół. - Wcisnął guzik przywołujący windę i spojrzał na Mac. - Dobrze sobie radzisz z telefonami?

- Nie rozumiem.

W odpowiedzi Cade tylko się uśmiechnął.

Nie musiała długo czekać na odpowiedź.

Kiedy wrócili do biura, zastali tam dziewczynę imieniem Audra, która pod nieobecność sekretarki odbierała telefony i faksy. Poza nią w biurze nie było nikogo. Audra poinformowała Cade'a, że wszyscy wyszli w swoich sprawach.

- Lubisz być na bieżąco, dokładnie tak jak ja - powiedziała Mac do jego pleców.

- To nie to samo. - Znalazł to, czego szukał, i odwrócił się z książką telefoniczną w rękę. - To ja prowadzę tę agencję. Dlatego muszę wiedzieć, co robią moi współpracownicy. Chodź. - Zaprowadził Mac do swojego biura. - Możesz używać tego telefonu. Ja będę po drugiej stronie korytarza, w biurze Megan.

- Czy moja obecność aż tak bardzo działa ci na nerwy? - zapytała, lekko dotknięta.

- Co? - Nie zrozumiał, o co jej chodzi.

- Po co nam osobne pokoje?

- Będą nam potrzebne dwa telefony. Ty dzwoń z linii pierwszej, a ja będę dzwonił z drugiej. - Podał Mac książkę telefoniczną. - Najpierw trzeba obdzwonić wszystkie lokalne szpitale i zapytać, czy ktoś nie przywiózł wczoraj na ostry dyżur małej dziewczynki, odpowiadającej rysopisowi Heather. W okolicy jest pięć szpitali.

- Ja to załatwię.

- Potem zadzwoń do korporacji taksówek, wymienionych na stronie pierwszej. Ja wezmę drugą stronę. - Cade wiedział, że

Megan ma w swoim pokoju własny egzemplarz książki telefonicznej. -
Zapytaj...

- Czy ktoś nie wiózł wczoraj z Huntington Beach eleganckiej kobiety koło czterdziestki z malutką dziewczynką - dokończyła Mac.

Chcąc nie chcąc, musiał przyznać, że podobał mu się jej tok rozumowania.

- Jak zwykle, o krok przede mną - westchnął.

Nie miała zamiaru przeproszać go za to, że myślała tak szybko. Przywykła uważać to za swoją zaletę.

- To cię denerwuje, prawda?

- Nieszczególnie. - Chciał być z nią szczery. - Za to strasznie mnie denerwuje, kiedy kończysz za mnie zdanie. - Mimowolnie się uśmiechnął. Ta kobieta miała takie wyraziste oczy. Patrząc w nie, mógł prawie odgadnąć jej myśli. Kłopot w tym, że tylko prawie. - Prawdę mówiąc, zawsze podziwiałem ludzi bystrych.

- Pod warunkiem, że nie były to kobiety, co?

Cade zamilkł. Zastanawiał się, czy ona była taka z natury, czy też coś później sprawiło, że zrobiła się taka defensywna.

- Pani doktor, nie jest pani ekspertem w rozszyfrowywaniu ludzi, choć może tak się pani wydaje. Megan Andreini jest jedną z moich najserdeczniejszych przyjaciółek. Kiedy miałem z nią ostatnio do czynienia, była piekielnie kobieca, a zarazem ostra jak brzytwa. Nigdy by nie została moją partnerką, gdyby nie była właśnie taka.

- Przecież ja też jestem taka - powiedziała Mac i mimowolnym gestem przycisnęła do piersi książkę telefoniczną. - Tyle że zwykłam głaszczyć ludzi pod włos.

Ona rzeczywiście była strasznie defensywna. A może także trochę przeczulona.

- Nie głaszczesz mnie pod włos, Mac - powiedział łagodnie. - Chodzi o to, że nie przywykłem pracować z drugą osobą.

- Przecież dopiero co mówiłeś...

Cade uświadomił sobie, że musiał się wyrazić niejasno.

- Megan jest moją współpracowniczką w agencji - wyjaśnił. - Ona prowadzi swoje sprawy, a ja swoje. Czasami konsultujemy się, ale nigdy nie pracowaliśmy razem przy jednej sprawie. To dla mnie całkiem nowe doświadczenie. Musisz być dla mnie bardziej wyrozumiała. - Wskazał na książkę telefoniczną. - Jak na coś natrafisz, wołaj.

Spuściła wzrok. Czas mijał. Czas, którego mieli tak niewiele.

- A może policja ma już jakieś informacje?

- Może tak, może nie. Może robią w tej chwili dokładnie to samo co my.

Niestety, nie znam detektywa, który zajmuje się tą sprawą. - Podano mu wprawdzie nazwisko, ale nie przypominał sobie nikogo takiego ani też kogokolwiek, kto mógłby

go znać. Jeżeli mieli działać szybko, byli zdani na własne siły. - Zaczynij już - powiedział, stukając w książkę telefoniczną.

Mac podeszła zrezygnowana do biurka, usiadła i otworzyła książkę telefoniczną na literze T.

Skreśliła kolejną pozycję na liście. To już piętnasty telefon. Piętnaście razy pudło. Nic. Ślepy trop.

Zmęczona, pokręciła głową, a potem odrzuciła włosy i zaczęła sobie masować zeszywniały kark. Czuła, że znowu ogarnia ją rozpacz. Potrzebny był jej zastrzyk nowej energii.

Zauważyła, że w poczekalni stoi dzbanek z kawą. Może filiżanka gorącego płynu postawi ją na nogi.

Wstała i przecinając korytarz, skierowała się do pokoju, w którym pracował Cade. Do biura Megan. Już od drzwi zauważyła tu i ówdzie ślady kobiecej ręki, ale ogólnie rzecz biorąc, pokój urządzony był pod kątem funkcjonalności. Jak u Cade'a. Nagle przyłapała się na tym, że zadaje sobie pytanie, czy ich współpraca miała jakieś głębsze tło.

Kiedy zajrzała przez drzwi, Cade spojrzał na nią pytającym wzrokiem. Potrząsnęła głową i skinęła w stronę poczekalni.

- Czy to kawa dla wszystkich?

- Tak, nalej sobie - odparł Cade, czekając, aż dyspozytorka na drugim końcu linii sprawdzi listę kursów z poprzedniego dnia.

- Dzięki. - Mac cofnęła się, a potem znowu zajrzała do pokoju. - Ty też się napijesz?

- Niezła myśl. - Marzył o kawie. - I proszę bez cukru. Na samą myśl o czymś takim Mac aż się wzdrygnęła.

- To brzmi raczej jak kara niż jak kawa.

Sama dodała do swojej masę śmietanki i cukru. Wprawdzie jej organizm domagał się przede wszystkim kofeiny, ale trzeba mu ją było zaserwować w jakiś możliwie strawny sposób. Mac miała wrażenie, że odkąd porwano Heather, żyła wyłącznie na kofeinie. Zmęczenie napływało falami, żeby ustąpić po kolejnej filiżance

kawy. Prawie wcale też nie spała przez dwie ostatnie noce i zaczęła się zastanawiać, kiedy przyjdzie nieuchronny kryzys.

Wróciła, niosąc dwa kubki. Jeden postawiła przed Cade'em na biurku.

- Proszę, oto twój kubek błota - powiedziała.

Cade podniósł wzrok i skinął głową, słuchając z uwagą kogoś na drugim końcu linii.

- Czy on tam teraz jest? Jest jakaś szansa, żeby z nim porozmawiać? Możemy tam być za... - urwał i spojrzał na adres, zakreślony w książce - ...za jakieś dwadzieścia minut. W porządku. Nie ma sprawy.

Mac stała obok zniecierpliwiona i omal nie zaczęła szarpać go za rękaw. Kiedy wreszcie odłożył słuchawkę, nie wytrzymała:

- No i co? Znalazłeś go?

Cade zapisał numer na osobnej karteczce.

- Na to wygląda.

Ruszył ku drzwiom, a ona za nim.

- Z czym „nie ma sprawy”?

Cade wsunął karteczkę z adresem do kieszeni.

- Dyspozytorka powiedziała, że nie możemy za długo przytrzymywać kierowcy.

Mac poczuła, że ogarnia ją podniecenie. Jednak nie pomyliła się, zatrudniając tego człowieka.

- Wystarczy, jak nam opowie, gdzie wysadził tę kobietę z dzieckiem.

Dawid Hutton potarł jednodniowy zarost i wpatrywał się przez chwilę w szkic. Powiedział im już, że zabrał tę kobietę z pobocza drogi i zdumiał się, kiedy wspomnieli o jakimś ambulansie. Nie zauważył żadnego w najbliższej okolicy.

- Tak, to ona. Mam świetną pamięć do twarzy. - Oddał

Cade'owi szkic. - Przez cały czas się uśmiechała i mówiła do dziecka.

Mac przysięgła sobie w duchu, że kiedy już ją dostanie w swoje ręce, powyrywa jej wszystkie włosy z głowy. Przecież Heather była w samochodzie z Moirą, gdy zdarzył się wypadek, i odniosła obrażenia na tyle poważne, że sanitariusze

uznali za stosowne wezwać drugą karetkę. Kto wie, w jakim stanie dziecko jest w tej chwili?

- Może pan powiedzieć coś więcej o dziecku? - zwróciła się do taksówkarza.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Nie zauważył niczego szczególnego. Całą uwagę skupił na pasażerce.

- Raczej nie. Dziecko jak dziecko. Nie znam się na dzieciach. W każdym razie, było bardzo spokojne.

- Spokojne? - Mac nie spodobało się to słowo. Heather zawsze była żywą, wesołą dziewczynką.

- No tak. Chyba spało. Ta kobieta mówiła, że to wyjątkowo grzeczne dziecko. - Złożył pięćdziesięciodolarowy banknot, który dostał od Cade'a, i z niepokojem zapytał: - A o co tu właściwie chodzi?

- To dziecko zostało porwane - wyjaśnił Cade. Taksówkarz osłupiał.

- Przez kogo? Przez tę kobietę?

- Tak, przez tę kobietę - potwierdziła z naciskiem Mac. Mężczyzna cicho gwizdnął.

- Naprawdę?

Cade wyjął drugą pięćdziesiątkę.

- Naprawdę. Dokąd pan ją zawiózł?

- Do Bedford Chandler - odparł mężczyzna z uśmiechem, kiedy Cade wsunął mu banknot do ręki, po czym szybko schował go do kieszeni, jakby się bał, że jego rozmówcy mogliby uznać, iż odpowiedź nie jest warta tych pieniędzy.

Cade rozumiał niepokój Mac o stan zdrowia Heather. Kobieta, która porwała dziecko, prawdopodobnie będzie się starała unikać wizyt u lekarza, by nie wzbudzić podejrzeń. Musiałaby przecież odpowiedzieć na wiele pytań i wypełnić kwestionariusz.

- Czy myślisz o tym samym co ja? - zapytała Mac. Cade skinął głową.

- Hotel jest w pobliżu lotniska.

- A więc myślisz o tym samym co ja. - Mac odwróciła się na pięcie i już sunęła w stronę drzwi, kiedy zatrzymał ją głos Cade'a.

Na jej twarzy odmalowało się zdumienie. Najwidoczniej sądziła, że są o krok od odzyskania Heather. Cade z doświadczenia wiedział, że tego typu sprawy rzadko dały się rozwiązać tak szybko. Jak ona to zniesie, kiedy się okaże, że i ten trop zaprowadził ich donikąd?

- Może jej tam już nie być - uprzedził. - Mogła posłużyć się tym adresem, żeby zmylić ślady, na wypadek gdyby komuś udało się dotrzeć aż tak daleko.

Prawdopodobnie miał rację. W końcu to on był w tych sprawach fachowcem, ale Mac nie chciała o tym myśleć. Musiała wierzyć, że są już bliscy odzyskania Heather. Czowała, że nie potrafi spojrzeć Moirze w twarz, póki nie odnajdą dziecka.

- A może poczuła się zbyt pewna siebie?

- Może.

Musiał się z nią zgodzić, bo czuł, że i tak nie zdoła jej powstrzymać. Westchnął z rezygnacją. Na liście jego obowiązków przybył mu jeszcze jeden, i to nielekki - miał zostać aniołem stróżem McKayli Dellaventury.

RS

ROZDZIAŁ 5

Przykro mi, ale nie podajemy numerów pokoi naszych gości.

- Recepcjonista hotelu Bedford Chandler obrzucił ich niechętnym spojrzeniem, kiedy pokazali mu szkic.

- Całkiem słusznie, tylko że ta osoba ukradła dziecko - poinformował go Cade, tłumiąc z trudem gniew.

- Więc to nie było jej dziecko? - zdumiał się recepcjonista.

- Czyli ona tu jest - powiedziała Mac, starannie odmierzając słowa.

- Już jej nie ma - poprawił recepcjonista z niepewną miną.

- Wymeldowała się wczoraj wieczorem. Bardzo jej się spieszyło. Mówiła, że stęskniła się za mężem.

- Nie mówiła, gdzie jest jej mąż? - zapytał Cade. Recepcjonista potrząsnął głową.

- Nie.

- A telefony? - Cade nie dawał za wygraną. - Nie dzwoniła z pokoju? Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Wszyscy goście na ogół gdzieś dzwonią.

Mac sięgnęła przez ladę i położyła mu rękę na ramieniu.

- Mógłby nam pan pokazać wydruk telefonów?

- To wbrew przepisom - obruszył się recepcjonista.

- Podobnie jak kidnaperstwo - przypomniała mu Mac. Wyjęła książeczkę czekową. - Ile to będzie kosztowało?

Recepcjonista szybko się rozejrzał, po czym wychylił się w stronę Mac i zapytał:

- Ta mała dziewczynka naprawdę została porwana? To już krok naprzód. Mac odetchnęła z ulgą.

- To moja siostrzenica. Kobieta, która mieszkała w tym hotelu, spowodowała wypadek na autostradzie, a potem, kiedy moja siostra leżała ranna w karetce, uprowadziła jej dziecko. Siostra leży teraz w szpitalu, na oddziale intensywnej terapii.

Jej mąż zmarł i dziecko jest dla niej wszystkim. Błagam pana, niech mi pan pomoże odzyskać jej córeczkę.

Recepcjonista, widocznie poruszony, wystukał coś na klawiaturze komputera.

- Jedną chwileczkę - powiedział, patrząc na Mac ze współczuciem, a potem zaczął czegoś szukać na monitorze.

Kiedy znalazł to, o co mu chodziło, nacisnął klawisz „drukuj”. Drukarka na ladzie ożyła i z cichym szumem wypluła z siebie zapisaną kartkę.

Trwało to mniej niż pół minuty. Mężczyzna z szarmanckim uśmiechem położył wydruk przed Mac.

- Proszę. Na koszt firmy.

Cade przysunął się i ponad ramieniem Mac zerknął na spis numerów telefonicznych. Włosy Mac muskały mu twarz, odsunął się więc i spróbował skoncentrować na treści kartki.

Wynikało z niej, że kobieta zajmująca pokój numer 824 nazywa się Susan Wiley i pochodzi z Seattle w stanie Waszyngton. Cade miał poważne podejrzenia, że i nazwisko, i adres są fałszywe.

Sądząc po wydruku, z pokoju 824 dzwoniło cztery razy. Raz pod lokalny numer, trzy telefony były zamiejscowe, na ten sam numer.

- Czy numer kierunkowy coś ci mówi? - Mac odwróciła głowę i spojrzała na Cade'a.

- Nie - odparł, ale w tej samej chwili doznał olśnienia. - Poczekaj. - Wziął wydruk i zaczął uważnie studiować numery. - Wydaje mi się, że to numer kierunkowy do Phoenix.

Cade spojrzał na recepcjonistę, ale nie doczekał się ani potwierdzenia, ani zaprzeczenia.

Pomyślał, że wprawdzie recepcjonista odmówił przyjęcia łapówki od Mac, ale teraz przyszła pora spróbować po raz drugi. Odsunął łagodnie Mac i oparł się o ladę.

- Ile jest, pana zdaniem, wart numer karty kredytowej tej kobiety?

- Obawiam się, że ma pan pecha. - Recepcjonista potrząsnął głową z miną sugerującą, że on sam także ma pecha. Na widok banknotu pięćdziesięciodolarowego wybałuszył oczy, a potem westchnął z rezygnacją. - Ona za wszystko płaciła gotówką.

Cade wymienił pięćdziesiątkę na dwudziestkę i zostawił ją na ladzie. W końcu recepcjonista starał się, jak mógł. Informacje, które im podał, także były coś warte.

- Nie wydało się to panu dziwne? - zapytał. Mężczyzna szybko nakrył dłonią banknot.

- Nie. My tu ciągle mamy najróżniejszych dziwaków. -

Wsunął pieniądze do kieszeni. - A poza tym, ona wyglądała bardzo elegancko.

- Tak też słyszeliśmy. To najlepszy kamuflaż - zauważył Cade, a potem zerknął na Mac. Jak na razie trzymała się dzielnie. Lepiej, niż można by się spodziewać po kimś w jej położeniu. - Gdzie jest najbliższy automat telefoniczny?

Recepcjonista wskazał im wnękę przy foyer.

- Dzięki. - Cade skinął głową i ruszył w stronę telefonów. Przystanął przy wolnym automacie i wystukał numer lokalny z listy.

Po trzech sygnałach odezwał się miły głos:

- Tu US Airlines. Jeżeli chodzi o rezerwację, proszę nacisnąć guzik...

Dokładnie tak, jak się spodziewał. Przynajmniej dysponowali nazwą linii lotniczych. Odwiesił słuchawkę.

- No i co? - natychmiast zapytała Mac.

- Poleciała liniami US Airlines.

Znali już linie lotnicze. Teraz trzeba było dowiedzieć się o kierunek. Telefony do Phoenix sugerowały, że mogła udać się właśnie tam, ale nie można było przyjąć tego za pewnik. Cade spojrzął na zegarek. Nic dziwnego, że nagle poczuł się bardzo zmęczony. Zrobiło się późno. Poszukiwania zajęły im cały dzień.

- Może powinniśmy już zakończyć na dziś, a jutro zaczęlibyśmy od rana?

On chce odejść? Teraz? Mac poczuła, że ogarnia ją histeria. Mimo to zdołała się jakoś opanować i skinęła głową.

- Dobrze. W tej sytuacji ja cię zastąpię. - Odwróciła się i poszła w stronę obrotowych drzwi.

Cade w pierwszej chwili osłupiał, a potem ruszył za nią, nim zdał sobie sprawę z tego, co robi. Dopadł Mac, zanim zdążyła wyjść z hotelu, i odwrócił ją ku sobie.

- Co to znaczy, że mnie zastąpisz? Strząsnęła jego rękę i weszła w obrotowe drzwi.

- Sama będę dalej szukać.

Podszedł za nią aż do krawężnika, ale ona przestała zwracać na niego uwagę. Było jasne, że ma już dokładny plan działania.

Na widok hotelowego boya Mac pomachała pięciodolarówką. Chłopak w zielonej liberii podszedł do niej i zapytał:

- Czym mogę służyć?

- Proszę wezwać taksówkę. - Wręczyła mu pieniądze. Cade poczuł, że ogarnia go rozpacz. Wyjął nową pięciodolarówkę i gestem przywołał boya.

- Nie, proszę nie wzywać taksówki.

Zdezorientowany, a zarazem uradowany tą nieoczekiwaną przychylnością fortuny, chłopak schował pieniądze do kieszeni i spojrzał pytająco na niezdecydowaną parę.

- Mogę coś dla państwa zrobić?

Cade popatrzył na niego tak wymownie, że chłopak odwrócił się na pięcie i zniknął.

- Dlaczego to zrobiłeś?! - wykrzyknęła Mac. Tym razem nie potrafiła już ukryć oburzenia.

- Bo wcale nie jest ci potrzebna taksówka. Spojrzała na niego, marszcząc gniewnie brwi.

- Nie wiem, jak to jest u ciebie, ale dla mnie to za daleko na piechotę.

- Chcesz jechać na lotnisko?

Uśmiechnęła się z wyższością.

- Teraz już wiem, dlaczego odnosisz takie sukcesy w swoim zawodzie.

Ta kobieta stanowiła poważne wyzwanie dla jego cierpliwości i dobrych manier. Teraz, na przykład, z trudem udało mu się zapanować nad sobą. Z westchnieniem ujął ją pod rękę.

- Chodź, zawiozę cię.

- Nie jestem dzieckiem - powiedziała, próbując uwolnić rękę, jednak bez skutku. - Nie lubię, jak ktoś mnie ciągnie.

- Wiek nie ma z tym nic wspólnego - zapewnił ją Cade. Trzymał ją mocno za łokieć, póki nie dotarli do samochodu.

Ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę, to żeby wymknęła mu się spod kontroli. Póki to on prowadził tę sprawę, chciał ograniczyć przypadkowe działania do minimum. Był już prawie pewny, że kobieta, która uprowadziła Heather, nie działała w pojedynkę, a współtwórcy tego dramatu to ludzie znacznie bardziej perfidni, niżby się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka.

Ludzie tego pokroju wiedzieli, jak unikać ryzyka.

Kiedy wreszcie puścił Mac, potarła z westchnieniem obolały łokieć.

- Już się zaczynałam bać, że zechcesz przywiązać mnie do bagażnika.

Spojrzał na nią przeciągle.

- Miałem przez chwilę taki pomysł. - Począł, aż Mac wsiądzie do samochodu, a potem otworzył drzwi od strony kierowcy. Usiadł za kierownicą, zapalił światła i włączył radio akurat w chwili, gdy aksamitny tenor wyznawał miłość damie swego serca. - Zawsze byłaś taka skupiona na jednym?

Widząc, że nie ma wyjścia, Mac rozsiadła się wygodnie w fotelu.

- Raczej tak.

Tylko w ten sposób można było rozwiązać trudne sprawy. Na przykład wybór zawodu. Ojciec miał początkowo zupełnie inne plany w związku z jej osobą. Chciał, żeby została nauczycielką. Szlachetne powołanie, ale ona się do tego absolutnie nie nadawała. Wybór ojca podyktowany był przywiązaniem do tradycji i nigdy nawet nie zapytał jej o zdanie. Musiała mu sama wyraźnie powiedzieć, co o tym myśli.

Zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna teraz zachować swoich przemyśleń dla siebie, ale okazało się, że nie potrafi milczeć dłużej niż przez kilka taktów nostalgicznej piosenki.

Odezwała się, kiedy wyjechali z parkingu.

- Moim zdaniem, ta elegancka kidnaperka już i tak ma nad nami zbyt dużą przewagę. Nie zamierzam dawać jej w prezencie kolejnej nocy.

Zatrzymali się na światłach. Cade spojrzał na nią.

- A nie przyszło ci do głowy, że ta kobieta musi czasami jeść i spać jak reszta ludzi - poza tobą?

Jeżeli chciał ją zniechęcić, to mu się nie udało.

- W tej sytuacji nadrobię trochę czasu. Akurat tyle, żeby ją dogonić.

Wpatrzony w jadące przed nim samochody, Cade nie uznał za stosowne skomentować tej wypowiedzi. Po co miałby wdawać się w kolejną kłótnię? Poza tym zaczynał podejrzewać, że nikomu jeszcze nie udało się wygrać na słowa z McKaylą Dellaventurą.

Na własnej skórze przekonał się przed paroma minutami, że nie ma szans w sytuacji, gdy Mac decydowała się użyć swojego wdzięku i wrażliwości. A potrafiła to robić z niebywałym artyzmem.

Kiedy dotarli na lotnisko, udali się wprost do stanowiska US Airlines. Cade położył na ladzie szkic Randy'ego i spojrzał na młodego pracownika.

- Czy to pan miał dyżur ostatniej nocy? - zapytała Mac, zanim Cade zdążył otworzyć usta. Ta jej maniera coraz bardziej działała mu na nerwy.

Mężczyzna obciągnął marynarkę i tłumiąc ziewanie, odpowiedział:

- Tak. Wczoraj i przez cały tydzień, od wtorku do piątku. - Kładąc palce na klawiaturze, spytał: - Dokąd chcą państwo lecieć?

- Donikąd - odparła Mac. - Chodzi o pewną informację - kontynuowała, nie zrażona niechętnym wyrazem twarzy mężczyzny za ladą. - Czy ta kobieta zabukowała wczoraj w nocy bilet na lot do Phoenix? Prawdopodobnie płaciła gotówką. Niewykluczone, że podróżowała pod nazwiskiem Susan Wiley.

W zaspanym mężczyźnie obudziła się nagle lojalność w stosunku do własnej firmy. Wyprostował się, urażony.

- Przykro mi, ale nie wolno nam udzielać tego typu informacji.

Znowu to samo. Mac nie zwykła się poddawać. Sięgnęła do portfela i przystąpiła do słownego ataku na fortecę w uniformie US Airlines.

- Ona podróżowała z dzieckiem. Półtoraroczną dziewczynką. Heather. - Mac znalazła fotografię i położyła ją na kontuarze. - To jest zdjęcie dziecka.

Powodowany ciekawością, mężczyzna kątem oka zerknął na fotografię.

- Naprawdę, proszę pani, strasznie mi przykro, ale nie mogę... Mac chwyciła go za rękę, zmuszając, by na nią spojrzał.

- Błagam pana - powiedziała. - To moje dziecko. Moja córeczka.

Cade z rosnącym podziwem patrzył, jak Mac z apodyktycznej walkirii przeistacza się w bezradną kobietkę, której tylko mężczyzna za ladą jest w stanie pomóc.

- Porwano ją dwa dni temu. Po strasznym wypadku samochodowym. Jedyne świadek twierdzi, że porywaczka wyglądała tak. - Mac zabębniła palcami w szkic. - Ścigamy ją z mężem przez cały dzień. - Skinęła w stronę Cade'a. - Proszę, niech mi pan pomoże - dodała błagalnym tonem. Po jej policzkach potoczyły się łzy.

Poruszony do głębi mężczyzna rozejrzał się nerwowo na wszystkie strony, a potem szybko wystukał coś na klawiaturze komputera.

- Chyba ją widziałem - powiedział półgłosem. - Mówi pani, że leciała do Phoenix, tak?

- Tak przypuszczamy - odpowiedziała Mac. Nie spuszczać wzroku z twarzy mężczyzny, mimowolnie chwyciła Cade'a za rękę i mocno ją ścisnęła.

Cade odniósł wrażenie, że przestała oddychać, wpatrzona w palce, fruujące nad klawiaturą. W hali lotniska wcale nie było cicho, mimo to słyszeli jedynie stukot klawiszy.

Wreszcie mężczyzna trafił na właściwą pozycję i odetchnął z ulgą.

- O tu, matka z dzieckiem. Lot do Phoenix. Bilet w jedną stronę. - Zdezorientowany podniósł wzrok. - Podała nazwisko Lucy Carlyle.

Nie zdziwiło to wcale Cade'a. Zwykła próba zatarcia śladów.

- Płaciła gotówką? Mężczyzna skinął głową.

- Tak.

- To ona. - Cade wyciągnął szyję i przechylił się ponad ladą, próbując zajrzeć w ekran monitora. - O której poleciała?

Usiłując zachować resztki protokołu, pracownik US Airlines nie odwrócił monitora.

- Wczoraj wieczorem o siódmej trzydzieści.

- Dziękuję. - Cade z wdzięcznością uściśnął mu rękę. - Bardzo dziękuję - dodał.

- Nie ma za co. Mam nadzieję, że uda się państwu odnaleźć córeczkę! - zawołał za nimi mężczyzna.

Mac spojrzała z uśmiechem przez ramię.

- Dzięki. Ja też mam tę nadzieję.

W jej głosie zabrzmiała absolutna pewność jak wtedy, gdy rozmawiała z siostrą w szpitalu. Było oczywiste, że McKayla nie spocznie, póki nie odnajdzie siostrzenicy. Cade był doskonale obeznany z tego typu determinacją i świetnie znał towarzyszące jej uczucia.

Nagle poczuł lekkie mrowienie, pełzące wzdłuż ramienia. Palce zaczynały mu drętwieć. To Mac wciąż kurczowo ścisnęła go za rękę.

- Nie mam nic przeciwko temu, że się mnie tak trzymasz, ale gdybyś chciała, możesz mnie w każdej chwili puścić.

- Co takiego? - Mac spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Dopiero po chwili dotarło do niej, że wciąż trzyma go za rękę. Puściła jego dłoń, zawstydzona. - Och, przepraszam - powiedziała.

Cade zaczął poruszać palcami, żeby przywrócić w nich krążenie. Wiedział wprawdzie, że Mac nie jest tak krucha jak jej siostra, mimo to nie przypuszczał, że ma tak mocny uścisk. Skinął w stronę pracownika US Airlines.

- Grałaś na jego uczuciach jak wirtuoz na skrzypcach. Gdzie się tego nauczyłaś?

Mac uśmiechnęła się.

- Potrzeba matką wynalazku. Ćwiczyłam na ojcu, kiedy chciałam go udobruchać, bo wracałam zbyt późno do domu.

Cade pomyślał, że Mac musiała mieć na podorędziu więcej takich sztuczek i wiedziała, jak się nimi posługiwać. Raz jeszcze dokonał w myślach przeglądu zalet kobiety, z którą los zetknął go tego ranka. Była piękna, naturalna, budziła zaufanie. A jej niezależność można by nawet uznać za pozytywną cechę, gdyby nie to, że z jej pomocą chciała go zdominować.

- Co ty na to, żeby zakończyć ten dzień? - Pytając, z góry wiedział, jaka będzie odpowiedź.

Mac spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Przecież dopiero co zaczęliśmy.

Pomyślał, że jeszcze gotowa sama polecieć do Phoenix, napędzając się własną energią. Niestety, tego rodzaju energia na ogół wyczerpywała się w najmniej spodziewanym momencie.

- Nie powinnaś zadzwonić do męża?

- Nie mam męża. - Pogrzebała w torebce i wyjęła telefon komórkowy. -
Zadzwońię do brata. Niech zastąpi rodziców przy Moirze. Kup nam bilety na samolot.
- Kiedy zaczęła wystukiwać numer Danny'ego, wyjął jej z ręki komórkę. Spojrzała na niego zaskoczona. - Co robisz?

Cierpliwość Cade'a w końcu się wyczerpała. Mac, jak tocząca się z góry śniegowa kula, zaczynała nabierać nie tylko prędkości, ale i masy. Jeżeli nie będzie ostrożny i nie powstrzyma jej już teraz, zmiążdży go swoim ciężarem.

- Musimy sobie wyjaśnić parę rzeczy - powiedział, oddając jej wyłączoną komórkę. - Jeżeli płacisz mi za to, że mam prowadzić poszukiwania, byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś przestała mną rządzić. - Zobaczył w jej oczach błysk gniewu, nie zrobił on jednak na nim wrażenia. Ostatnia kobieta, przy której czuł się onieśmielony, nazywała się siostra Michaela. Mierzyła metr osiemdziesiąt, a on miał wtedy osiem lat. Mówił dalej: - Jeżeli już musisz mieć kogoś, kto ci posłuży za popychadło, to poszukaj sobie innej osoby. Widzę, że nie są ci potrzebne moje usługi, do których, tak przy okazji, nie zalicza się ciągle potakiwanie.

Mac milczała przez chwilę.

- Posłuchaj - powiedziała wreszcie - jeżeli nadepnęłam ci na odcisk albo uraziłam w jakiś sposób twoje uczucia, przepraszam...

- Uczucia nie mają tu nic do rzeczy - przerwał jej. - Świetnie rozumiem, co teraz przeżywasz. Sam przez to przeszedłem. Nie można jednak zbyt długo działać na pełnych obrotach. Jeżeli nie zrobisz przerwy, żeby nabrać paliwa, silnik ci się zatrze i nie ruszysz z miejsca.

Nie spodobało jej się to porównanie.

- Jestem człowiekiem, a nie samochodem wyścigowym. Cade położył jej rękę na ramieniu.

- To samo dotyczy ludzi.

Mac odniosła wrażenie, że zamierza ją tak trzymać, póki się nie podda. Chcąc nie chcąc, uległa. Spojrzała na niego z westchnieniem.

- Co, wobec tego, proponujesz?

Cade skierował się w stronę wyjścia na parking.

- Najpierw musimy coś zjeść. Potem podsumujemy to, czego się już dowiedzieliśmy. Zadzwoń do detektywa, który zajmuje się tą sprawą, i zapytam, czy mają coś nowego...

Gdyby policja wpadła na jakiś trop, ktoś na pewno zadzwoniłby do jej rodziny, a oni już by ją zawiadomili. Tymczasem jej komórka milczała jak zaklęta.

- Ale...

Cade nie dał sobie przerwać.

- A może to my mamy coś dla niego - ciągnął, kiedy wychodzili z budynku. - Powinnaś wiedzieć, że w tym zawodzie dobrze jest mieć coś na wymianę.

Mac zmiażdżyła go wzrokiem.

- Ja nie zamierzam pozostać w tym zawodzie. Interesuje mnie wyłącznie moja siostrzenica.

- A jeżeli już o tym mowa, od kiedy to jesteście mężem i żoną?

- Od chwili gdy stało się to potrzebne. - Mac odwróciła się i spojrzała mu w twarz. - Przepraszam, że ściszałam cię za rękę. Przepraszam, że nadepnęłam ci na odcisk. Przepraszam...

Nie interesowały go jej tłumaczenia czy przeprosiny. Nie dlatego poruszył ten temat. Mac sprawiała wrażenie, jakby była jednym kłębkim nerwów. Nie chciał być świadkiem jej wybuchu czy załamania. Nie będzie wtedy czasu, żeby ją ratować.

- Kiedy ostatnio spałaś albo jadłaś?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Przeczesała palcami włosy. Może rzeczywiście była trochę zmęczona, ale będzie mnóstwo czasu na sen, gdy już będzie po wszystkim.

- Zanim ojciec zadzwonił z wiadomością o Moirze. - Czując badawczy wzrok Cade'a, usiłowała sobie przypomnieć jakieś szczegóły, ale jej się nie udało. - Chyba przedwczoraj wieczorem. - Popatrzyła na niego. - Mogę przecież się przespać i zjeść w samolocie.

- Nie w tej kolejności - powiedział, puszczając ją. - Posłuchaj mnie uważnie, McKaylo. Jeżeli chcesz, żebym zajął się tą sprawą, musisz stosować się do moich poleceń. Pewnie nie jesteś do tego przyzwyczajona, ale takie są zasady. - Skończył i czekał na jej odpowiedź.

Nikt nigdy nie nazywał jej McKaylą - poza obcymi i rodzicami. Zawsze miała wtedy ochotę schować się w mysią dziurę. Dokładnie tak samo jak teraz, kiedy wiała się pod spojrzeniem Cade'a.

Zasepiła się, a potem podniosła rękę do góry. Bez względu na to, czy jej się to podoba, czy nie, Cade jest jej potrzebny. Dlatego musi się pogodzić z tym, że to on będzie dyktował reguły gry.

- Niech ci będzie. Zjem coś. Mogę sobie nawet uciąć krótką drzemkę, o ile to poprawi ci samopoczucie. - Potrząsnęła głową. Rysy jej złagodniały. - Wcale nie jesteś taki zgodny, na jakiego wyglądasz.

Cade otworzył przed nią drzwi samochodu.

- Nawet nie pytam, czy to miał być komplement.

Ona także nie kwapiła się, żeby mu odpowiedzieć. Cade poczekał, aż Mac wsiądzie, a potem zamknął za nią drzwi.

- Jest tu taka mała restauracja w pobliżu - powiedział, sadowiąc się za kierownicą.

Mac zapięła pasy.

- Czy będę musiała siedzieć przy stole, póki nie zjem wszystkiego do ostatniego okruszka?

- Jakoś się dogadamy - odparł z uśmiechem Cade.

Mac nie zdawała sobie sprawy z tego, jaka była głodna, póki nie wbiła zębów w grubą kanapkę. Zatrzymali się przed przytulną restauracyjką, którą Mac wypatrzyła tuż obok lotniska. Cade przystał na to, żeby nie wszczynać kolejnej dyskusji na temat wyboru miejsca, a jej chodziło tylko o to, żeby nabrać nowych sił.

Żołądek, który dotąd tak skutecznie ignorowała, nagle dał o sobie znać i głośno zaburczał, kiedy postawiono przed nią talerz. Zażenowana, spojrzała na Cade'a.

- Lepiej nic nie mów - powiedziała.

Cade przybrał minę niewiniątka, lecz nie udało mu się jej oszukać. Doskonale wiedziała, że go to bawi.

- Tylko mi nie mów, że nie słyszałeś, jak mi burczy w żołądku.

- Myślę, że słysząc cię było aż na lotnisku - stwierdził sucho Cade, patrząc, jak kelnerka stawia przed nim talerz. Sięgnął po serwetkę. Wolałby jakieś lepsze miejsce. Bardziej w stylu kobiety, która mu towarzyszyła. Znał ten lokal i wiedział, że jedzenie jest tu dobre. A w tej chwili liczyło się tylko to, żeby dostać coś strawnego. - Poza tym ja nigdy nie mówię „a nie mówiłem”. W ten sposób człowiek traci przyjaciół.

Mac nie sądziła, żeby kiedykolwiek myślał o niej w tych kategoriach.

- A co z klientami?

Cade napił się wody mineralnej i dopiero potem odpowiedział:

- Na szczęście są klientami tylko przez krótki okres, póki ich sprawa nie zostanie doprowadzona do końca. - Uśmiechnął się. - Tak czy inaczej, nie lubię wytykać ludziom ich błędów. To mnie nie bawi.

Nagle, z niewiadomych przyczyn, zapragnęła go zapytać, co go bawi. Stłumiła jednak w zarodku tę chęć.

- Zawsze wiedziałam, że jesteś wyjątkowym człowiekiem, Cade. - Absolutnie wyjątkowym, dodała w myślach, kończąc kanapkę. - Powiedz mi, czy jeśli będę grzeczna i zjem wszystko, pójdziemy kupić bilety na samolot do Phoenix?

Cade nadal uważał, że lepiej będzie polecieć wcześniej rano. A jeszcze lepiej byłoby, gdyby Mac zgodziła się zostać na miejscu. Z góry jednak wiedział, że to nierealne.

- Muszę najpierw do kogoś zadzwonić.

- Do tego detektywa, który się zajmuje naszą sprawą? Cade pokręcił głową przecząco.

- Chcę zadzwonić do znajomego detektywa. Nazywa się Kane Madigan. Ma pewne powiązania z departamentem policji w Phoenix. Nigdy nie zaszkodzi mieć dobre układy z policją. Zwłaszcza tam, gdzie w grę wchodzi porwanie dziecka.

Mac skinęła głową. Te słowa nie były pozbawione sensu. A ona swoim popędzaniem pewnie tylko działała mu na nerwy. Przez moment miała go nawet

ochotę przeprosić, ale potem zrezygnowała. Przecież jej powiedział, że doskonale rozumie, co czuła. To zupełnie wystarczy. Po co mu jej przeprosiny?

Zapatrzyła się w szklanę, w której roztopiała się kostka lodu. Z niewiadomych przyczyn poczuła się nagle straszliwie samotna. Podniosła oczy i zobaczyła, że Cade jej się przygląda.

- Myślisz, że ją znajdziemy? Powiedz szczerze - dodała, zanim zdążył odpowiedzieć.

Wcale nie chodzi jej o szczerść, pomyślał Cade. Ona po prostu chce usłyszeć słowo „tak”. Tyle mógł dla niej zrobić.

- Jeżeli pójdziemy tym tropem co dotychczas, to myślę, że ją znajdziemy.

- Jeżeli?

Nie byłby sobą, gdyby nie był uczciwy.

- Zawsze istnieje pewna szansa, że nie. Moim zdaniem, cała ta operacja jest dość śliska.

- Jak to śliska?

- Dobrze przemyślana - wyjaśnił. Wypił wodę do końca, a potem odstawił szklanę. - Pomysł zepchnięcia samochodu z drogi spalił na panewce, ale oni mieli w zapasie awaryjny plan, który się powiódł.

- Jeżeli był taki dobry, to czemu musiała wezwać taksówkę? Dlaczego nie odjechała swoim samochodem?

Ta sprawa także nie dawała mu spokoju. Wzruszył ramionami.

- Może miała jakieś kłopoty z samochodem. Może podejrzewała, że jest śledzona. A może wóz był wypożyczony, a ona musiała działać szybko. Jej nie zależy na samochodzie, tylko na dziecku.

- Na Heather. - Mac nie podobało się to, że Heather tak szybko straciła tożsamość i stała się po prostu „dzieckiem”. Nie można było dopuścić do tego, żeby ktokolwiek myślał o niej w taki sposób.

Cade zrozumiał ją.

- Heather - poprawił się. - Coś mi mówi, że nie mamy do czynienia z pojedynczym porwaniem, tylko z całą serią.

Mac poczuła zimny dreszcz, pełznący wzdłuż kręgosłupa. Ku swemu zdumieniu zapragnęła zarzucić Cade'owi ręce na szyję. Czowała, że to by jej na pewno pomogło.

ROZDZIAŁ 6

Phoenix?

Na drugim końcu linii zapadła cisza. Po kolacji, do której zjedzenia zmusił ją Cade, Mac poszła do telefonu, żeby zadzwonić do rodziny.

- Tam prowadzi trop.

- Jesteś pewna? - zapytał ojciec.

Mac z westchnieniem oparła się o ścianę i przymknęła oczy, głównie po to, żeby uniknąć wzroku Cade'a.

Miał oczy jak bezkresny ocean nocą. Pod ich spojrzeniem jeszcze trudniej było jej stawić czoło ojcu.

Ściskając w obu rękach słuchawkę, próbowała się skoncentrować.

- Czy jestem pewna, że trop prowadzi do Phoenix? Tak. Przynajmniej na razie - dodała, żeby z góry wykluczyć wszelkie ewentualne zarzuty. - Może nawet dalej, tego nie wiem. - Nie musiała pytać, żeby wiedzieć, o czym myślał ojciec. Chciał mieć pewność, że go nie zawiedzie. Nie dlatego, żeby kiedykolwiek do tego doszło, ale dlatego, że należał do ludzi, którzy w każdej sytuacji dopatrują się najgorszego. - Nie martw się, pojedę wszędzie, bez względu na odległość. Powiedz Moirze, żeby się nie martwiła. Wrócę z Heather. - Albo wcale nie wrócę, dodała w myślach.

Ojciec odezwał się dopiero po dłuższej chwili. Tym razem mówił z mniejszym przekonaniem niż zazwyczaj.

- McKayla?

A może jej się tylko wydawało, że jego głos brzmi tak niepewnie.

- Tak?

Ojciec chrząknął, potem znów zapadła cisza. A potem założyciel firmy „Dentystyka - Dellaventura i Ska”, powiedział:

- Nie tylko twoja matka i siostra martwią się o ciebie.

Czy to miała być nagana, bo nie wspomniała o braciach? Z ojcem nigdy nie było wiadomo, kiedy człowiek nastąpił mu na odcisk. Jeszcze parę lat temu buntowała się, udając, że nic jej to nie obchodzi. Teraz jednak tego rodzaju gierki przestały ją bawić. Ojciec był z gruntu dobrym człowiekiem, choć nie lubił okazywać uczuć. Kochała go, chociaż wcale nie była pewna, czy ma to dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

- Wiem - odparła - ale Danny i Randy nie lubią tego okazywać.

- Nie to chciałem powiedzieć... to znaczy... - W głosie ojca zabrzmiało zniecierpliwienie. Ona jednak była zbyt zmęczona, żeby się zastanawiać, o co mu tym razem chodziło. - Uważaj na siebie, dobrze?

To polecenie zdumiało ją.

- Czy to rozkaz?

- Nie - prychnął, a potem ciszej dodał: - To prośba.

- Nie martw się, tato. W przyszłym tygodniu pani Jackson ma przyprowadzić swoje trojaczki na półroczny przegląd. Za nic w świecie nie mogłabym przepuścić takiej okazji. - Usłyszała, jak w odpowiedzi ojciec mruknął coś niezrozumiale. Ostatnią rzeczą, jaka do niej dotarła, było stłumione „do widzenia”. A potem ojciec się rozłączył.

- Do widzenia - szepnęła, odwieszając słuchawkę.

Cade czekał na nią w recepcji - na tyle blisko, by mieć ją na oku, a zarazem na tyle daleko, żeby dać jej poczucie prywatności. Kiedy zobaczył, że skończyła rozmowę, ruszył w jej stronę. Spotkali się w połowie drogi.

- Coś nie tak?

Mac, wyrwana z zamyślenia, spojrzała na Cade'a nieprzytomnym wzrokiem, jakby zapomniała o jego obecności.

- Hmm? Och nie, nie - zapewniła go, ale spostrzegła, że jej nie dowierza. Trudno go było za to winić. Na jego miejscu miałyby takie same wątpliwości. Idąc obok niego, niemal siłą sforsowała drzwi, zanim zdążył je przed nią otworzyć.

- Ojciec mi właśnie powiedział, że się o mnie martwi. Nie użył aż tylu słów, bo słowa nie należą do jego ulubionych środków komunikacji międzyludzkiej, ale w

każdym razie dał mi to do zrozumienia. - Nawet teraz, kiedy to mówiła, wydało jej się to nierealne.

Cade spróbował wyobrazić sobie rozmowę córki z ojcem i uśmiechnął się. Poznał pana Dellaventurę w szpitalu i od razu pomyślał, że to raczej mało wylewny, surowy człowiek.

- To musiała być ciekawa rozmowa. Czy twój ojciec nigdy przedtem nie dał ci do zrozumienia, że się o ciebie martwi?

- Nie. - Odpowiedź padła szybko, niemal automatycznie. Potem Mac zamilkła, jakby poniewczasie dotarł do niej sens tych słów. Mimo iż z całych sił wyęczała pamięć, nie potrafiła sobie przypomnieć choć jednej okazji, nawet w dzieciństwie, kiedy ojciec powiedział jej, że się o nią martwi.

- Może czasami niepokoił się, że sobie nie poradzę, ale żeby się martwił o mnie? - Potrząsnęła głową. - Nie, nigdy.

Cade uznał, że jednak nie mylił się w ocenie jej niezależności. Przywykła nie tylko ukrywać swoje uczucia, ale i przejmować nad wszystkim kontrolę. Było oczywiste, że tego oczekiwał po niej ojciec. Domagał się także bezwzględnego szacunku.

Może to głupie, ale mógłby przysiąc, że dostrzegł w jej oczach coś jakby cień bólu. Nagle wydała mu się bardzo delikatna i wrażliwa.

- Wiem, że ciężko się z nim rozmawia.

Zajęta analizowaniem rozmowy z ojcem, Mac z roztargnieniem spojrzała na Cade'a.

- Co powiedziałaś?

Odkąd sam dołączył do klubu osieroconych rodziców, bez trudu potrafił wyobrazić sobie, co czuł pan Dellaventura.

- Tylko to, że większość ojców martwi się o swoje dzieci bez względu na to, w ilu słowach to wyrażają. - Drzwi zamknęły się za nimi. Cade stał teraz na szerokim, kamiennym stopniu. - Tak to już jest. - Jego stoicka, kamienna twarz nagle się ożywiła, a w oczach pojawił się błysk, widoczny nawet w nikłym świetle latarni, stojących wzdłuż ścieżki prowadzącej na parking. - Człowiek widzi, jak ta mała istotka pojawia się na tym świecie, bierze pierwszy oddech - i nagle nic już nie jest

takie samo jak przedtem. - Potarł czoło, jakby chciał odpędzić bolesne wspomnienia, i spojrzał na Mac. Trochę się rozkleił!, ale to tylko dlatego, że tak strasznie stęsknił się za synem, a dziś są przecież jego urodziny. To się już więcej nie powtórzy. - Wszystko staje się większe, jaśniejsze - bardziej przerażające.

- Dlaczego przerażające? Cade cicho się roześmiał.

- Człowiek nagle zaczyna patrzeć na świat pod kątem własnego dziecka. Stoły mają ostre krawędzie, a nie tylko blaty. Szklanki tylko czekają, żeby się zmienić w ostre odłamki szkła. Ziemia robi się twardsza, a odległość między łóżkiem a podłogą wymaga skoku, na który może się odważyć tylko wytrawny kaskader. - Na widok miny Mac przystanął. - O co chodzi?

Mac nie potrafiła się powstrzymać od śmiechu.

- To nie do wiary, że kiedykolwiek mogłeś przejmować się takimi rzeczami. Trudno mi to sobie wyobrazić.

- Przed urodzeniem syna nie byłem taki - przyznał. Ku swemu zdumieniu, a nawet przerażeniu wciąż musiał walczyć z tym, żeby nie popaść w drugą skrajność. To Elaine pilnowała, by zachował umiar. Póki żyła. Potem musiał radzić sobie sam.

Mac pomyślała, że Cade trochę za wysoko ocenia Arthura Dellaventurę. Gdyby miała wybierać ojca dla swoich własnych dzieci, byłby to raczej ktoś podobny do Cade'a.

Zresztą, to nie jest jej problem na dziś, pomyślała ze smutkiem. Życie przygotowało dla niej inny scenariusz.

- Pewnie nie było ci łatwo przystosować się do nowego widzenia świata - powiedziała, kiedy dotarli do samochodu.

Może powiedział za dużo. Z całą pewnością znacznie więcej, niż zamierzał. Słowa same cisnęły mu się na usta, wywołane przez uczucia, które nareszcie znalazły ujście.

- Nigdy się na to nie uskarżałem.

Wyjął kluczyki. Mac spojrzała na niego i po raz pierwszy zobaczyła go w zupełnie innym świetle.

- A jak to znosisz teraz, kiedy on...? Rozumiesz, o co mi chodzi? - Nie potrafiła się zmusić, żeby o tym mówić.

Cade wzruszył ramionami.

- Jakoś sobie radzę. - Otworzył przed nią drzwi. - Muszę. Nie mogę się przecież poddać, to by oznaczało, że pogodziłem się z jego odejściem. - Zaciśnął zęby. Na jego twarzy odmalowała się determinacja. - Mój syn jest zbyt pełen życia i energii, żeby mógł tak po prostu zniknąć.

Nagle, kiedy mówił z takim przekonaniem i ogniem w oku, wydał się Mac piekielnie pociągający. Ludzki, wrażliwy i pociągający. Zdumiała się. Co ją opętało? Jak to się stało, że mimowolnie wspierała się na palce i musnęła ustami jego usta?

Nie był to nawet pocałunek. Tylko przelotne muśnięcie warg. Cade objął ją i mocno przytulił, a potem lekko się odsunął, a w jego wzroku odmalowało się zaskoczenie.

Zaczerpnął tchu i spojrzał na kobietę, którą trzymał w ramionach. Dopiero po chwili dotarło do niego, że powinien ją puścić. Czuł bijące od niej ciepło i doznawał uczuć, których wolał nie analizować.

Poczekał moment, by się upewnić, że struny głosowe go nie zawiodą, a potem zapytał:

- A to za co?

Po co to wszystko? Jak mogła do tego stopnia się zapomnieć?

- Za to, że tu jesteś. - Wsunęła ręce do kieszeni i wzruszyła ramionami, a potem mówiła dalej, unikając jego wzroku. - Czułam, że jest nam to potrzebne. Możesz to zapisać na konto moich zszarganych nerwów. Ja...

- Mac?

Spojrzała mu w oczy, bojąc się, że dojrzy w nich cień kpiny.

- Tak? - zapytała niepewnie.

- Wszystko w porządku - powiedział łagodnym tonem, walcząc z impulsywnym pragnieniem, by raz jeszcze powtórzyć tę namiastkę pocałunku, którą, jak widać, uważała ze swojej strony za grubo błąd. - Było mi bardzo miło.

- Nie chciałam tego - wyrwało jej się, zanim zdążyła się opamiętać. Boże! Co za brak opanowania! Mac przeraziła się nie na żarty.

Cade uśmiechnął się. Kiedy go całowała, udało mu się na moment zajrzeć w głąb jej duszy. I był pewny, że zobaczył znacznie więcej, niżby sobie tego życzyła.

- Owszem, chciałaś - zapewnił ją, po czym uznał, że lepiej będzie zmienić temat. - Wiesz co, zawiozę cię do biura. Weźmiesz swój samochód i odstawisz go na miejsce. Radzę ci, prześpij się trochę. - To by jej najlepiej zrobiło. Dobrze znał objawy wyczerpania i widział je teraz na twarzy i w oczach Mac. - Przyjadę po ciebie rano. Pojedziemy prosto na lotnisko.

- Ale to znaczy, że ona będzie miała więcej czasu...

- Numer, pod który dzwoniła do Phoenix, należy do pewnej kancelarii adwokackiej - przerwał jej Cade. Obszedł wóz i usiadł za kierownicą. Mac nie ruszyła się z miejsca. - Nie dowiemy się niczego w środku nocy.

W końcu Mac poddała się i wsiadła do samochodu. Miała wrażenie, że czas ucieka, a Heather coraz bardziej się od nich oddala. Przystawała panować nad nerwami. Zapinając pasy, spojrzała z wyrzutem na Cade'a.

- Przecież możemy się włamać.

Pewnie przeczytała za dużo kryminałów, pomyślał Cade.

- Tak, ale tylko w ostateczności - powiedział, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Mac nie potrafiła już myśleć o niczym innym, jak tylko o Heather. Jej mała, śliczna dziewczynka została potraktowana jak towar na sprzedaż.

- Boisz się postąpić w tej sytuacji wbrew prawu? - zapytała, czując, że jej cierpliwość jest na wyczerpaniu. - A czy porwanie małego bezbronnego dziecka jest zgodne z prawem?

Zadawała pytania, których nigdy by nie postawiła, gdyby potrafiła myśleć trzeźwo. To jeszcze tylko utwierdzało Cade'a w przekonaniu, że miał rację.

- Ponoszą cię nerwy.

Mac nie lubiła, kiedy wytykano jej słabości.

- Nie, wcale nie. - Odwróciła się i spojrzała na niego. - Mam po prostu ochotę komuś przyłożyć.

Mógł to sobie bez trudu wyobrazić i wcale nie miał do niej o to pretensji.

- Rozumiem. Wszystko w swoim czasie. Najpierw odwiozę cię do domu.

- Jeżeli pojedę moim samochodem, nie będziesz mnie musiał odwozić.

Zamierzał pojechać za nią, a potem pokręcić się trochę w pobliżu, żeby się upewnić, że nie pojechała na lotnisko i nie wsiadła do pierwszego samolotu do Phoenix.

- Chcę po prostu zobaczyć, gdzie mieszkasz, żebym jutro rano nie tracił czasu, krążąc po uliczkach osiedla i szukając twojego domu, gdy po ciebie przyjadę.

Skąd to dziwne wrażenie, że w jego słowach kryło się coś więcej niż tylko to, co mówił?

- Myślałam, że chcesz się skontaktować z kimś w sprawie łącznika z Phoenix.

Cade mimowolnie się uśmiechnął. Powiedziała to tak, jakby chodziło o film sensacyjny o handlarzach narkotyków.

- Owszem, tylko że, w przeciwieństwie do mnie, ten człowiek ma swoje życie.

A przecież kiedyś było inaczej. To on miał swoje życie, a detektyw Kane Madigan mieszkał i sypiał w pracy. Dom był dla niego tylko adresem, na który przychodziła masa bezwartościowej poczty; miejscem, które można było określić mianem przechodniej komórki z lodówką.

Kane założył rodzinę, a jemu pozostała praca, prowadzone sprawy i poszukiwanie synka, którego nieobecność tak bardzo odczuwał.

- Myślisz, że mamy do czynienia z organizacją, zajmującą się handlem dziećmi? - zapytał Kane.

- Przyszło mi to do głowy - przyznał Cade, po czym pokrótce opowiedział całą historię. Powtórzył też informacje, które wydobył od policji w Newport Beach. Podobno znaleziono porzuconą niebieską toyotę, podejrzanie podobną do tej, którą opisała załoga pierwszego ambulansu.

Kane skrzętnie zanotował kilka szczegółów. Ściganie kidnaperów stało się jego pasją, odkąd odnalazł dziecko Jennifer i ją poślubił.

- Coś w tym może być. Naszą małą porwała kobieta, która udawała pielęgniarkę. Przyszła zabrać dziecko na badania, a potem jakby zapadła się pod ziemię. Na szczęście udało nam się ją w końcu znaleźć.

Cade mógł tylko mieć nadzieję, że sprawa z Heather zakończy się równie dobrze.

- Uwielbiam happy endy - powiedział.

Kane pomyślał o dziewczynce, którą adoptował. Nie mógłby jej bardziej kochać, nawet gdyby była jego własną córką.

- Tak, ja też. Skontaktuj się z porucznikiem Grahamem Redhawkiem. To fajny gość. - W krótkich słowach opowiedział Cade'owi wszystko, co wiedział o detektywie z Phoenix. - Bardzo nam pomógł, kiedy próbowaliśmy odszukać córeczkę Jennifer. Zadzwoń do niego, żeby go uprzedzić, iż jesteście w drodze. Życzę wam wszystkiego najlepszego.

- Dzięki.

Kane wyczuł, że jego rozmówca zamierza się wyłączyć, i instynktownie zapragnął zakończyć rozmowę w tym właśnie miejscu. Byłoby to tchórzostwo, a Kane nigdy nie był tchórzem.

- Jeszcze jedno, Cade - powiedział.

- Tak?

- Są jakieś wieści o twoim chłopcu?

- Nie. - Mówiąc to, Cade poczuł, że zaraz pęknie mu serce. Pomyślał o fotografii, podretuszowanej przez Megan, którą przed wyjściem z biura zamieścił na internetowej liście zaginionych dzieci. Ile jeszcze razy trzeba będzie poprawiać zdjęcie Darina, zanim będzie mógł go wreszcie wziąć w objęcia? - Późno już. Muszę kończyć. Dzięki za pomoc.

Kane szczerze współczuł Cade'owi. Sam nie zniósłby takiej sytuacji, gdyby jego córeczki zniknęły mu z oczu choćby tylko na kilka godzin. A co dopiero na trzy lata?

- Nie ma o czym mówić. Informuj mnie na bieżąco, dobrze?

Czasami Cade'owi ciężko było zachować bodaj odrobinę optymizmu. Zwłaszcza nocą, kiedy zdany był na towarzystwo własnych myśli. Musiał przynajmniej walczyć. Nie miał wyboru. Gdyby się poddał, byłoby to równoznaczne ze śmiercią.

Dlatego wziął głęboki oddech, a potem z przekonaniem powiedział:

- Jasne.

Mac nie mogła zasnąć. Po raz setny przewracała się z boku na bok, próbując znaleźć jakąś dogodną pozycję, w której udałoby jej się zasnąć. Na próżno.

Może trzeba było upierać się przy tym, żeby jechać do Phoenix? Tracą tylko czas, a ona i tak nie zaśnie.

W poczuciu klęski usiadła i spojrzała na łóżko. Z pomiętymi prześcieradłami i kocami wyglądało raczej jak pole bitwy, a nie miejsce odpoczynku.

Może zresztą stoczyła tam bitwę. Bitwę z własnymi uczuciami.

Objęła rękami kolana. Nie zazna spokoju, póki nie odnajdzie córeczki swojej siostry.

- Cholera! Dlaczego coś takiego musiało spotkać akurat nas?

Pytanie odbiło się rykoszetem od ścian zacisznej sypialni. Nie znalazła na nie odpowiedzi. Zresztą nieważne dlaczego. Ważne, że coś takiego się naprawdę zdarzyło. Najistotniejsze było to, że muszą odnaleźć Heather.

Ale nie tylko myśl o Heather nie pozwalała jej zasnąć, choć już samo to wystarczało, żeby spędzić sen z oczu.

Było jeszcze coś. Mały, nieistotny szczegół, ale jakże deprymujący. Był jak to ziarnko grochu, które nie pozwalało zasnąć księżniczce w tej dawno zapomnianej bajce, którą czytała kiedyś Moirze.

Uśmiechnęła się ze smutkiem. Nie było w jej życiu takiej chwili, kiedy nie czułaby się odpowiedzialna za siostrę. Na dobrą sprawę za nich wszystkich. W mniejszym czy większym stopniu. Łącznie z szorstkim, apodyktycznym ojcem. Życie jej zawsze było takie pełne...

To właśnie dlatego... dlatego była taka zaskoczona, kiedy pocałowała Cade'a. Może nawet bardziej zaskoczona niż on sam.

Co ją opętało?

Zachowała się bezmyślnie.

Nie zastanowiła się nad możliwymi skutkami swojego postępku. Dała się ponieść emocjom.

Kto wie, może to ona bardziej pragnęła tego pocałunku niż on? Z westchnieniem rezygnacji znowu się położyła i próbowała zasnąć.

Głośnie, natarczywe stukanie do drzwi przebiło się przez gęstą mgłę, spowijającą mózg Mac.

Ktoś puka!

Do jej drzwi!

Zamrugła ze zdumienia, a potem poderwała się z łóżka. Spała! I to nie tylko spała, ale grubo zasnęła!

Spojrzała w panice na zegarek. Była ósma. Samolot do Phoenix, na który zabukowali bilety poprzedniego wieczoru, odlatywał za godzinę i pięć minut.

Na wpół przytomna rzuciła się do drzwi.

Nagle wzrok jej padł na odbicie w lustrze i z przerażeniem uświadomiła sobie, że jest naga, jak ją Pan Bóg stworzył.

Jak mogła zapomnieć, że sypia nago?

Z cichym okrzykiem ściągnęła z łóżka wełnianą narzutę, którą zrobiła jej na szydełku siostra, i owinęła się w biegu.

Cade, po drugiej stronie drzwi, usłyszał jej cichy okrzyk. Zaczynał się już denerwować. Zaniepokoił go brak reakcji na parokrotne dzwonki, a później stukanie. Spodziewał się raczej, że będzie już na niego czekała, gotowa do drogi.

- McKayla, co się dzieje? Czy coś ci się stało?! - zawołał przez drzwi.

- Już idę! - odkrzyknęła.

Wściekła na samą siebie zaczęła trzęsącymi się rękami majstrować przy zasuwce, usiłując jednocześnie przytrzymać zsuwającą się narzutę. Wreszcie udało jej się otworzyć drzwi. Z ciężkim westchnieniem cofnęła się i wpuściła Cade'a do środka.

- Już myślałem, że coś ci się stało.

Odwrócił się i zamarł ze wzrokiem wbitym w Mac.

Biało-żółta narzuta, którą się owinęła, opadała luźno z tyłu i zsuwała się na jeden bok, zostawiając bardzo mało miejsca dla wyobraźni.

Żółte stokrotki wcale nie były zrobione tak ścisłym ścięciem jak powinny, a kwadraty wcale nie były tak starannie ze sobą połączone, jak by wymagał tego oryginalny wzór. Skutek był taki, że narzuta odsłaniała więcej, niż zasłaniała.

Cade poczuł, że budzą się w nim dawno zapomniane uczucia. Nagle przypomniał sobie, że jest nie tylko detektywem, ale i mężczyzną. I to mężczyzną, który od bardzo dawna nie miał kobiety.

ROZDZIAŁ 7

Nie wydaje ci się, że jak na tę porę roku ubrałaś się trochę za lekko? - zapytał w końcu Cade.

Właściwie należało udawać, że nie widzi jej negliżu, ale nie potrafił się do tego zmusić. Nie mógł po prostu oderwać od niej wzroku. Stał i wpatrywał się w Mac szeroko otwartymi oczami. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, że natura obdarzyła ją tak wspaniałą figurą.

Ona także próbowała udawać, że nie widzi jego zachwyconego spojrzenia, ale zażenowanie wzięło górę. Posłała mu olśniewający uśmiech, żeby ukryć zakłopotanie.

- Zaspałam. - Odwróciła się na pięcie i pospieszyła z powrotem do sypialni. - Udało mi się zasnąć dopiero przed jakimś kwadransem! - zawołała, znikając za drzwiami.

Z trudem powstrzymał się od tego, żeby jej nie towarzyszyć.

- To i tak nie tłumaczy twojego dość niecodziennego stroju - zauważył.

- Z reguły sypiam nago.

To wyjaśnienie w mgnieniu oka zawładnęło jego wyobraźnią, skierowując myśli na inne tory. Powoli, bardzo powoli odetchnął, mówiąc sobie, że mężczyzna w jego wieku nie ma prawa tak reagować.

Ale to kazanie wcale mu nie pomogło.

- To wszystko wyjaśnia. - Skoro nie otworzyła po dwóch pierwszych dzwonekach i owinęła się tym, co miała pod ręką, musiał ją po prostu obudzić. Spojrzał na zegarek. Nie ma cudów. Nie zdążą już na samolot.

- Hmm... posłuchaj - podniósł głos, niepewny, jak ona na to zareaguje. - Mogę przesunąć rezerwację.

- Nie! - Przytrzymując kłamekę, Mac wychyliła głowę z sypialni. Cade'owi wydało się, że jedyne, co miała na sobie w tej chwili, to była właśnie ta jej rozgniewana mina. Poczul dziwny ucisk w żołądku. - Będę gotowa za minutę.

Mocno w to wątpił, ale nie było sensu tracić bezcennych minut na kolejną kłótnię. Dlatego ugryzł się w język.

Zaczął się rozglądać po pokoju. Dom musiał być bardzo przytulny - przynajmniej sądząc po tym, co zobaczył w saloniku. Zarazem widać było, że Mac nie ma obsesji na punkcie utrzymywania pedantycznego porządku. W przeciwieństwie do Elaine. Pod jej wpływem nigdy nie wyrzuciłby gazety, nie złożywszy jej uprzednio. Zawsze też pamiętał o sortowaniu śmieci. Wprawdzie on sam uważał, że lekki nieporządek sprawia, że w domu robi się przyjemniej, ale jego żona miała inny pogląd.

Zajrzał do kuchni i stwierdził, że Mac z całą pewnością nie jadła śniadania.

- Mogę ci w czymś pomóc? - zawołał.

Odpowiedzią była cisza. Dopiero po chwili Mac powiedziała:

- W czym? Może chcesz mi zapiąć z tyłu suwak?

Nie zamierzał ryzykować. Przynajmniej na razie. Doszedł do wniosku, że im większy uda mu się zachować dystans, tym trzeźwiejszy będzie miał umysł.

Podszedł do telefonu z zamiarem dokonania nowej rezerwacji na jakiś późniejszy lot. Zdążyłby w ten sposób porozumieć się z Megan przed wyjazdem i sprawdzić, czy się czegoś dowiedziała.

Rozejrzał się wkoło, szukając książki telefonicznej.

- Myślałem o tym, czy by ci nie usmażyć jajek na śniadanie! - zawołał do Mac.

- A umiesz to robić?

Nagle zamrugał oczami i zapomniał o książce telefonicznej. Mac spokojnie wyłoniła się z sypialni, zakładając kolczyk. Pod pachą niosła parę granatowych bucików w kolorze zamszowej spódnicy. Poza tym była już całkowicie gotowa. Nawet jeżeli się spieszyła, nie było tego po niej widać.

- Tak - odparł, wpatrując się w z podziwem. - Kanapki ze smażonym jajkiem to moja specjalność. Jak ty to robisz?

- Co?

Mac wyglądała jak członkini zarządu jakiejś bardzo zamożnej spółki, a on się spodziewał, że włoży dzinsy i sweter.

Poza wszystkim, miał ją wciąż przed oczami owiniętą w szydełkową narzutę, spod której prześwitywało na tyle dużo, żeby zmącić mu spokój.

Nagle przypomniał sobie, że rozmawiali i że to on powinien teraz coś powiedzieć. Momentalnie otrząsnął się z rozmarzenia.

- Szybko się ubrałaś - stwierdził. - A może nauczyłaś się tego, żeby uniknąć podejrzeń ojca?

Mac była już w połowie drogi do drzwi. Odwróciła się i spojrzała na Cade'a. Bezwiednie zatrzepotała rękami, po czym powiedziała zmysłowym głosem:

- Ależ panie Townsend! Za kogo pan mnie bierze?

Po raz drugi w przeciągu bardzo krótkiego czasu Cade stwierdził, że nie jest w stanie skleić poprawnego zdania. W końcu wziął się w garść i spróbował wycofać z godnością. Ledwo otworzył usta, zrozumiał, że mu się to nie uda.

- Przepraszam, wcale nie miałem na myśli... to znaczy, to nie mój interes... - Spróbował jeszcze raz, wracając do jedynej rzeczy, jaką można było uznać za pewnik.
- Więc jesteś już gotowa, tak?

Mac nagle uświadomiła sobie, że jej to pochlebia. Poczula na sobie zachwycony wzrok mężczyzny, który, jak sądziła, raczej rzadko obdarzał kobiety swoimi względami.

Nie pora i miejsce na takie rozmyślania, zgaśniła się w duchu.

Chwyciła torebkę i małą walizeczkę, którą spakowała w nocy, po czym głośno oświadczyła:

- Tak. - Szybkim krokiem ruszyła do wyjścia i już była za progiem, nim Cade ją dogonił.

- Nie zamierzasz zamknąć frontowych drzwi?! - zawołał. Odwróciła się.

- Zainstalowałam automatyczny zatrzask. Chodźmy. - Pomknęła w stronę samochodu.

Musiła poczekać, aż Cade podejdzie i otworzy jej drzwi.

Kiedy opadła na fotel, odetchnęła głęboko. Nie lubiła latać samolotem nawet w zwykłych okolicznościach, a co dopiero w tym stanie nerwów.

To, że tak szybko potrafiła się przygotować do wyjazdu, uznała za swój wielki sukces. Nigdy dotąd nie udało jej się ubrać prędzej niż w pięć minut. Nawet wtedy, kiedy w akademiku zdarzyło jej się rano zaspać.

Odwróciła się i spojrzała na Cade'a, który właśnie przekręcał kluczyk w stacyjce. Wyglądał, jakby go coś dręczyło. Ciekawe dlaczego. Może coś przed nią ukrywał?

- Widzę, że jesteś trochę zdenerwowany - powiedziała. - Czy coś się stało?

Wyjechali z osiedla na skrót, żeby ominąć skrzyżowanie. O tej porze dnia z pewnością były tam korki.

- Nie. Jestem tylko zdumiony twoim tempem. - Zerknął na Mac, a potem znowu skupił się na ulicznym ruchu. - Większości ludzi samo złożenie podpisu na czeku zajmuje więcej czasu niż tobie przygotowanie się do podróży.

Mac wzruszyła ramionami. Wprawdzie wolałaby wziąć jeszcze prysznic, ale trudno, coś za coś.

- Nie chciałam się spóźnić na samolot.

Nie każdy potrafiłby się przygotować w tak szybkim tempie, nawet z równie istotnych przyczyn. To, że potrafiła tego dokonać, postawiło ją jeszcze wyżej w oczach Cade'a.

Nagle przyłapał się na tym, że zadaje sobie pytanie, jaka byłaby w łóżku. Jak to jest kochać się z nią? Czy tak, jakby człowiek próbował okiełznać wiatr? A może inaczej - jakby kogoś porwał wir Missouri i wessał go w swoją przepastną głębię.

Ale oczywiście to pytanie - jak również hipotetyczna odpowiedź - nie miały żadnego znaczenia w obecnej sytuacji.

Wbił wzrok w drogę i spróbował skoncentrować się na jeździe. Muszą przecież zdążyć na lotnisko.

- Dzwoniłeś do tego znajomego?

Pytaniem tym znowu zburzyła jego koncentrację.

- Co?

- Do znajomego, tego, który miał mieć kogoś w Phoenix - przypomniała mu. Nie mogła sobie uświadomić, czy padło przy tym jakieś nazwisko.

Kiedy na nią spojrział, poczuła, że się rumieni. Nie musiała nawet patrzeć w tym celu do lusterka. Miała wrażenie, że czyta w myślach Cade'a. Pewnie uważał ją za jakąś dziwaczkę, która paradyje po domu okryta kapą.

Przystanęli na czerwonych światłach. Cade znowu na nią popatrzył. Widząc jej zarumienione policzki, niemal zapomniał o odpowiedzi. Nigdy przedtem czyjś rumieniec nie wydał mu się aż tak pociągający. Poza tym nigdy by nie przypuszczał,

że kobieta tak niezależna jak McKayla może się rumienić. Wniosek z tego, że wcale nie jest taka twarda, za jaką chciałyby uchodzić.

- O tak - powiedział. - Dzwoniłem do Kane'a. Podał mi nazwisko niejakiego Grahama Redhawka.

Mac pokiwała głową.

- Czy on będzie nam w stanie pomóc?

Cade podał jej tylko fakty, których mógł być pewien. Nie chciał budzić w niej płonnych nadziei.

- Bardzo nam pomógł, kiedy Kane próbował namierzyć organizację przestępczą, handlującą dziećmi. - Opowiedział Mac, jak Kane prowadził dochodzenie po serii porwań, których ślady wiodły nieodmiennie do Phoenix.

Organizacja handlująca dziećmi. Mac nawet nie chciała o tym myśleć. Jednak im częściej padało to sformułowanie, tym bardziej skłonna była wziąć taką ewentualność pod uwagę.

- Myślisz, że to oni porwali Heather? - zapytała, czując, że nagle zaschło jej w ustach. - Ci profesjonalni porywacze?

- Nie ta sama grupa... - zaczął Cade, a potem przerwał. Kto wie? To, że ucięli łeb bestii, wcale nie musi znaczyć, iż w jej miejsce gdzieś indziej nie narodziła się następna. - Ale to bardzo możliwe. - Cade znalazł wolne miejsce i zatrzymał samochód. Parking przy lotnisku był zbyt zatłoczony, żeby bawić się w szukanie czegoś lepszego. - W każdym razie, uważam tę możliwość za otwartą.

- Otwarta czy zamknięta, wszystko mi jedno - powiedziała Mac, próbując poskromić kolejny przyływ zniecierpliwienia. - Ja tylko chcę dostać z powrotem Heather.

Cade zaciągnął hamulec ręczny.

- Zobaczysz, że ją odzyskamy - rzekł.

Chciała go zapytać, skąd ta pewność, ale przypuszczalnie znowu by się wtedy pokłócili.

Wysiadając z wozu, Mac potrząsnęła głową. Nigdy nie podejrzewała siebie o coś takiego, jak potrzeba mglistych zapewnień czy obietnic. Nie budowała też zamków na lodzie, nim dokładnie nie sprawdziła fundamentów. A w tym przypadku

czepiała się każdej, najwątleszej nawet nadziei. Cade potrzebny był jej po to, żeby regularnie potwierdzać to, co już wcześniej powiedział.

A ona uczepliła się jego słów jak ostatniej deski ratunku. Na razie nie mieli nic ponadto.

- Trzymam cię za słowo - rzuciła, kiedy biegli do wejścia.

- Masz na coś ochotę? - zapytał Cade, balansując tacą z jedzeniem z pobliskiej kafeтерии. Wskazał głową na drzwi wozu, który wypożyczyli na lotnisku trzy godziny wcześniej.

Mac wychyliła się i otworzyła mu drzwi. Cade wsiadł i ostrożnie postawił między nimi tacę.

Kiedy znowu znalazł się w środku, poczuł, że jego nogi mają zdecydowanie dosyć tej pozycji. Od trzech godzin siedzieli naprzeciwko kancelarii prawniczej Phillipa Taylora. To do niego porywaczka dzwoniła ze swojego pokoju w hotelu Bedford. Przyjechali tu prosto z lotniska głównie dlatego, że Mac tak bardzo nalegała.

Po trzech godzinach czekania doszli do wniosku, że wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi będą musieli spędzić tu co najmniej drugie tyle, o ile nie więcej.

- Dziękuję - odparła z westchnieniem Mac. - Nie jestem głodna.

Mimo iż sama przystała na jego propozycję, żeby coś zjeść, nie była nawet w stanie myśleć o posiłku. Żołądek miała ściśnięty jak pięść. Odstawiła na półeczkę żółtą, papierową torebkę, którą wręczył jej Cade, i zadowolona się łykiem wody sodowej.

Od wpatrywania się w drzwi kancelarii bolały ją oczy. Przez cały dzień klienci przychodzili i wychodzili, ale nikt nie był ani trochę podobny do kobiety ze szkicu.

Na ogół Cade lubił kuchnię meksykańską, nawet te szybkie dania na wynos, ale tym razem jadł, nie czując smaku, bo całą uwagę skupił na siedzącej obok niego kobiecie. Był pewny, że jest bardzo spięta i wewnętrznie drży, chociaż siedziała bez ruchu.

Skończył jeść i zmiął papierową torebkę.

- Nie lubisz czekać, prawda? Mac cicho się roześmiała.

- Czy to aż tak bardzo widać?

Mimo iż z radia płynęła kojąca muzyka, we wnętrzu wozu dało się wyczuć niemal namacalne napięcie.

- Tylko w krańcowych przypadkach. Zazwyczaj raczej nie.

Mac spojrzała na Cade'a, próbując dostrzec na jego twarzy oznaki, które przywykła widzieć na twarzach innych.

- Czy już zaczęłam ci działać na nerwy?

- Nie. Uważasz, że jest jakiś limit czasu?

Wzruszyła ramionami i pomyślała, że może trzeba było milczeć. Naprawdę zależało jej na tym, żeby go nie denerwować. Jak dotąd Cade robił, co mógł, żeby się przystosować do jej towarzystwa. Powinna to docenić.

- Nie, chodzi o to, że mam własne metody rozwiązywania pewnych spraw... - Odwróciła wzrok. Lepiej, jeśli będzie patrzeć na budynek kancelarii, niż dalej snuć swoje dywagacje.

Cade roześmiał się. Znowu ta jej skłonność do niedopowiedzeń.

- Zdążyłem to zauważyć. - Wetknął żółty papierek do pustej torby i pomyślał, że trzeba było zamówić sobie podwójną porcję. Od śniadania minęło już tyle czasu.

- Tak. Większość ludzi, niestety, też to zauważa. I działa im to na nerwy.

Zastanawiałam się po prostu, czy ty też masz mnie już dość.

- Nie, jeszcze nie. Powiem ci, kiedy tak się stanie.

Nagle zadzwonił telefon komórkowy Cade'a. Mac aż podskoczyła.

- Uspokój się, to pewnie Megan.

Miał przynajmniej nadzieję, że to Megan. Może dzwoni, bo zdążyła się czegoś dowiedzieć, a może po prostu chciała go wesprzeć psychicznie. Prawdę mówiąc, przydałoby mu się trochę wsparcia, a także coś, na czym mógłby się skupić, bo przebywanie w ciasnym wnętrzu samochodu z tak absorbującą kobietą zaczynało go męczyć.

- Spodziewałeś się jej telefonu? - zapytała Mac, masując sobie szyję.

- Tak. Dzwoniłem do niej wcześniej i prosiłem, żeby się dowiedziała paru rzeczy.

Nagrał dla Megan wiadomość na automatycznej sekretarce, licząc na to, że odbierze ją w ciągu dnia, a najlepiej wczesnym rankiem. Każde z nich wносиło do

agencji coś zupełnie innego. Sam swoje rozliczne kontakty, Megan doświadczenie komputerowe. Cade natomiast był mózgiem całej organizacji. Lubił myśleć, że to dzięki niemu osiągnęli tak doskonałe wyniki.

- Halo?

Sądząc po uśmiechu, jaki rozjaśnił jego twarz, Mac nie myliła się w swoich przypuszczeniach. To była Megan. Mac nie mogła wręcz oderwać oczu od tego uśmiechu. Miał w sobie tyle ciepła i był niewiarygodnie krzepiący. Wolą się nie zastanawiać dlaczego.

Przeniosła wzrok na budynek kancelarii i zaczęła się przysłuchiwać rozmowie Cade'a z Megan.

- Możesz? Megan, jesteś kochana. Dobrze. Trzy - dodał. Nuta zażyłości w jego głosie nie mogła ujść uwagi Mac.

Nagle poczuła drobne ukłucie zazdrości. Jak to jest być z kimś na tak przyjaznej stopie? Czy miał kogoś, z kim było mu dobrze? Czy to dlatego, kiedy go wczoraj pocałowała, się wycofał? Chciał być lojalny w stosunku do innej kobiety?

To już taki typ człowieka, pomyślała. Jak łabędź albo słoń, związuje się na całe życie z jedną partnerką.

Nagle wydała się sobie beznadziejną romantyczką. Albo beznadziejnie naiwną istotą.

Odwróciła się i spojrzała na Cade'a dokładnie w chwili, gdy zakończył rozmowę. Nie musiała pytać, żeby się domyślić, iż rozmawiali na temat Heather.

- Co powiedziała?

Zamiast od razu odpowiedzieć, Cade wysiadł z samochodu, obszedł go i otworzył drzwi z tyłu, od strony pasażera. Kiedy się odwróciła, żeby zobaczyć, co robi, podniósł tylny fotel i otworzył teczkę, którą miał przy sobie w samolocie. Wyjął z niej laptop i najmniejszą drukarkę, jaką Mac w życiu widziała. A potem, szybkimi, wprawnymi ruchami, przymocował ją do telefonu komórkowego.

- Otwierasz tu biuro? - spytała, wciąż nie doczekawszy się odpowiedzi.

Cade spojrzał na tylne siedzenie i przesunął wszystkie rzeczy, żeby zrobić miejsce na sprzęt elektroniczny.

- Coś w tym rodzaju. Megan skontaktowała się z kimś, kogo kiedyś znała. - Podniósł wzrok. - Megan była agentką FBI - wyjaśnił. - W ambulansie znaleziono odciski palców.

Mac wstrzymała oddech. Nie wiedziała jeszcze, dokąd ich to zaprowadzi, ale z pewnością był to krok naprzód.

- I co?

Czuł, że jego odpowiedź ją rozczaruje. Przeczytał napis, który ukazał się na ekranie.

- Nie notowana, ale zostawiła wyraźny odcisk kciuka, który sprawdzono w bazie danych. Tak więc mamy przynajmniej nazwisko i zdjęcie. - Co było znacznie ważniejsze, bo nazwisko kobieta mogła zmieniać praktycznie na zawołanie.

Właśnie kończył relacjonować Mac najświeższe wiadomości, kiedy drukarka ożyła, robiąc przy tym znacznie większy hałas, niż można by się spodziewać, sądząc po jej miniaturowych rozmiarach. Po kilku chwilach mieli nieco zamazaną reprodukcję zdjęcia z prawa jazdy.

Cade uniósł wydruk do góry i powiedział:

- Poznaj Shirley Lambert. - Wychylił się i pokazał Mac fotografię, a tymczasem drukarka zaczęła drukować kolejną stronę. - Może to nie być jej prawdziwe nazwisko, ale przynajmniej tak się nazywała, kiedy wyrabiała sobie prawo jazdy. Jego ważność wprawdzie już wygasła, ale Megan posłużyła się numerem jej książeczki ubezpieczeniowej i dotarła do Phoenix, gdzie ta kobieta prawdopodobnie mieszka w tej chwili. Tak więc mamy coś na początek.

Schował sprzęt i wrócił na przednie siedzenie. Mac długo patrzyła na fotografię. Potrząsnęła głową i oddała mu zdjęcie.

- Sanitariusze mieli rację. Gdyby ta kobieta zwróciła się do mnie, też bym ją podwiozła. Ona wygląda jak uosobienie przyzwoitości. - Urwała i zacisnęła wargi. - Masz rację. To prawdopodobnie szeroko zakrojona akcja. Niewykluczone, że porwanie Heather było tylko jednym z innych tego rodzaju przestępczych poczynań.

- Pytanie brzmi, jaki jest zasięg tej organizacji. - Cade spojrzał na drugi arkusz, który nadała mu Megan. Tym razem rzecz dotyczyła adwokata. Liczba podanych faktów była wręcz imponująca. - Adwokat, z którym kontaktowała się ta kobieta, spe-

cializuje się w prywatnych adopcjach. - Przemknął wzrokiem po numerach, które skopiowała dla niego Megan. Ten człowiek wpłynął na życie tylu ludzi! Złożył kartkę i schował ją do kieszeni. - Ciekawe, ilu rodziców szuka tych dzieci?

Wolała się nawet nie zastanawiać nad implikacjami tego pytania. Były po prostu zbyt straszne. Już samo myślenie o uprowadzeniu Heather sprawiało jej nieznośny ból. Nagle coś przyszło jej do głowy.

- Ale skoro my tak myślimy, czemu policja wcześniej się nimi nie zainteresowała?

- Może nie było nic, co wskazywałoby na to, że mają jakiegokolwiek powiązania z porywaczami. W końcu ci ludzie to nie amatorzy. - Już sama pozycja adwokata o tym świadczyła. - Większość z tych adopcji przeprowadzono w sposób legalny. - Spróbował postawić się w położeniu adwokata. - Niewykluczone, że z powodu braku dzieci, oficjalnie przeznaczonych do adopcji, mecenas Taylor i jego banda próbują na własną rękę rozkręcać interes. - Spojrzał z westchnieniem na budynek. - Nie wiadomo, od jak dawna trwa ten proceder.

- Co teraz zrobimy?

- Poczekamy jeszcze trochę. Może nasza pani się pojawi. - Czuł, że ten pomysł nie podoba się Mac. - Jak nie, to pojedziemy sprawdzić jej adres. - Miał przeczucie, że adres jest fałszywy. - No i musimy porozmawiać z porucznikiem Grahamem Redhawkiem.

Mac uznała, że to za bardzo przypomina kręcenie się w kółko.

- I to wszystko?

Było jeszcze coś, nad czym Cade właśnie się zastanawiał. Coś znacznie bardziej skomplikowanego niż to, co jej zaproponował. Nie chciał jeszcze o tym mówić.

- Nie. To dopiero początek.

Mac zmarszczyła brwi, a potem z westchnieniem zapytała:

- Co ty na to, żeby po prostu wejść do środka i siłą wyciągnąć z tego faceta potrzebne informacje? Nie ma takiej możliwości?

Cade roześmiał się.

- To plan awaryjny. - Co jak co, ale tej kobiety na pewno nie można było oskarżyć o siedzenie z założonymi rękami. A jemu z jakichś przyczyn bardzo się to podobało.

ROZDZIAŁ 8

Kane uprzedził, że się tu wybieracie - powiedział porucznik Graham Redhawk, wpuszczając Mac i Cade'a do pustego pokoju.

- Jestem doktor McKayla Dellaventura. Heather to moja siostrzenica - zaczęła Mac, zanim Cade zdążył cokolwiek powiedzieć. - Czy Kane mówił też panu, o co chodzi?

Redhawk pokiwał głową.

- To poważna sprawa - stwierdził szorstko, żeby ukryć współczucie. - Jak mogę państwu pomóc?

- Oficjalnie? - Mac chciała mieć absolutną pewność co do tego, jakiego rodzaju pomocy mogą się spodziewać. Z doświadczenia wiedziała, że wszystko, co oficjalne, było znacznie trudniejsze do osiągnięcia.

- Oficjalnie czy nie, nie ma to dla mnie żadnej różnicy, o ile w grę nie wchodzi bezpośrednio łamanie prawa. - Redhawk popatrzył uważnie na Mac i Cade'a. - Nie potrafię sobie wyobrazić nic gorszego niż to, że ktoś mógłby porwać moje dziecko. Bez względu na to, w jakim byłoby wieku - dorzucił.

Pomyślał, że jego pierworodny syn rósł tak szybko. Czy to możliwe, że kiedykolwiek był w wieku tej małej, porwanej dziewczynki, Heather?

- Jak mogę państwu pomóc? - powtórzył łagodnie, patrząc na Mac.

Cade streścił mu pokrótce całą historię i zdał relację z przebiegu dwóch ostatnich dni. Podał też wszystkie informacje, jakie udało im się zdobyć.

- Naszym zdaniem dziecko uprowadziła ta kobieta - powiedział, kładąc na biurku Redhawka komputerowy wydruk zdjęcia, przesłanego przez Megan.

Porucznik uważnie przyjrzał się fotografii, ale ani twarz, ani nazwisko nie wywołały u niego żadnych skojarzeń.

- Mogę sprawdzić, czy nie jest notowana.

- Nie jest notowana - powiedział Cade - a przynajmniej nie pod tym nazwiskiem.

Redhawk otworzył drzwi.

- Bez obrazy, ale pewne rzeczy lubię sam sprawdzić. Uważam, że co dwie pary oczu, to nie jedna. - Ruszył w kierunku recepcji. - Gretchen, mogłabyś sprawdzić to w bazie danych? I to szybko - powiedział, podając dziewczynie arkusz.

Ledwo zdążył wrócić do gabinetu i już miał zamknąć drzwi, kiedy Gretchen zawołała za nim:

- Czemu chce pan sprawdzać panią Lambert?

Mac z miejsca poderwała się i zanim Redhawk zdążył zareagować, już stała przy młodej kobiecie.

- Pani ją zna?

- Tak. - Gretchen raz jeszcze uważnie przyjrzała się fotografii, żeby mieć pewność, iż się nie myli. - To pielęgniarka mojego lekarza, a zarazem jego żona. I rzeczywiście nazywa się tak, jak podano w prawie jazdy, Shirley Lambert.

- Co to za lekarz?

- Ginekolog położnik. A o co chodzi? Czy coś się stało?

Mac miała wrażenie, że serce rozsadzi jej żebra. Podniosła oczy na Cade'a.

- Czy myślisz to samo co ja?

Cade skinął głową. Wiedział, że Mac bardzo się niepokoi o stan zdrowia Heather po wypadku. Dla porywaczy wizyta u lekarza nie wchodziła w rachubę, gdyż mogłaby wzbudzić uzasadnione podejrzenia. Trzeba by było odpowiedzieć na wiele pytań i wypełnić formularz - chyba że szajka miała swojego własnego lekarza, gotowego zaradzić wszelkim problemom.

Redhawkowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Gretchen, możesz się do nas przyłączyć na chwilę? - zapytał, wskazując dziewczynie krzesło.

- Kapitan chciał, żebym sprawdziła...

- Kapitan będzie dopiero jutro rano, a to potrwa tylko parę minut - zapewnił ją Redhawk, a kiedy z wahaniem usiadła, zamknął drzwi i powiedział: - Odpręż się.

Potrzebna mi pewna informacja. Czy ten twój lekarz ma jeszcze jakąś inną specjalizację, prócz ginekologii i położnictwa?

Cała trójka miała świadomość, że to pytanie może być dla Gretchen krępujące. I rzeczywiście, dziewczyna spuściła wzrok i przez dłuższy czas wpatrywała się w dywan.

- On się też zajmuje leczeniem bezpłodności - powiedziała w końcu, podnosząc oczy na Mac. - Planowaliśmy z mężem liczną rodzinę, ale lata mijały i nie zachodziłam w ciążę. Aż wreszcie ktoś mi powiedział, że doktor Lambert praktycznie gwarantuje dziecko. Najpierw robi całą serię badań - ciągnęła, nieco głośniejszym głosem - potem obmyśla strategię leczenia, a jeśli kuracja nie skutkuje, proponuje innego rodzaju pomoc.

- Jaką? - zapytał Redhawk. Gretchen wzięła głęboki oddech.

- Zapłodnienie pozamaciczne. Tim i ja jesteśmy właśnie na tym etapie. - Mina kobiety wyraźnie świadczyła o tym, że nie ma zamiaru informować ich o szczegółach.

Cade położył jej rękę na ramieniu. Nie to spodziewał się usłyszeć.

- Nie wie pani, czy przypadkiem nie proponował niektórym parom, że im załatwi prywatną adopcję?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Gretchen spojrzała na Redhawka. - Czy to wszystko? Muszę już wracać...

- Oczywiście. - Porucznik otworzył jej drzwi. - Dzięki, że poświęciłaś nam swój czas.

Gretchen była już jedną nogą za progiem, kiedy nagle się odwróciła. Brwi miała ściągnięte, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć.

- Wie pan co, coś mi się przypomniało. Podśledzałam kiedyś rozmowę w poczekalni... O tym, że ten doktor pomógł znaleźć dziecko dla pewnej pacjentki. - Gretchen aż się zarumieniła. - Oni na to mówili „kontakt z aniołkiem”.

Mac podchwyciła jedno słowo, które ją szczególnie uderzyło.

- Znaleźć dziecko? Jest pani pewna, że użyli słowa „znaleźć”?

Gretchen znowu zaczęła w zamyśleniu ssać pełną, czerwoną wargę.

- Tak - powiedziała po chwili. - Chyba jestem pewna. - Spojrzała pytająco na Redhawka. - O co tu właściwie chodzi?

- Jeszcze nie wiem - przyznał uczciwie Redhawk. Jeżeli doktor Lambert był zamieszany w całą sprawę, lepiej, żeby dziewczyna o tym nie wiedziała. W jego umyśle zaczęły kiełkować pewne podejrzenia. - Na wszelki wypadek sprawdź też doktora Lamberta, ale nie mów o tym nikomu.

Gretchen wyszła z pokoju, mrucząc coś pod nosem. Cade poczekał, aż porucznik zamknie za nią drzwi.

- Nie dałoby się sprawdzić, czy Lambert nie był notowany w innych stanach? A może gdzieś cofnięto mu licencję? - Człowiek rozgoryczony mógł znaleźć szczególnego rodzaju satysfakcję w dostatnim życiu, zwłaszcza po takim upokorzeniu, jakim mogło być odebranie licencji.

- Tego rodzaju informacje są raczej niedostępne. Izba Lekarska, podobnie jak inne organizacje, stara się chronić swoich członków.

- Przydałby nam się haker - wtrąciła się Mac. - Zakładając oczywiście, że tego rodzaju informacja istnieje w jakiejś bazie danych.

Cade z miejsca pomyślał o żonie Sama. Jeżeli nie uda mu się złapać Megan, zadzwoni do Savannah. Ona potrafi zmusić każdy komputer do ujawnienia nawet najskrytszych tajemnic. Nie mówiąc o tym, że kiedyś znalazła się w podobnej sytuacji co siostra Mac - szukała uprowadzonego dziecka.

- Mam dojsście do bardzo dobrego hakera - powiedział.

Redhawk podniósł ręce do góry.

- Niczego nie słyszałem. - Ściszył głos. - Zadzwońcie, do kogo trzeba, a tymczasem Gretchen poszuka, czy nie ma czegoś na Lamberta.

- Mógłby pan spróbować sprawdzić w komputerze odcisk kciuka - zasugerowała Mac.

Redhawk popatrzył na nią.

- Macie odcisk jego kciuka?

- Nie, ale mogą przecież mieć w Kalifornii - powiedziała Mac. - Skoro jego żona posługuje się prawem jazdy wydanym właśnie tam na nazwisko Shirley Lambert, możemy przypuszczać, że nasz miły doktor także stamtąd pochodzi.

Redhawk pokiwał głową i otworzył drzwi. Z zewnątrz napłynęła fala hałasu.

- Poczekaście tu, a ja wydam dyspozycje Gretchen.

Mac poczuła, że ogarnia ją podniecenie. Dotarli już dalej, niż się spodziewała, a jednak nie tak blisko, jak by sobie tego życzyła.

Nie mogąc usiedzieć w miejscu, zaczęła nerwowo krążyć po pokoju, a w końcu przystanęła przy oknie. Gdzieś tam jest jej Heather, bezradne maleństwo w tym wielkim mieście. Mac westchnęła zgnębiona.

Niemal podskoczyła, kiedy poczuła czyjąś rękę na ramieniu. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Cade'em.

- Posuwamy się do przodu - zauważył pocieszającym tonem.

- Wiem - odparła. - Ale nie dość szybko. Jeżeli to czarny rynek, jeżeli ci ludzie handlują kradzionymi dziećmi, to Bóg

jeden wie, gdzie może być teraz Heather. - Mac była na granicy płaczu.

- Temu detektywowi z policji, do którego dzwoniłem, Kane'owi Madiganowi - zaczął Cade - porwano pasierbicę wprost ze szpitala. Kiedy udało się ująć porywaczy, mała była już umieszczona w nowej rodzinie. - Bezwiednie chwycił Mac za rękę. Były lodowate. Żeby je rozgrzać, zamknął w swoich dłoniach. - Mimo to Kane'owi i jego żonie udało się wpaść na trop dziecka właśnie dzięki Redhawkowi. Zobaczysz, że wszystko się dobrze skończy.

Zabrzmiało to jak obietnica, którą zamierzał dotrzymać bez względu na rozwój wydarzeń.

Mac mu uwierzyła. Doznała tak wielkiego ukojenia, że aż się sama zdziwiła.

- Czy dobrze słyszałem, czy ktoś mnie tu obgaduje? - Redhawk wrócił do pokoju i udał, że nie widzi, iż przerwał im coś więcej niż tylko rozmowę.

Cade puścił Mac, cofnął się i podszedł do porucznika.

- Powtarzałem Mac peany na twoją cześć, które usłyszałem od Kane'a.

Porucznik cicho się roześmiał.

- Nie powiem, że Kane przesadza, bo ten człowiek w ogóle rzadko się odzywa. Chyba że go ktoś przyprze do muru. Jeżeli już można komuś wierzyć, to tylko jemu. A na razie, póki Gretchen nie skończy poszukiwań, mogę wam tylko powiedzieć, że ostatnio nie zanotowano na tym terenie wzrostu liczby przypadków kidnaperstwa. - Sprawdził to osobiście po rozmowie z Kane'em. - Owszem, było kilka uprowadzeń,

ale nic nie sugerowało, że mógł to być element akcji przestępczej, zakrojonej na szeroką skalę.

- Po prostu kilkoro dzieci zniknęło. I tyle - powiedziała z goryczą Mac. -
Przepraszam - zwróciła się do Redhawka - przestaję panować nad nerwami.

- Mac praktycznie nie spała od dwóch dni - wyjaśnił Cade.

Ku swemu zdumieniu nie zirytowała się, jak to zwykle bywało, kiedy ktoś za nią przeproszał. To, że Cade mówił w jej imieniu, sprawiło, iż poczuła się z nim związana. I była to więź znacznie bliższa niż ta, jaka powstaje między ludźmi, których okoliczności zetkną ze sobą na krótki czas.

- Wiem, jak to jest - stwierdził Redhawk. - Wyśpi się pani, kiedy już będzie po wszystkim.

I znowu Cade zabrał głos w jej imieniu.

- Lepiej niech to zrobi jak najszybciej, bo gotowa wpędzić nas w kłopoty.

Właśnie miała zamiar zapytać, co chciał przez to powiedzieć, gdy rozległo się pukanie i Gretchen wsunęła głowę przez drzwi.

- Przepraszam. Nie znalazłam nic na Lamberta i jego żonę.

- Mogę się do nich przejechać - zaproponował Redhawk bez entuzjazmu. -
Podejrzewam jednak, że nie znajdziemy tam pani siostrzenicy. Ci ludzie muszą być bardzo sprytni.

Może to brak snu lub dramatyczna sytuacja albo jedno i drugie, ale odkąd Gretchen wspomniała o tym, że zna doktora Lamberta, mózg Mac nie przestawał intensywnie pracować. Z trudem dotarło do niej, co Redhawk mówił. Spojrzała na niego półprzytomnym wzrokiem.

- A może ja pojadę?

Obaj mężczyźni zwrócili się w jej stronę.

- Gdzie? Do domu?

- Nie. - Machnęła ręką. - Do lekarza. Do tego doktora Lamberta - dodała z naciskiem, na wypadek gdyby jej nie zrozumieli. - Gretchen mówiła, że on się specjalizuje w leczeniu bezpłodności. Powiem mu, że od kilku lat bez skutku próbuję zajść w ciążę, a...

Ta koncepcja miała wiele słabych punktów. Cade sam nie wiedział, od czego zacząć.

- Będzie chciał porobić badania... Mac nie dała się zbić z tropu.

- Powiem mu, że przeszłam dziesiątki badań i że mam już dość klucia i obmacywania. Poza tym, nie będę owijać niczego w bawełnę. Przyznam się, iż dowiedziałam się od kogoś, że on może mnie skontaktować z adwokatem, który...

- Może mu się to wydać podejrzane - przerwał jej Redhawk.

- Ci ludzie potrafią wyczuć glinę na odległość.

- Właśnie w tym rzecz. Nie jestem przecież gliną - słusznie zauważyła Mac. - Jestem osobą prywatną. - W jednej chwili w jej głowie zarysował się nowy plan. - Może mogłabym gdzieś zdobyć fałszywe wyniki badań i przedstawić mu jako swoje.

- Spojrzała na Grahama. Jeżeli między lekarzami istniało poczucie głębokiej, zawodowej solidarności, to tym bardziej między policjantami. Czasami, w imię słusznej sprawy, godzono się na łamanie prawa. - Na pewno zna pan kogoś, kto mógłby mi to załatwić.

Cade uznał to za niezły pomysł. Trzeba by nad nim jeszcze trochę popracować. Dopiąć kilka szczegółów.

- Wolalbym, żeby te wyniki były autentyczne - powiedział. - Gdybyśmy mieli historię choroby jakiejś pacjentki, która naprawdę nie może mieć dzieci...

Cade urwał i pomyślał o lekarce, która asystowała przy urodzeniu jego syna. Była to pełna życia kobieta, której związki z pacjentami nie kończyły się za progiem gabinetu. To chyba będzie właściwa osoba.

Spojrzał na Redhawka.

- Mogę skorzystać z telefonu?

Porucznik odsunął się od biurka i wskazał na wielofunkcyjny aparat. Dwie linie były wolne.

- Bardzo proszę.

Cade zadzwonił do informacji telefonicznej w Bedford, w Kalifornii, i poprosił o numer doktor Sheili Pollack.

Wyjaśnił, że chodzi o pilny przypadek, dzięki czemu udało mu się ominąć pielęgniarkę i uzyskać połączenie bezpośrednio z samą lekarką. Już po chwili relacjonował jej całą sprawę.

Kiedy odłożył słuchawkę, Mac spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

Cade pokiwał głową.

- Dobrze trafiłem. Ona zna kogoś takiego. Ma pacjentkę, która została brutalnie zgwałcona jako nastolatka. Na skutek doznanych obrażeń wewnętrznych stała się bezpłodna. Kiedy robiono jej badania, była mniej więcej w twoim wieku. - Przerwał, gdyż uświadomił sobie, że McKayla nigdy nie powiedziała mu, ile ma lat. - To znaczy miała dwadzieścia pięć lat.

- Pochlebiasz mi - odparła Mac. - Zapomniałeś, że jestem praktykującą dentystką? Ile znasz dwudziestopięcioletnich dentystek?

- Ja w ogóle nie znam żadnych dentystek - przyznał się Cade.

Zaskoczyła ją ta odpowiedź, ale nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Były ważniejsze sprawy niż stan uzębienia Cade'a.

- Kiedy możemy dostać te wyniki?

- Sheila musi uzyskać zgodę pacjentki, ale twierdzi, że nie powinno być z tym najmniejszych problemów. Jeżeli odpowiedź będzie brzmiała „tak”, każe pielęgniarce przesłać papiery do Megan, a ona wprowadzi odpowiednie zmiany, tak żeby to wyglądało na twoje badania. - Cade przeprowadził w myślach szybkie obliczenie. - Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, będziemy mieli te papiery jutro rano.

Odpowiedź rozczarowała Mac.

- Dopiero jutro?

- Trzeba umówić się z lekarzem. To na pewno potrwa dłużej - stwierdził Redhawk i uważnie przyjrzał się Mac. Uznał, że w zasadzie powinna sobie poradzić w tej sytuacji, jednak w grę wchodziło również potencjalne zagrożenie.

- Zdaje sobie pani sprawę z tego, w co się pani pakuje? Mac nie wahała się ani chwili.

- Tak. To następny krok na drodze do odzyskania Heather.

Był pewny, że Mac tak odpowie. Jeden rzut oka na Cade'a upewnił go, że i on myślał tak samo.

- W porządku. Jeżeli uważacie, że sobie z tym poradzicie, mam pewną sugestię - powiedział.

- Oczywiście, a o co chodzi? - Cade był otwarty na wszelkie propozycje Redhawk.

- Powinniście pojawić się w gabinecie doktora we dwójkę. Państwo Iksińscy, którym do szczęścia brakuje tylko dziecka.

- Rzeczywiście, to brzmi rozsądnie - przyznała Mac. Spojrzała na Cade'a. - Co ty na to?

Nie musiała pytać. Gotów był zrobić wszystko, byle odzyskać tę małą dziewczynkę.

- Możesz na mnie liczyć - powiedział.

Wyglądało na to, że mieli już gotowy plan. Porucznik zaczął wyjaśniać dalsze szczegóły.

- Nie ulega wątpliwości, że jeśli doktor i jego żona są rzeczywiście wmieszani w handel dziećmi, muszą być bardzo dyskretni, bardzo dobrzy w tym, co robią. Na pewno nie zechcą ryzykować, a to oznacza, że was sprawdzą. Dlatego będzie wam potrzebna tożsamość - nowe życie. Tutaj, w Phoenix - podkreślił. - Jeżeli się przyznacie, że jesteście z Kalifornii, może ich to zaniepokoić.

Cade pokiwał głową.

- Tak, racja. Powinniśmy ustalić pewne szczegóły. Powiedzielibyśmy im na przykład, że jestem inżynierem, który został przeniesiony do Phoenix ze Wschodniego Wybrzeża. Oczywiście byłoby nam potrzebne mieszkanie...

- Moja żona ma koleżankę, która pracuje w agencji nieruchomości - wpadł mu w słowo Redhawk. - Zadzwońię do niej i zapytam, czy dałoby się coś załatwić na kilka dni. A pani musi pamiętać, że będzie kluczową postacią tego małego przedstawienia - zwrócił się do Mac. Nie bardzo podobał mu się pomysł, że cywilna osoba wystawia się w taki sposób na niebezpieczeństwo. - Sądzi pani, że sobie poradzi? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, dodał: - Mógłbym trochę pogrzebać w aktach i jeśli udałoby mi się znaleźć dość dowodów, poprosiłbym kapitana, żeby skierował do tej akcji naszych ludzi, zamiast...

- Nie. - Mac potrząsnęła głową. - To by trwało za długo. - Spojrzała na Cade'a, jakby chciała, żeby ją poparł. - A czas to coś, czego nam brakuje. Będę bardzo wdzięczna za wszelką pomoc.

- Nie ma sprawy. - Redhawk pomyślał, że będzie mógł poświęcić im trochę czasu po służbie. Choćby jako ochrona, gdyby zaszła taka potrzeba. W ten sposób nie mieszałby w to departamentu.

Mac przysunęła sobie telefon.

- Bierzmy się do roboty. - Wzięła głęboki oddech i zaczęła wykręcać numer doktora Lamberta.

Machina raz puszczona w ruch, zaczęła się obracać w szybkim tempie. Mac straciła już rachubę, ile telefonów Cade z Redhawkiem musieli odbyć w ciągu tych kilku godzin, jakie upłynęły od ich spotkania.

Tylu ludziom miała coś do zawdzięczenia.

Mac rozglądała się po piętrowym apartamencie, który wyszukała im znajoma żony Redhawka. Był umeblowany i został wystawiony w ofercie agencji przed niespełna tygodniem. Pilny wyjazd służbowy zmusił właściciela do opuszczenia kraju niemal natychmiast. Wszelkie formalności pozostawił agencji.

Apartament znajdował się w eleganckiej dzielnicy, przez co idealnie nadawał się do roli, jaką miał odegrać.

W krótkim czasie pojawił się instalator telefonów - czyjś szwagier - który po godzinach podłączył aparat do sieci, dopasowując w ten sposób kolejny fragment układanki. Sceneria była już niemal gotowa. I choć zapisy do doktora Lamberta były prowadzone z wielomiesięcznym wyprzedzeniem, po usłyszeniu adresu recepcjonistka „nagle” i „szczęśliwym trafem” znalazła im wolny termin. Doktor Lambert był gotów ich przyjąć już następnego dnia.

- Nie powinni mieć kłopotu z wynajęciem tego apartamentu - zwróciła się Mac do Cade'a.

- Nie byłbym tego taki pewny.

Mac cofnęła się z patio i spojrzała na Cade'a, unosząc brwi w niemym pytaniu.

- Niektórym może się nie podobać, że leży zbyt blisko linii kolejowej. - Jak na potwierdzenie jego słów, w pobliżu przejechał pociąg osobowy. I choć jego skład był

znacznie krótszy niż w przypadku pociągów towarowych, nie sposób było przeoczyć hałasu i lekkich drgań, towarzyszących jego przejazdowi.

- Wiesz co, chyba masz rację - przyznała Mac.

Cade zamyślił się. W końcu dla niego taka sytuacja to chleb codzienny. Za to mu płacono. Mac była amatorką i najgorsze, co ją kiedykolwiek mogło spotkać, to że jakiś pacjent ugryzie ją w rękę. Patrząc, jak McKayla na oślepu rzuca się w tę aferę, uświadomił sobie, że chyba nie zdaje sobie sprawy z ewentualnych konsekwencji.

- Gdybyś chciała zmienić zdanie, jeszcze nie jest za późno - odezwał się. Zobaczył w jej oczach zdumienie, ale mówił dalej: - Jeśli raz przekroczysz próg, nie będzie już odwrotu.

Lambert cię jeszcze nie widział. Możemy więc poprosić Redhawka, żeby nam kogoś przysłał.

- Nie, wykluczone - powiedziała z naciskiem. - Ja nie lubię stać z boku, Cade. Nie potrafię. Sam to zresztą zauważyłeś - przypomniała mu.

Był tego w pełni świadomy. Nie wiedział za to nic o niej samej ponad to, co mu zechciała opowiedzieć.

- Tak - przyznał. - W porządku. Jeżeli jesteś zdecydowana, całym sercem cię popieram. A teraz musisz zjeść kolację, a potem opowiesz mi swoje życie.

Spojrzała na niego lekko zmieszana.

- Nie wystarczy sama kolacja?

- Jeżeli nasz plan ma się powieść, musimy wiedzieć o sobie znacznie więcej, niż wiemy. Przecież nie wystarczy, że znamy własne imiona i nazwiska, skoro mamy udawać małżeństwo.

ROZDZIAŁ 9

Jeżeli chciałeś się czegoś o mnie dowiedzieć, trzeba było po prostu zapytać. - Uśmiech Mac sięgnął jej oczu.

Cade zatracił się na moment w tych oczach, zaintrygowany dostrzeżoną w nich iskierką humoru. Kiedy przynieśli im zamówioną pizzę, zaczął od prostych pytań. Te trudniejsze, na przykład, dlaczego nie wyszła dotąd za męża, miały przyjść później.

- Przepraszam, jeżeli przy okazji wymknie mi się pytanie o coś, o co właściwie nie powinienem pytać, a co mnie osobiście interesuje.

Nie spodziewała się po nim takiej szczerości. Jednocześnie świadomość, że się nią interesuje, sprawiła jej dziwną przyjemność.

Może lepiej jednak nie pytać, czemu nie wyszła za męża? - pomyślał. W końcu to jej prywatna sprawa.

- Czemu nie wyszłaś za męża? - zapytał jednak.

- Po co mamy o tym rozmawiać? Przecież będę udawać mężatkę. Dla twojej informacji - to moja prywatna sprawa - powiedziała surowo, ale jej oczy się śmiały. Cade zrobił taką strapioną minę, jakby nie wiedział, co ze sobą począć. A przecież chciała się z nim tylko podroczyć. - Prawdziwym powodem, dla którego nie wyszłam za męża, był brak czasu.

Pomyślał o Elaine. Kiedy ją po raz pierwszy spotkał, od razu wiedział, że to coś niezwykłego, jakieś oczarowanie.

Podobnych uczuć doznawał w stosunku do McKayli. Nagle uderzyło go to porównanie między dwiema kobietami.

- Czasami nie trzeba nawet o tym myśleć - powiedział cicho. - To może przyjść samo z siebie.

Coś w jego tonie sprawiło, że Mac wewnętrznie zadrżała. Odwróciła wzrok i skupiła się na niedojedzonym kawałku pizzy, żeby ukryć zażenowanie.

- Musiałam być zajęta, kiedy to się zdarzyło.

Cade doszedł do wniosku, że sprawa musi być znacznie bardziej złożona. Ale i tak pewne fragmenty zaczynały już się układać w logiczną całość.

- Zajęta opieką nad całą rodziną? Zgromiła go wzrokiem.

- Ja się nimi nie opiekuję... to znaczy, tak się jakoś samo ułożyło...

- Nie bez twojej wydatnej pomocy - zauważył z uśmiechem, nakładając sobie trzeci kawałek.

Mac odłożyła widelec. Nerwy miała napięte jak struny. Gotowa była wszcząć sprzeczkę, byle znaleźć ujście dla emocji, które nią targały. Uwaga Cade'a posłużyła jej za pretekst.

Zmrużyła oczy.

- Co sugerujesz? Że mam się niczym nie przejmować? Mam pójść sobie do domu i czekać na twój telefon... - Zbyt późno dotarł do niej podwójny sens tych słów. Mężczyźni, których znała, skłonni byli przychylić się do tej niewłaściwej interpretacji.

- Z nowymi informacjami w sprawie porwania - dorzuciła szybko.

- Nie, nie to chciałem powiedzieć. Miałem na myśli członków twojej rodziny. - Cade był przekonany, że choć istniała wśród nich pewna hierarchia na pokaz, z ojcem na czele, tak naprawdę źródłem siły była Mac. I być może zaczynała już być tym zmęczona. - Pomyślałem sobie, że gdybyś zajęła się teraz własnym życiem, oni musieliby sami zadbać o swoje sprawy.

- To dobre w teorii - prychnęła Mac. - Nie mam ochoty stosować tego w praktyce.

- Boisz się, że mogłoby się okazać, że jednak potrafią stać o własnych siłach bez twojej pomocy?

Nie. Słowo to samo cisnęło jej się na usta, ale ugryzła się w język. Po krótkim zastanowieniu doszła do wniosku, że gdzieś, w głębi duszy, rzeczywiście obawiała się, że mogłaby okazać się niepotrzebna. Poczucie, że bliscy jej potrzebują, stało się jej niezbędnym do życia.

- Może i tak - przyznała, a potem spojrzała mu w oczy. - Jeszcze bardziej się boję, że upadną, dlatego że mnie przy nich nie było.

Czy rzeczywiście była o tym przekonana? A może tylko to sobie wmówiła? Choć przecież nie zrobiła na nim wrażenia osoby, która musi się nieustannie dowartościowywać. Chyba raczej dała się nieświadomie wmanewrować w taką sytuację...

- Wystarczy, że będziesz stać z tyłu - przypomniał jej z uśmiechem - a nie ciągnąć ich wszystkich za sobą.

Może miał rację, a może nie, ale Mac nie czuła się na siłach, żeby z nim teraz walczyć. Postanowiła przegrupować szyki.

- Możesz sobie mówić, co chcesz, Cade, ale ja nie pojedę do domu. Jak mogłabym to zrobić teraz, kiedy jesteśmy tak blisko?

Cade sięgnął po serwetkę i otarł palce. Uznał, że trzy kawałki to na razie wystarczy. Kątem oka spostrzegł, że Mac wciąż nie może skończyć pierwszego. A to zły znak.

- Nikt ci nie każe wracać do domu. Przecież żaden doktor mi nie uwierzy, że to ja chcę zająć w ciążę.

Oczyrna duszy zobaczyła Cade'a, jak siedzi w gabinecie i zwierza się lekarzowi ze swojego pragnienia, by urodzić dziecko. Wybuchnęła śmiechem.

Nagle kawałek pizzy utknął Mac w przełyku. Poczowała, że się dusi. Otworzyła oczy z przerażenia. Wpadła w panikę. Zaraz się udławi na śmierć!

Cade zobaczył trwogę w jej oczach i natychmiast rzucił się na pomoc. Poderwał się tak gwałtownie, że jego krzesło runęło z hałasem na podłogę. Szarpnął Mac do góry, objął ją od tyłu i zaczął uciskać klatkę piersiową. Nawet w tak dramatycznej sytuacji czuł, jak jej włosy muskają mu twarz, roztaczając delikatny, kwiatowy zapach.

Nacisnął jeszcze mocniej, bojąc się, że połamie jej żebra, i wtedy feralny kawałek wypadł jej z ust.

Mac nabrała głośno powietrza, jakby właśnie wyciągnął ją z topieli, a on nie przestawał jej podtrzymywać z obawy, by nie upadła.

Trzymał ją tak o kilka sekund za długo. A w każdym razie na tyle długo, żeby zdać sobie sprawę, iż jego dłonie spoczywają na jej piersiach i że podczas gdy ona odzyskała oddech, jemu zaczyna go brakować.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

Poczowała na karku jego gorący oddech. Wstrząsnął nią lekki dreszcz, a potem ogarnęło ją miłe ciepło.

- Nic, nic. - Wzięła się w garść, raz jeszcze zaczerpnęła powietrza i zażenowana, lecz odprężona odwróciła się z uśmiechem do Cade'a.

- Dobry trick, jeżeli doktor zacznie mi zadawać niewygodne pytania.

- Rzeczywiście, genialny sposób, żeby zakończyć rozmowę - przyznał Cade.

Wtedy właśnie uświadomił sobie, że nadal ją obejmuje. Tylko że teraz, na odmianę, jego dłonie spoczywały na jej plecach. Stali stanowczo zbyt blisko siebie. Można by oczywiście powiedzieć, że starał się ją podtrzymać, ale oboje doskonale wiedzieli, że to nieprawda.

- Cade!

Nagle, nie wiadomo skąd, obudziły się w nim jakieś dziwne pragnienia.

- Tak? - odparł, z trudem rozpoznając swój własny głos. W jej oczach znowu mignął przeblysłk uśmiechu.

- Jak długo masz zamiar tak mnie trzymać?

Czy miał skłamać? Czy wymamrotać jakieś przeprosiny? A może po prostu opuścić ręce? Żadne wyjście nie wydało mu się stosowne. W tej sytuacji postanowił powiedzieć prawdę. To było najwłaściwsze.

- Póki cię nie puszczę albo póki cię nie pocałuję.

Mimowolnie uśmiechnęła się, tym razem szeroko. Serce nadal biło jej dziwnym, przyspieszonym rytmem. A zaczęło się to, kiedy Cade chwycił ją w ramiona.

- Rozumiem. A co wybierzesz?

- Chyba to - szepnął, zbliżając wargi do jej ust.

Niepotrzebne komplikacje w już i tak skomplikowanej sytuacji, pomyślała Mac. Teraz nie czas i nie miejsce na pocałunki. Miała tego świadomość, a zarazem nie była w stanie zrobić kroku.

To, co się działo z nią i wokół niej, sprawiało jej przyjemność, choć próbowała sobie wyperswadować, że jest inaczej.

W chwili gdy usta Cade'a dotknęły jej warg, wszystko wokół znalazło się za mgłą - po prostu przestało się liczyć. Nie potrafiła już myśleć o niczym innym jak tylko o tym, że Cade trzyma ją delikatnie w ramionach, jakby była jakimś niesłychanie kruchym przedmiotem, a jego muskularne ciało dotyka jej ciała.

Odkąd sięgała pamięcią, zawsze ceniła sobie swój silny charakter i umiejętność pokonywania wszelkich przeszkód, tych mniejszych i tych większych. Fakt, że rodzina w potrzebie nieodmiennie zwracała się do niej, sprawiał jej niekłamaną radość. Tymczasem teraz to Cade się o nią troszczył, a ona czuła się szczęśliwa.

Może jej jednak tego brakowało, tylko nigdy nie miała okazji, żeby sobie to uświadomić.

Cade, nawet gdyby chciał, nie potrafiłby powiedzieć, co takiego miała w sobie McKayla, że przez nią zaczynał zapominać o swoich zasadach, chociażby takich jak ścisłe rozdzielanie pracy zawodowej i życia osobistego. Zresztą tak na dobrą sprawę jego życie wypełniały zajęcia związane z prowadzeniem agencji i poszukiwaniem syna.

Ale przecież coś w niej było. Z całą pewnością tak.

Całował ją coraz mocniej, gwałtowniej, obejmując rękami jej twarz, jakby chciał ją mieć jak najbliżej, tuż przy sobie.

Ta kobieta szła przez życie jak huragan. Jak płomień, strzelający w górę i rozświetlający niebo. A jednak było w niej coś, co kazało mu się zawahać. Co kazało mu wierzyć, że wcale nie jest taka silna i odporna, za jaką chciałaby uchodzić.

Ośmieliłby się nawet twierdzić, że jest osobą bardzo wrażliwą.

Mac pomyślała, że jeżeli teraz się nie wycofa, będzie już za późno. Za chwilę jakiś szalony wir porwie ją i wessie w swoją otchłań. A co potem? Już i tak resztkami sił panowała nad sobą.

Wzięła głęboki oddech, próbując uspokoić puls, jednak nic jej to nie pomogło.

- Mam wrażenie, że jak już się na coś zdecydujesz, robisz to z całym poświęceniem - powiedziała, kiedy wreszcie udało jej się zakończyć pocałunek. Zajrzała mu w twarz, szukając odpowiedzi na pytania, które nie zdążyły się jeszcze uformować w jej głowie. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek czuła się tak niepewnie. Nawet ziemia, zamiast stanowić oparcie, zdawała się kołysać jej pod stopami. - Czy to miało być sztuczne oddychanie?

Uśmiech rozświetlił mu oczy. Czuł, że jest gotowy złamać wszystkie swoje zasady, nad którymi dotąd nawet nie musiał się zastanawiać.

- Może - odparł.

- A które z nas chciałeś przywrócić do życia?

Cade delikatnie pogładził ją po policzku, a potem odgarnął jej włosy. Miała taką miękką, ciepłą skórę. Nagle zapragnął czegoś więcej - czegoś, co było absolutnie zakazane.

- Nie wiem - odparł. Była to prawda. Mac była równie wstrząśnięta i zdezorientowana jak on sam. - Chyba oboje.

Patrzyła mu w oczy przez dłuższą chwilę. Czowała się jak pąk kwiatu, który otwiera się w ciepłych promieniach słońca. A jednak dręczyła ją świadomość, że trzeba zrobić jakiś krok. Czy w przód, czy w tył - tego nie była pewna. Nie potrafiła też powiedzieć, do kogo ma należeć decyzja - do niej czy do niego. Co on jej takiego zrobił?

- I co teraz?

Pomyślał, że wszystko zależy teraz od niego. To on ma nadać ton i utrzymać stosowny dystans, ponieważ wszystko popsuł i naruszył reguły. Zadając gwałt swoim pragnieniom, wypuścił Mac z objęć i cofnął się, a potem schylił i podniósł przewrócone krzesło.

- Wracamy do roboty - powiedział, siadając. - Jest jeszcze tyle rzeczy, których o sobie nie wiemy.

- Zdaje mi się, że właśnie próbowaliśmy nadrobić te zaległości - mruknęła Mac.

Cade usłyszał ją.

- Masz rację. Na dziś dosyć. Jutro do tego wrócimy. To znaczy do naszej rozmowy - dorzucił szybko, na wypadek gdyby chciała wyciągnąć jakieś logiczne wnioski z tego, co przed chwilą zaszło.

Mac skinęła głową i swoim zwyczajem dokończyła za niego:

- Jutro, po wizycie u lekarza.

- No właśnie.

Nie to chciał powiedzieć i nie o to mu chodziło. O ile się nie mylił, z Mac było podobnie.

Zegarek przy łóżku pokazywał godzinę drugą. Dokładnie trzy minuty po drugiej, a Mac do tej pory nawet nie zmrużyła oka

I było tak, odkąd wróciła do siebie, choć może „uciekła” wydawałoby się stosowniejszym określeniem. Co za tchórzostwo, pomyślała z niesmakiem. Co się z nią dzieje? Przecież nie chodzi tu o nią ani o dziwne uczucie, jakie ją ogarnęło, tylko o Heather i o to, jak ją odzyskać. Tylko i wyłącznie o Heather. Powinna obmyślać teraz strategię działania, a nie roztkliwiać się nad sobą.

Napięcie nie pozwalało jej zasnąć. Znowu. I jeśli miała być szczerą, Heather nie miała z tym nic wspólnego. Szkoda, że w pobliżu nie ma basenu, pomyślała. Może gdyby popływała przez godzinę, łatwiej byłoby jej zasnąć choć na kilka minut, zanim trzeba będzie znowu wstać.

Spojrzała na ścianę, oddzielającą jej pokój od pokoju Cade'a. Godzina pływania to za mało, uznała. Bezwiednie podniosła rękę do ust.

Kilka minut później usłyszała pukanie. Otworzyła drzwi, przeciągnęła ręką po włosach i nieprzytomnie zamrugała oczami, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje.

Mac wyglądała na bardzo zmęczoną. Tego się zresztą Cade spodziewał. Widząc ją w takim stanie, zapragnął wziąć w ramiona i mocno przytulić.

Ostrożnie, Townsend, powiedział sobie. Od tego wszystko się zaczęło.

- Mogę ci w czymś pomóc? - zapytał.

- Słucham?

Wskazał głową na łóżko. Wyglądało jak pole bitwy.

- Od kilku godzin rzucasz się jak tygrys w klatce. Co mogę dla ciebie zrobić?

Nic, już i tak dosyć zrobiłeś, pomyślała. Potrząsnęła głową.

- Przecież robisz, co możesz. - A ponieważ czuła, że musi znaleźć jakiegoś winowajcę, powiedziała pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy. - Mam po prostu tremę przed naszym występem.

Potrafiła jednak przyznać się do swoich słabości. Cade odniósł wrażenie, że Mac zdecydowała się ukazać mu teraz tę stronę swojej osobowości, którą mało kto miał okazję oglądać.

On sam z natury nie był człowiekiem spontanicznym. Nie miał zwyczaju otwarcie okazywać swoich uczuć. Dlatego się zdziwił, kiedy mimowolnie nakrył ręką dłoń Mac i powiedział:

- Wszystko będzie dobrze.

Wróciła myślami do kłopotów, jakie ich tu sprowadziły. Tak bardzo chciałyby wierzyć, że wszystko pomyślnie się zakończy, że będzie mogła zwrócić siostrze jej córeczkę.

To ta straszna niepewność doprowadzała ją do utraty zmysłów.

Podeszła do okna, ale zobaczyła za nim tylko bezkresną pustynię.

Skrzyżowała ręce na piersiach, żeby opanować drzenie.

- Ach, już sama nie wiem. - Zabrzmiało to bezradnie, ale nie mogła nic na to poradzić. Bała się. Naprawdę się bała. Potrzebowała oparcia. Odwróciła się do Cade'a.
- A jeżeli...

Przeczuwał, ku czemu zmierza. Miał już to wszystko za sobą. Położył palec na jej ustach, żeby uciszyć wątpliwości i zatrzymać słowa.

- Te wszystkie „jeżeli” doprowadzą cię do szaleństwa, o ile je do siebie dopuścisz. - W jego oczach pojawiły się ciepłe błyski. - Cała rzecz w tym, żeby im na to nie pozwolić. Kiedy człowiek się czymś zamartwia, traci tylko niepotrzebnie energię, którą można by spożytkować w lepszym celu.

Mac ogarnęło wzruszenie. Stojący przed nią mężczyzna proponował pomoc i nadzieję, o nic w zamian nie prosząc. A przecież ona miała mu tyle do zaofiarowania.

- O jakim lepszym celu mówisz? - Czy rzeczywiście zadała to pytanie, czy tylko usłyszała własne myśli? Nie była w stanie tego ocenić.

Było tyle rzeczy, które chciał z nią robić. Dzikich, szaleńczych rzeczy, o których nawet nie ważył się myśleć. Zamiast tego pogładził ją po policzku, delektując się jedwabistą gładkością jej skóry.

- Czy nikt ci nigdy nie mówił, że zadajesz za dużo pytań?

Nagle z przerażeniem uświadomiła sobie, czego tak naprawdę od niego oczekiwała. Chciała, by z otaczającego ich piekła zrobił niebo i zabrał ją ze sobą. Pragnęła, żeby odegnał od niej posępne myśli. Wszystkie. Czy stała się przez to słabsza? Czy sprawiała komuś zawód?

- A jak inaczej miałabym się o tym dowiedzieć?

Cade pomyślał, że nigdy dotąd nie był wystawiony na większe pokusy. Nigdy stłumione pragnienia aż tak natarczywie nie domagały się ujścia...

O nie, powiedział sobie w duchu, nigdy. Za żadne skarby świata. Oznaczałoby to pogwałcenie zasad i nadużycie zaufania, jakim obdarzała go Mac, a także szacunku, jaki żywił sam do siebie.

- Pewnych spraw lepiej nie tykać, McKaylo. Prześpij się trochę - poradził i szybko ruszył w stronę drzwi, gdyż bał się, że zapomni o wszystkich obietnicach, jakie składał i jej, i sobie.

Gabinet urządony był tak, by każdy, kto przekroczy jego próg, poczuł się jak u siebie domu. Siedzący za dębowym biurkiem elegancki starszy pan patrzył na nich z dobrotliwym uśmiechem.

Gdyby nie niezbite fakty, Mac mogłaby przysiąc, że popełniła pomyłkę.

- Pacjentki, które siedziały przed panią tu, na tym krześle, mówiły mi to samo, pani Sinclair. - Doktor Erasmus Lambert z krzepiącym uśmiechem spojrział Mac w oczy.

Pomyślała, że nigdy dotąd nie spotkała sprytniejszego kłamcy.

Przez ostatnie dwadzieścia pięć minut „otwierała swoje serce” przed człowiekiem, który bez trudu mógłby zagrać świętego Mikołaja w bożonarodzeniowej szopce. Łagodny, siwowłosy doktor Lambert miał bardzo sympatyczną twarz. Nic dziwnego, że ludzie ufali mu bez zastrzeżeń. Doskonale wiedział, jak nawiązywać kontakt z pacjentkami, zachęcić je do najintymniejszych wyznań, jak dawać nadzieję.

Mac chwyciła Cade'a za rękę i patrząc Lambertowi głęboko w oczy, zapytała:

- I naprawdę wszystkie zostały matkami? Twarz Lamberta rozjaśnił błogi uśmiech.

- Tak, prędzej czy później tak.

Cade, który na początku odgrywał rolę sceptycznie nastawionego męża, zapytał:

- Aż taki duży procent kuracji zakończył się sukcesem?

Lambert odchylił się w fotelu i wskazał na tablicę obwieszoną fotografiami niemowląt i małych dzieci. Biła od nich aura cichego szczęścia.

- Owszem, w taki czy inny sposób.

- W moim przypadku, niestety, będzie to musiał być ten inny sposób. - Mac zerknęła spod oka na Cade'a, a potem zaczęła opowiadać historię, którą już wcześniej

przećwiczyli. - Nie mogę mieć dzieci, panie doktorze. Kiedy miałam szesnaście lat, zostałam zgwałcona. - Głos jej zadrżał. Mac umilkła na chwilę. Nie była to jej historia. Należała do Julii Sinclair. Osoby, która dziwnym zrządzeniem losu była z nimi w jakiś sposób związana, gdyż okazała się szwagierką Kane'a Madigana. - Ten człowiek był znajomym moich rodziców. Dlatego wstydziłam się o tym komukolwiek powiedzieć i nie poszłam też na policję. A potem było już za późno.

- Za późno? - powtórzył doktor Lambert głosem pełnym najgłębszego współczucia.

Mac skromnie spuściła wzrok, przybierając na użytek doktora Lamberta minę pełną zażenowania. Cade ujął ją za rękę.

- Doznałam wewnętrznych obrażeń, z których wywiązała się poważna infekcja. Nie leczona w porę, spowodowała całkowitą niedrożność jajowodów. - Zerknęła spod oka na Lamberta i zobaczyła, że pokiwał ze zrozumieniem głową. - Odwiedziłam dziesiątki specjalistów i wszyscy mi powiedzieli, że... że nigdy nie będę miała dzieci. - Tłumiąc szloch, zaczęła okręcać na palcu obrączkę, którą założyła, żeby dopełnić obrazu solidnej mężatki. Kiedy się opanowała, spojrzała błagalnie na doktora. - Przyszłam do pana, licząc na jakiś cud.

- Zapłodnienia in vitro to zasługa nauki, a nie cudów, pani Sinclair, ale...

- Tego też próbowaliśmy - odezwał się Cade, po czym ze smutkiem potrząsnął głową. - Jednak się nie udało. Żona wciąż robiła sobie nowe nadzieje, żeby potem przeżywać kolejne bolesne rozczarowania. Nie chcę, by znowu przez to przechodziła.

- Rozumiem.

Mac złożyła błagalnie ręce i zwróciła się do Lamberta:

- Panie doktorze, wiem, że nigdy nie będę mogła nosić dziecka pod sercem.

Zdążyłam już się pogodzić z tą myślą, ale nie przestanę marzyć o tym, żeby móc nosić dziecko na rękach. Oboje z mężem gorąco tego pragniemy. Pozostaje przecież możliwość adopcji...

- I przyszli państwo do mnie, bo...

- Bo powiedziano nam, że mamy większe szanse, starając się o adopcję prywatnymi kanałami - wtrącił się Cade. - Oficjalna procedura potrwa lata, a ja mogę już nie mieć tyle czasu.

- Nie rozumiem. - Lambert zmarszczył brwi. Teraz przyszła kolej na Mac.

- Mój mąż choruje na serce, panie doktorze. Żadna oficjalna agencja adopcyjna nie zgodzi się na powierzenie nam dziecka. Mąż miał już jeden zawał serca i może mieć drugi, bardziej tragiczny w skutkach. - Ściskając Cade'a za rękę, wychyliła się do przodu. - W panu cała nasza nadzieja, panie doktorze.

Lambert powoli pokiwał głową.

- Agencje adopcyjne starają się znaleźć dzieciom jak najlepsze domy...

- Przecież my możemy dać dziecku wszystko, co najlepsze. Najlepszą miłość, najlepszy dom... Kochamy się, mamy pieniądze, mnóstwo pieniędzy. To, że coś „może” się zdarzyć kiedyś tam, w przyszłości, to nie jest powód, żeby odmawiać nam prawa do miłości dziecka, a jakiemuś dziecku prawa do naszej miłości. - Głos Mac wibrował, nabrzmiały pasją.

- Doskonale to pani ujęła, pani Sinclair. - Doktor Lambert wstał, podszedł do Mac i krzepiącym gestem położył jej rękę na ramieniu. - Całym sercem jestem po pani stronie. Muszę też państwu wyznać, że moja żona i ja byliśmy przed laty w podobnej sytuacji. Wtedy właśnie zająłem się leczeniem bezpłodności. Zrozumiałem, co to za straszne uczucie, kiedy małżeństwo jest pozbawione możliwości spełnienia swojej najświętszej powinności, jaką jest rodzicielstwo i przedłużenie ciągłości rodziny. - Urwał i spojrzał na Cade'a, a potem na Mac. - Czy są państwo absolutnie pewni, że zapłodnienie in vitro nie wchodzi w grę?

- Absolutnie - oświadczyła Mac. - Nie przeżyłabym kolejnego rozczarowania. Za każdym razem miałam uczucie, jakby ktoś wyrywał mi serce z piersi. - Pomyślała o Heather i jej oczy napełniły się łzami. - Nie będę więcej próbować. To ponad moje siły.

Lambert popatrzył na nią ze współczuciem.

- Rozumiem.

- Bardzo liczyłam na to, że pan tak powie.

ROZDZIAŁ 10

Teraz pozostaje nam już tylko czekać - orzekła Mac, kiedy wychodzili z Cade'em z gabinetu na ósmym piętrze.

Minioną godzinę spędzili z doktorem Lambertem, odpowiadając na pytania, wypełniając formularze oraz udzielając informacji. Litania tych pytań ciągnęła się bez końca, jednak sprostali wyzwaniu. Pod koniec sesji Lambert powiedział im, że jest przekonany, iż niedługo dostaną swoje dziecko. Odprowadził ich do drzwi i obiecał, że wkrótce się z nimi skontaktuje. Mac nalegała, usiłując wydusić z niego jakąś datę, ale powtórzył tylko „wkrótce”.

Cade wyczuł, że jest bardzo zdenerwowana. Nie mógł jej o to winić. Na jej miejscu byłby w takim samym stanie. Prawdę mówiąc, sprzedałby duszę diabłu, byle móc znaleźć się na jej miejscu i mieć świadomość, że zbliża się moment odnalezienia Darina.

Wcisnął guzik, żeby przywołać windę.

- Początek został zrobiony.

- Nie wiem, czy potrafię czekać.

Cade objął Mac w talii i wprowadził do windy. W kabinie nie było nikogo.

- A jakie mamy inne wyjście?

Nim winda się zamknęła, Mac raz jeszcze spojrzała na drzwi gabinetu Lamberta. Poczowała przemożną chęć, żeby wyskoczyć i wrócić tam biegiem.

- Dlaczego nie możemy tam wejść i go po prostu zdemaskować? Jego i ich wszystkich? - Przecież to sensowne wyjście. Mieli już w ręku dowody. Zauważyła też w recepcji dwie młode pielęgniarki, niestety, żadna z nich ani trochę nie przypominała pani Lambert. To pogłębiało tylko przeświadczenie Mac, że mają coraz mniej czasu.

- On ma Heather. Jeżeli go spłoszymy... - Chociaż w windzie prócz nich nie było nikogo, Cade ściszył głos. - Redhawk wyznaczył ludzi, którzy bez przerwy obserwują oba gabinety Lamberta i jego prywatne mieszkanie. - Objął Mac, żeby dodać jej otuchy. - Żadne dziecko nie zostanie wywiezione czy przeniesione tak, żeby on o tym nie wiedział.

Drzwi otworzyły się. Mac wysiadła z windy. W głowie jej się kręciło.

- Przecież Redhawk mówił, że nie może...

- Nieoficjalnie - przerwał jej Cade. Rozejrzał się wokoło, po czym ruszył w stronę samochodu. - Jego ludzie pracują nad tym po godzinach. Robią to dla niego, a on dla Kane'a.

Czyli było dokładnie tak, jak przypuszczała. Mieli dług wdzięczności w stosunku do tak wielu ludzi.

Szli wolno w stronę wynajętego wozu. Wokół nich krążyły samochody, usiłując znaleźć wolne miejsce na zatłoczonym parkingu. Cade zaczął się zastanawiać, czy któryś z nich został wyznaczony do tego, żeby ich śledzić. Wystarczyła krótka chwila, żeby zawiadomić kogo trzeba, a przypomniał sobie, że Lambert wyszedł z pokoju, kiedy wypełniali kwestionariusze.

Mac przystanęła przy samochodzie.

- Nie możemy kontaktować się z Redhawkiem? Cade otworzył przed nią drzwi.

- Fizycznie nie, ale możemy do niego dzwonić z publicznych automatów.

Mac wsiadła i spojrzała na Cade'a, który właśnie sadowił się za kierownicą.

- Przecież to chyba niemożliwe, żeby miał podsłuch w telefonie komórkowym?

Cade nigdy dotąd nie popełnił błędu, polegającego na niedocenianiu wroga. Po tym, co się stało z Darinem, nauczył się mieć oczy szeroko otwarte.

Roześmiał się cicho.

- Podsłuchać sygnały z telefonu komórkowego jest znacznie łatwiej, niż myślisz.

Mac potrząsnęła głową.

- W obliczu tych wszystkich intryg moje życie dentystki zaczyna mi się jawić jako oaza bezpieczeństwa.

Cade roześmiał się.

- Nie byłbym tego taki pewny. Pamiętam czasy, kiedy wizyty u dentysty były dla mnie dramatycznym przeżyciem.

- Kiedy to było?

- Dawno temu - przyznał. - Wiesz co, mam pomysł. Gdy już będzie po wszystkim, przyjdę do ciebie na przegląd. W ramach mojego honorarium.

Teraz z kolei Mac roześmiała się na myśl o tym, że Cade mógłby wystąpić w roli jej pacjenta. Na ścianach gabinetu wisiały kolorowe plakaty z bohaterami kreskówek, miała też całą półkę kaset wideo z filmami dla dzieci.

- Pomóż mi znaleźć Heather, a zapewnię ci bezpłatne leczenie stomatologiczne do końca życia.

Już miał jej powiedzieć, że żartował, ale się rozmyślił. Może to wcale nie taki zły pomysł, żeby się z nią zobaczyć, kiedy już będzie po wszystkim. W sumie byłby to całkiem niezły pretekst.

- Umowa stoi.

Nagle Mac odwróciła się, spojrzała przez okno i zapytała:

- Myślisz, że jesteśmy śledzeni? Był tego więcej niż pewny.

- Obejrzyj się, tylko ostrożnie.

- Ten niebieski wóz?

To byłoby zbyt oczywiste. Nie mieli do czynienia z amatorami. On sam także zresztą nie był amatorem.

- Nie, ten beżowy, za niebieskim. Jedzie za nami, odkąd opuściliśmy parking. - Zauważył go wśród innych samochodów, okrążających parking. - Jestem pewny, że ani Lambert, ani jego przyjaciel adwokat nie zechcą ryzykować.

- A porwanie? Wydaje mi się, że porywanie dziecka to wielkie ryzyko.

Cade podejrzewał, że jeśli chodzi o uprowadzenie Heather, coś w ostatniej chwili musiało pokrzyżować plany porywaczy.

- To wkalkulowane ryzyko - stwierdził - a to duża różnica.

Zerknął we wsteczne lusterko. Beżowy samochód wciąż jechał za nimi w pewnej odległości. Cade zmienił pas ruchu. Po chwili beżowy samochód zrobił to samo.

Czyli wyszło na moje, pomyślał Cade.

- Poproszę żonę Sama, żeby to dla nas sprawdziła, ale jestem pewny, że większość adopcji w kancelarii Taylora przeprowadzono legalnie. - Jeżeli nie większość, to przynajmniej połowę, dodał w duchu. - Może z początku wszystkie były legalne, ale jest olbrzymie zapotrzebowanie na dzieci do adopcji. Pewnie to właśnie po

jakimś czasie skusiło Taylora i Lamberta. Trudno oprzeć się pokusie, mając przed oczami tak lukratywny interes.

Mac ogarnęła gniew na samą myśl o tym, że życie wielu dzieci oraz ich rodzin można traktować jak interes. Po chwili opanowała się i zapytała:

- Dlaczego akurat żonę Sama?

- Savannah Walters, jeżeli się uprze, potrafi się włamać do każdego systemu komputerowego w tym kraju.

Mac nie była pewna, czy to ma być dobra rekomendacja. Znaleźli się jednak w takim punkcie, w którym każdy rodzaj pomocy mógł się okazać przydatny.

- Czyli ona jest zawodową złodziejką?

Złodziejką? - było to ostatnie słowo, jakie przyszłoby mu do głowy w związku z Savannah. Gdyby już musiał ją jakoś określić, użyłby słowa „dama”. Miała to wypisane na twarzy.

- Nie, jest geniuszem komputerowym. Jest nawet lepsza niż Megan, co mnie dziwi. - Chylił czoło przed każdym, kto potrafił poruszać się w tym tajemniczym świecie. - Moja znajomość komputera ogranicza się do jednego systemu. Czasami potrafię też pobuszować w Internecie, ale najwyżej przez dziesięć minut. - Spojrzał na nią z uśmiechem. - Niektórzy pewnie nazwaliby mnie dinozaurem.

- Gdyby się chociaż raz z tobą całowali, na pewno zmieniliby zdanie - powiedziała cicho Mac, odwracając głowę.

Mimo to Cade ją usłyszał. Uśmiechnął się.

Cade odwiesił słuchawkę i spojrzał na telefon, z którego przed chwilą dzwonił. Patrzył na chromowaną płytkę u dołu aparatu. Widział w niej kierowcę beżowego wozu, który szedł za nimi wzdłuż pasażu handlowego.

- Jest tak, jak przypuszczałem - szepnęła i otoczył Mac ramieniem. - Taylor ma prywatnego detektywa na każde wezwanie. Założę się, że jesteśmy jego najnowszym zleceniem. - Zadzwoił do Savannah, powiedział jej o swoich podejrzeniach i podał numery rejestracyjne beżowego samochodu, a potem zaczekał, aż sprawdzi dane. Po chwili przekazała mu zwięzły rysopis człowieka z fotografii na dokumencie rejestracyjnym. Udając, że pieści Mac, Cade ciągnął: - Sądząc po tym, co mi powiedziała, to pewnie ten wysoki facet, który popija koszmarnie drogą kawę.

Mac zerknęła ukradkiem we wskazanym kierunku. Mężczyzna, o którym była mowa, siedział przy stoliku przed Cafe Delicja. Wydawał się nie widzieć świata poza swoją gazetą, ale Mac nie wątpiła, że Cade ma rację.

- Widzę z tego, że nie przywiązujesz specjalnej wagi do gatunku kawy - powiedziała z uśmiechem.

Cade wzruszył ramionami.

- Ja znam tylko dwa gatunki kawy - dobrą i złą.

- A jaka powinna być dobra?

- Gorąca. Czarna. Mocna. W przeciwnym wypadku nie ma po co jej pić. - Taką właśnie kawę pił, odkąd skończył czternaście lat, i nie widział powodu, żeby zmieniać swoje przyzwyczajenia.

- Nie chciałbyś spróbować kiedyś czegoś innego? - zapytała Mac. W końcu w życiu ważny jest też urok nowości.

- Nie. Moja musi być gorąca i mocna.

Czemu mówiąc to, wpatrywał się w Mac? Nagle go olśniło. To dlatego, że te dwa przymiotniki można było odnieść do niej.

Wolał o tym nie myśleć. Potrząsnął głową i skinął w stronę wejścia do pasażu.

- Chodźmy.

Pomyślała, że zaczyna lubić jego ramię, otaczające ją w tak opiekuńczy sposób. Szli obok siebie równym, zgranym krokiem. Właściwie nie powinna sobie zaprzętać myśli takimi głupstwami, ale jak to zrobić?

Skup się na przyczynie, dla której tu jesteśmy, nakazała sobie surowo.

Kiedy się odwróciła do Cade'a, żeby go o coś zapytać, odkryła, że ich twarze znajdują się krępująco blisko siebie, a usta jeszcze bliżej.

Pomyślała o obserwującym ich człowieku. Czy udało im się go oszukać? Może tak, skoro sama omal się nie nabrała na to przedstawienie.

- Co teraz zrobimy? - zapytała.

- Musimy się zachowywać naturalnie. Trzeba będzie przejść

przez wszystkie stadia stojące przed kochającą się parą, tęskniącą za dzieckiem.

- Przechodzili właśnie obok sklepu z ubrankami dla małych dzieci. Cade przystanął.

Czegoś takiego oczekiwał pewnie po nich śledzący ich detektyw. - Postójmy trochę

przed tą wystawą. W końcu niedługo będziemy mieli dla kogo kupować te wszystkie ciuszki.

Spojrzał na Mac. Łzy płynęły jej po policzkach. Kompletnie oszołomiony jej umiejętnością wczucia się w rolę, podał jej chusteczkę do nosa.

Udając, że ją pociesza, szepnął:

- Nie musisz aż tak udawać.

- Ja wcale nie udaję. - Mac wydmuchała nos. - Po prostu identyczne ubranko kupiłam dla Heather na Gwiazdkę. Dzień przed tym, zanim... zanim... - Odetchnęła głęboko i odwróciła wzrok. - Przepraszam, rzadko płaczę.

Na widok jej łez poczuł się bezradny, a tego uczucia nienawidził.

- Przykro mi, Mac. Pocieszę cię, że z całą pewnością zrobiłaś wrażenie na tym facecie, który nas śledzi. Założę się, że pójdzie teraz do swojego szefa i powie, że marzysz o dziecku do tego stopnia, że wybuchasz płaczem na widok każdego manekina w dziecięcym ubranku. - Nagle poczuł, że ma już dość tego spaceru. Powinien zabrać Mac w jakieś miejsce, gdzie mogłaby odpocząć i znowu być sobą. - Chodź, jedziemy do domu.

Chwycił ją za rękę i wolnym krokiem poszli w stronę samochodu.

- Strasznie mi głupio, że tak się rozkleiłam - odezwała się w końcu Mac.

- No to niech ci nie będzie głupio. - Sam czuł się skrępowany. - Przecież nigdy nie uważałem cię za robota.

- A za kogo?

- Za bardzo silną kobietę. - Rozejrzał się wokoło, a potem zerknął na Mac i zauważył, że jego słowa musiały sprawić jej przyjemność, bo lekko się zarumieniła. Tego się zresztą spodziewał. - Nawet bardzo silne kobiety mogą się czasem załamać. To całkiem ludzkie.

- A ty jesteś ekspertem w tych sprawach, tak? - Była mu wdzięczna za to, że rozładował napięcie.

Wiedział, że żartuje, mimo to odpowiedział z powagą:

- W pewnym sensie tak. Moja żona Elaine była bardzo silną kobietą. Zwłaszcza pod koniec - dodał cicho.

- Pod koniec? - zapytała Mac. Mówił o rozwodzie czy o czymś nieodwracalnym? Zacisnęła wargi i pomyślała, że nie wypada o to pytać.

- Zmarła na raka. - Nawet teraz słowa te wstrząsnęły nim do głębi. - Dowiedzieliśmy się o tym w czerwcu, a w sierpniu już nie żyła. Choroba gwałtownie zaatakowała jej ciało, ale nie zniszczyła ducha.

Jego głos był nabrzmiały bólem, choć pewnie starał się to ukryć. Mac poczuła się jak intruz, ale w głębi duszy cieszyła się, że dzielił się z nią tym bólem.

- Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

Cade wzruszył ramionami i rozejrzał się wokoło. Wydawało mu się, że gdzieś w pobliżu znajdował się supermarket.

- Nic się nie stało. Może po prostu powinienem mówić o niej częściej, zamiast dusić to w sobie.

W końcu dostrzegł znajomy budynek i zjechał na właściwe pasmo.

- To była fantastyczna kobieta - powiedział, a potem patrząc na Mac, dodał: - Tak jak ty.

Tego się nie spodziewała. Zamiast się obruszyć, ucieszyła się. Promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Dzięki.

Cade pokiwał głową.

- Nie mówmy o tym.

Przystanęli przy zatłoczonym parkingu.

- Po co tu przyjechaliśmy? - zapytała Mac.

- Żeby zrobić zakupy. Nie jesteśmy nowożeńcami, powinniśmy żywić się czymś bardziej konkretnym, a nie tylko miłością. Doktor Lambert też jest pewnie tego zdania. - Nie musiał nawet specjalnie się rozglądać, żeby dostrzec beżowy samochód, który zaparkował dwa rzędy dalej.

Miałem nosa, pogratulował sobie w duchu, kiedy weszli do supermarketu i wzięli wózek.

Nigdy by się nie spodziewał, że nagle powrócą wspomnienia, ale tak się stało. Kiedy szli z Mac wzdłuż długich rzędów regałów, pchając wózek, doznawał mieszanych uczuć. Przypomniały mu się piątkowe wieczory, kiedy spotykali się z

Elaine po pracy i robili zakupy na cały tydzień, a potem pędzili do domu, żeby w ciągu dwóch dni zrekompensować sobie całotygodniową rozłąkę. I kochać się przez cały weekend.

Kiedy na świecie pojawił się Darin, Elaine rzuciła pracę, ale rytm ich życia pozostał mniej więcej taki sam. Wtedy także każdego piątku wybierali się do supermarketu na zakupy.

Mac zauważyła wyraz jego twarzy.

- Coś się stało?

Potrzebował kilku minut, żeby zapanować nad bólem. Potem potrząsnął głową.

- Nie, tylko coś mi się przypomniało.

Dyskretnie zerknęła przez ramię, ale miała wrażenie, że nie chodziło mu o detektywa. Dawno już wyszli ze sklepu, a ona wciąż nie mogła zapomnieć wyrazu twarzy Cade'a.

- Co ci się stało tam, w sklepie? - zapytała, kiedy wnosili torby z zakupami do mieszkania. Czowała, że nie powinna drążyć tego tematu, ale wciąż miała przed oczami jego poszarzałą twarz.

Cade bez słowa otworzył drzwi i wniósł zakupy do kuchni. Potem przyszło mu do głowy, że mógłby wymyślić coś stosownego, a w końcu uchwycił się tego, co powiedział w supermarkecie.

- Nic, nic. Coś mi się przypomniało.

Rozpakowując torby, Mac pomyślała, że Cade wzniosł wokół siebie mur. W zasadzie nie powinno jej to obchodzić. Chociaż... więc, jaka się zaczęła między nimi wytwarzać, nie była tak czysto profesjonalna, jak powinna...

A może była zbyt profesjonalna, i to ją niepokoiło? Chowając zakupy do spiżarni, pomyślała, że wbrew temu, co usiłowała sobie wmówić, ten mężczyzna zaczyna ją naprawdę interesować.

Może to tylko ta jej nieszczęsna skłonność, żeby się wszystkimi opiekować - zobaczyła w nim człowieka, który rozpaczliwie kogoś potrzebuje. A może po raz pierwszy w życiu to jej ktoś stał się potrzebny?

Na samą myśl o tym poczuła się nieswojo. Wychodząc ze spiżarni, omal nie zderzyła się Cade'em. W każdej ręce trzymał po puszcze kawy.

- Aż dwie? - Przecież nie zamierzali zostawać tu tak długo, żeby trzeba było kupować aż dwie puszki kawy, choćby Cade pił kawę czarną i gęstą jak smoła.

Cade wzruszył ramionami.

- Była promocja.

- Po raz pierwszy w życiu widzę mężczyznę, który kupuje na promocjach! - Mac roześmiała się. - Może masz teraz ochotę o tym porozmawiać?

- O czym? - Cade ustawił puszki na półce. - O kupnie dwóch puszek kawy?

- Nie, o tym, co ci się przypomniało w sklepie.

- Raczej nie - odparł tonem, który sugerował, żeby dała mu święty spokój.

Ona jednak się nie zniechęciła. Obrała inną metodę postępowania. Położyła torbę z jabłkami na stole i powiedziała:

- A może jednak powinienes.

- Czemu tak uważasz?

- To oczywiste, że przypomniałeś sobie coś w związku ze swoją żoną, a wspomniałeś mi kiedyś, że mówiąc o niej, masz wrażenie, jakbyś ją znowu powoływał do życia. Może powinienes to robić od czasu do czasu. - Mroczne spojrzenie, jakie jej rzucił, lekko ją zdeprymowało. Mimo to, nie zrażona, nie przestawała nalegać, przekonana, że ma rację. - Powinienes przeanalizować swoje uczucia. To ci pomoże.

Ostatnią rzeczą, na jaką Cade miał ochotę, był teraz wykład z amatorskiej psychologii.

- Ja nie muszę analizować swoich uczuć. Ja je doskonale znam. Kochałem Elaine, a teraz jej nie ma. Muszę sam iść przez życie, szukając naszego syna. - Nie zdawał sobie sprawy z tego, że podnosi głos, póki nie skończył.

Mac głośno westchnęła.

- Rozumiem. To znaczy, że mam pamiętać, gdzie moje miejsce.

Nie chciał być dla niej niemiły. Zdawało mu się, że potrafi lepiej panować nad sobą. Tyle tylko, że ostatnią dobę spędził w straszliwym napięciu.

Wyjął pudełko puree w proszku i starannie złożył pustą torbę.

- Przepraszam, wcale nie chciałem na ciebie krzyczeć.

- Nie krzyczałeś. - Wyjęła mu z rąk torbę i automatycznie włożyła ją do szuflady, tak jak to robiła u siebie w domu. - To mój ojciec zawsze krzyczy, ty starałeś

się tylko przedstawić mi jasno swoje stanowisko. Poza tym próbowałeś umieścić przed sobą znak „wstęp wzbroniony”. To ja powinnam cię przeprosić. Przekroczyłam pewne granice.

Wcale nie chciał, żeby go przeproszała. Wiedział, czym wobec niej zawinił. Wiedział też dlaczego.

Położył jej dłonie na ramionach, żeby zatrzymać ją na chwilę. Byłoby oczywiście łatwiej rozmawiać z nią na odległość, ale on nigdy nie był zwolennikiem łatwiejszych rozwiązań.

- Posłuchaj, ciężko mi o tym mówić, ale kiedy jestem z tobą, mam czasami wrażenie, jakbym był z Elaine. To znaczy jest inaczej, ale zarazem podobnie. Nie wiem dlaczego... - Spojrzał jej w twarz, jakby chciał sprawdzić, czy go rozumie. - Czy to w ogóle ma sens?

- Mogłoby... - wytrzymała jego spojrzenie - ...o ile moje przypuszczenia są słuszne.

Już i tak posunął się za daleko. Puścił Mac.

- Może lepiej zostawmy to nie dopowiedziane.

- Boisz się, Cade? - zapytała z uśmiechem.

Strach nie jest czymś, czego należałoby się wstydzić. Przecież to właśnie strach utrzymuje człowieka przy życiu i pozwala rozegrać batalię o kolejny, lepszy dzień.

- Tak, może i tak.

- A czego się boisz?

Nie byłby sobą, gdyby szukał wykrętów.

- Ciebie. Tego, co do ciebie czuję. A może jakichkolwiek uczuć.

- Dlaczego?

Czemu nie potrafił się skupić na tym, po co go wezwano? Skoncentrować na pracy, tak jak zawsze mu się dotąd udawało? Mac zasiała w jego myślach zamęt, a przecież nie robiła nic w tym kierunku.

- Uczucia nie są selektywne. Przychodzą bez wyboru. Zarówno te miłe, jak i te bolesne.

- Niektórzy ludzie mogliby powiedzieć, że taka jest uczciwa cena.

W cenie, jaką przyszło mu zapłacić, nie było nic uczciwego.

- Ci ludzie nie utracili tyle co ja.

Odwaga była czymś, na czym Mac nigdy dotąd nie zbywało.

Aż do dziś. Uczepiła się teraz jej resztek i pełna obaw, brnęła przed siebie, skoro już zaszła tak daleko.

- Niektórzy ludzie mogliby powiedzieć, że dużo straciłeś, ale miałeś przynajmniej dużo do stracenia.

Co próbowała dać mu do zrozumienia? Coś, co jeszcze bardziej zmniejszy dzielący ich dystans?

- Nigdy nikogo nie kochałaś?

Chciała odwrócić wzrok, ale jej się to nie udało.

- Moją rodzinę.

- Ale nigdy...?

- Powiedziałam nie, prawda? - Nagle zdała sobie sprawę, że teraz to ona zachowuje się defensywnie i, co gorsza, nie może nic na to poradzić. - W moim życiu nigdy nie było tego kogoś szczególnego. Mężczyzny, który potrafiłby sprawić, że szybciej zabiłoby mi serce, że zabrakłoby mi tchu, że zakręciłoby mi się w głowie... - Urwała, ponieważ w tym momencie uświadomiła sobie, że to się zmieniło za sprawą Cade'a. On stał się dla niej tym kimś. Tylko że nigdy w życiu by się do tego głośno nie przyznała. Zwłaszcza jemu. Tym bardziej że pewnie i tak czytał to w jej oczach.

Odwróciła się i podeszła do stołu, na którym leżały pozostałe zakupy.

- Ojej, lody się topią.

- Przecież nie kupowaliśmy lodów. - Mówiąc to, wcale nie był tego pewien. Po tym, jak przypomniały mu się zakupy z Elaine, niczego już nie był pewien.

- Owszem, kupowaliśmy. - Mac wyjęła pudełko i schowała je do zamrażalnika.

- To znaczy ja je kupiłam po cichu, kiedy nie patrzyłeś.

Poczuła na sobie jego wzrok. Odwróciła się, czując, że znowu opuszcza ją pewność siebie. Przesunęła językiem po spierzchniętych wargach.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Tak.

- A co?

Ku swemu zdumieniu Cade usłyszał swój własny głos, mówiący słowa, których wcale nie zamierzał głośno wypowiedzieć:

- Spraw, żebym zapomniał wszystko, co właśnie powiedziałem.

Mac usłyszała głośne bicie własnego serca.

- Nie wiem, czy potrafię.

- Myślę, że tym razem nie doceniasz swoich możliwości, McKaylo - rzekł, biorąc ją w ramiona.

ROZDZIAŁ 11

Nawet jeżeli Mac nie doceniała samej siebie, to tym bardziej wrażenia, jakie wywarł na niej Cade.

Od momentu, w którym dobrowolnie przekroczyła granice bezpiecznej strefy, jaką sama sobie wyznaczyła, poczuła, że jest kompletnie zagubiona. A odnalazła się z chwilą, gdy jego usta dotknęły jej warg. Odnalazła się, ale nie była już sobą.

Zmienił się cały jej świat.

Dotąd wszystko w nim było takie uporządkowane, tak starannie zaplanowane, nawet pośród otaczającego ją chaosu. Teraz ten jej pedantyczny świat rozsypał się na tysiące kawałków.

To Cade sprawił, że krew zaczęła żywiej krążyć w jej żyłach. To on obudził w jej duszy tony, których istnienia się domyślała, ale dotąd ich nie słyszała.

Najpierw powoli, a potem z coraz większym uczuciem usta Cade'a brały w posiadanie wargi Mac i prowadziły ją prosto do raju.

Czuła, jak jej ciało zaczyna reagować na jego bliskość. Na budzącą się namiętność, która była im przeznaczona już od pierwszej chwili, kiedy na siebie spojrzeli.

Była taka delikatna, taka krucha w zetknięciu z jego muskularnym ciałem. Cade zaczął się obawiać, że jeśli nie będzie ostrożny, może jej zrobić krzywdę. Pewnie byłaby zadowolona, gdyby o tym wiedziała. Pędziła przez życie jak huragan, a przecież to tylko jedna strona jej złożonej osobowości.

Pragnął jej tak bardzo, że najchętniej byłby ją natychmiast porwał na ręce, zaniósł do sypialni i rzucił na łóżko, a tam kochałby się z nią tak, jak by mu się podobało.

Z każdym pocałunkiem coraz bardziej tracił nad sobą panowanie, coraz głębiej zapadał się w płomienną czeluść, która lada chwila mogła pochłonąć ich oboje.

Czując bicie własnego serca, przesunął dłonie wzdłuż jej zgrabnego, smukłego ciała. Wciąż nie mógł uwierzyć, że to prawda, a nie sen, który nawiedził go pośrodku nocy, by mu przypomnieć, że miał kiedyś męskie pragnienia i potrzeby.

Męskie pragnienia.

Pragnienia. I potrzeby.

Pragnął Mac. Była mu potrzebna.

Nagle uderzyła go ta myśl, choć nie do końca uświadamiał sobie jej sens i konsekwencje. Przez długi czas nikt nie był mu potrzebny, po prostu nie pozwolił sobie na ten luksus.

Jeśli ktoś staje się niezbędny, człowiek robi się wrażliwy, podatny na ból, bezbronny. Tak łatwo go wtedy zranić.

A jednak...

Później do tego wróci, kiedy będzie już w stanie myśleć. Gdy zaczną go dręczyć wyrzuty sumienia, kiedy znowu poczuje na swoich barkach ciężar odpowiedzialności. Jeszcze nie teraz.

Teraz jest czas na miłość.

Usłyszał, jak Mac głośno jęknęła, kiedy mocniej ją do siebie przyciągnął. Ich ciała tak doskonale do siebie pasowały, jakby były dla siebie stworzone.

Ta kobieta też musiała zostać stworzona tylko dla niego.

Mac całkowicie mu się poddała. Dała się porwać uczuciom, które w niej budził, a które rozpaczliwie domagały się spełnienia. Urzeczywistnienia. Ucieleśnienia.

Miała ochotę błagać go, żeby nie przestawał.

Błagać o więcej.

Czuła, jak całe jej ciało wibruje w rozkosznym oczekiwaniu, przy każdym ruchu rąk Cade'a, przy każdym pocałunku. Jak przez mgłę docierało do niej, że ją

rozbiera, ale nie szybko i brutalnie, czego można by się spodziewać po roznamiętnionym mężczyźnie, tylko powoli i delikatnie.

Najpierw zdjął z niej bluzkę, potem spódnicę, potem staniczek, który zsunął jej z ramion z dręczącą powolnością. Tak by jak najbardziej pobudzić ich oboje.

Kiedy usłyszała cichy odgłos rozpinanej klamerki na plecach, drżała jak napięta struna i brakowało jej tchu.

Nigdy przedtem nie przeżywała czegoś takiego. I nigdy już nie przeżyje. To przeświadczenie napełniało ją smutkiem, a zarazem słodyczą - uczuciem, które byłoby ponad jej siły, gdyby nie to, że natychmiast o nim zapomniała.

Cade dotykem rąk i ust rozwiewał wszystkie jej wątpliwości, kruszył wszelkie opory.

Zarzuciła mu ręce na szyję i obsypała go gorączkowymi pocałunkami. Uświadomiła sobie, że stoi przed nim niemal naga, a on wciąż jeszcze jest ubrany. Jak to możliwe? Zaczęła rozpinąć mu koszulę, a palce miała jak z drewna.

Guziki nie chciały jej słuchać, tylko z uporem tkwiły w dziurkach. Poczula nieprzepartą chęć, by jednym szarpnięciem zerwać z niego tę oporną koszulę.

- Co za uparte guziki - powiedziała oskarżycielskim tonem.

Była tak rozkosznie zmieszana. Cade cicho się roześmiał, próbując powściągnąć własną niecierpliwość. Mógłby jej pomóc, ale wołał czuć na sobie dotyk jej palców, kiedy sama próbowała go rozebrać.

- Jeszcze chwila i chyba jej poobrywam - mruknęła.

Od początku wiedział, że będzie właśnie taka - szybka i gorąca jak płomień. Przeczynał, że pod tą dystygowaną powierzchownością kryje się namiętna, żywiołowa kobieta.

Nagle poczuł, że cały płonie i że nie ma już odwrotu. Nie ma ratunku. Jest zgubiony.

Pragnął jej.

Od lat nie przeżywał takich emocji. Od lat nie patrzył w ten sposób na żadną kobietę. Po śmierci Elaine i utracie Darina coś się w nim wypaliło, pozostawiając pustkę w sercu. Do dziś był pewny, że pustki tej nie da się niczym zapełnić. Z góry założył sobie, że świat uczuć jest dla niego raz na zawsze zamknięty.

Jak mógł się aż tak pomylić?

Zanurzył palce w jej splecione włosy i zniżył usta do jej warg, jakby chciał je wchłonąć. Był zaskoczony siłą własnego pożądania. Czy możliwe, że to w ogóle on? I co za cudowne uczucie móc znów tak się zatracić. Starannie pielęgnowany wizerunek samego siebie rozsypał się na kawałki i żaden z nich już do siebie nie pasował. Nie potrafił poskładać z nich sensownej całości.

Im bardziej zbliżał się do McKayli, tym bardziej oddalał się od człowieka, za jakiego się dotąd uważał. Spokojnego, opanowanego, racjonalnego. Takiego, który nie kieruje się uczuciami, tylko rozsądkiem i logiką. A w tym, co się teraz działo, nie było ani krzty logiki. Nie było w tym za grosz sensu, za grosz rozumu. Jednym słowem - czysty bezsens.

Czy to ma jakieś znaczenie?

Nic nie ma znaczenia, póki może być z McKaylą i przeżywać to, co przeżywa. Póki może cieszyć się jej ciałem, spijać nektar z jej ust i wielbić ją wszystkimi zmysłami.

Ostatnie części ich garderoby opadły na lśniącą, świeżo położoną kuchenną posadzkę, tworząc splecione węzeł, w jaki wkrótce połączą się ich ciała.

Obejmując się ramionami, z ustami przy ustach, w niemym porozumieniu osunęli się na podłogę. Cade usłyszał własny jęk, kiedy ręce Mac wędrowały po jego nagiej skórze, drażniąc ją, muskając, badając. I biorąc w posiadanie każdy jej milimetr.

Biorąc w posiadanie!

Kiedy to sobie uświadomił, doznał wstrząsu. Powinien uciekać, póki nie jest za późno.

Rzecz w tym, że już nie potrafił.

Chciał już tylko jednego - zostać z Mac, pozwolić, by zadawała mu te słodkie tortury.

Delikatnie wgryzł się zębami w pełną wargę McKayli. A potem zaczął ją ssać. Poczula rozkoszne dreszcze, biegnące wzdłuż całego ciała aż po jego najdalsze krańce.

Odpowiedziała pocałunkiem na jego pocałunek i mocniej go objęła.

Cade chwycił ją w talii i ostrożnie odwrócił na plecy, przyciskając do ziemi. Jego usta zaczęły powolną wędrówkę po jej aksamitnej skórze, drażniąc ją, rozgrzewając i pokrywając mgiełką gorącego oddechu. Kiedy wreszcie dotarły do punktu przeznaczenia, Mac drżała jak liść.

Szybkimi, zdecydowanymi ruchami jego język wdarł się pomiędzy jej uda.

W odpowiedzi wygięła się w łuk i otworzyła szeroko oczy, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz spazmatycznej rozkoszy.

Chwyciła w płuca haust powietrza, a jej palce zaczęły błędzić po omacku, szukając Cade'a. Chciała go pociągnąć za sobą w ten potężny wir, póki jeszcze starczyło jej sił.

Ale Cade nie dał się wciągnąć w otchłań. Wolał patrzeć na nią i obserwować jej reakcję.

Reakcję na jego pieszczoty. Na niego samego.

Nie czuł się jednak jak zdobywca, ale raczej sługa kobiety, której dawał tak wielką rozkosz. Stał się niewolnikiem pragnień - jej i swoich.

Czując, że nie jest już w stanie dłużej nad sobą panować, położył się na Mac, zagarniając ją pod siebie.

Zanim w nią wszedł, zanim ich ciała połączyły się w niemej obietnicy i cichym poddaniu, spojrzał jej w oczy.

Usłyszał jej cichy jęk, przejął go ustami i jednocześnie jego ciało napotkało dziwny opór. Zamarł ze zdumienia. Gdyby to zależało od niego, pewnie by się wycofał.

Nie był już panem samego siebie. McKayla chwyciła go za ramiona i przyciągnęła, wyginając grzbiet tak, że jej biodra złączyły się z jego biodrami. Z cichym westchnieniem, które zmieniło się w stłumiony pomruk, oplótła go udami i wprowadziła w siebie.

Nie miał wyboru.

Cel był zbyt bliski i zbyt słodki, a kiedy go osiągnął, poczuł, że rozkosz tej chwili stała się także udziałem Mac.

Wyczerpany, opadł na nią w euforii, która nagle zaczęła go opuszczać w błyskawicznym tempie. Wciąż jeszcze leżał na Mac, zbyt wyczerpany, żeby się

poruszyć, czując, jak jej serce głucho łomocze pod jego sercem, a już dopadły go wyrzuty sumienia.

Jak mógł do tego dopuścić?

Uniósł się na łokciach i lekko cofnął, nie spuszczać oczu z Mac. Objął dłońmi jej twarz i szukał w oczach oskarżenia.

Tymczasem pierwsze, co zobaczył, to jej usta, wciąż jeszcze nabrzmiałe od jego pocałunków.

A niech ją... Kto by to powiedział...?

Z drugiej strony, skąd mógł wiedzieć? Przecież dawno skończyła osiemnaście lat. Ba, nawet dwadzieścia pięć...

Zmieszanie Cade'a było wyjątkowo wymowne. Mac powoli zaczęła się czegoś domyślać.

- O co chodzi?

- Czemu mi nie powiedziałaś? Serce zamarło jej w piersi.

- Czego ci nie powiedziałam?

- Nie udawaj, że nie rozumiesz, McKaylo. - Usiadł i zaczął świdrować ją wzrokiem. - Przecież nie jesteś głupia, więc nie udawaj. Czemu mi nie powiedziałaś, że jesteś... że jeszcze nigdy...

Patrząc na jego posępną twarz, próbowała zachować godność, powstrzymać łzy, które zaczęły nabrzmiewać pod powiekami.

- Czego ci nie powiedziałam? - powtórzyła z gniewem. - Że nigdy nie spotkałam mężczyzny, z którym chciałabym zostać na dłużej? Przecież ci mówiłam!

Potrząsając głową i przeklinając się w duchu, desperackim gestem przecesał włosy. Co on najlepszego uczynił? Zrobił coś, co jest już nieodwracalne. Była dziewczicą, a on posiadał ją, jakby był nienasyconą bestią. Okradł ją z tego pierwszego razu i nigdy nie zdoła jej tego wynagrodzić.

- Nie, powiedziałaś tylko, że nigdy nikogo nie kochałaś.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Myślałaś, że sypiam z każdym mężczyzną, który mi się nawinie pod rękę?

- Nie, ale... w dzisiejszych czasach, no wiesz... - zaplątał się.

Mac nagle zrozumiała, o co mu chodziło. Z godnością pozbierała swoje ubrania, wstała i spojrzała na niego lodowatym wzrokiem.

- Nie przejmuj się, Cade. Nie musisz się czuć w żaden sposób zobowiązany.

- Zobowiązany? - Zapominając, że jest nagi, zerwał się na równe nogi. - Czyś ty zwariowała, McKaylo! Ja mam wyrzuty sumienia. Czuję się winny.

- Winny? Dlaczego? - zapytała ze wzburzeniem.

Cade mówił zupełnie bez sensu, a przy tym tak strasznie ją podniecał. Nie mogła wręcz oderwać wzroku od jego nagiego ciała, które miała tuż przed oczami. - Za to, że sprawiłeś mi przyjemność? Za to, że ziemia zadrżała mi pod stopami, a cały świat zmienił się w ognistą kulę?

Zrozumiał, że próbuje odwrócić fakty i chce mu udzielić rozgrzeszenia. Nie potrafił tak łatwo sam siebie rozgrzeszyć.

- Nie domyśliłem się, że jestem pierwszy. Mac wyzywająco uniosła podbródek.

- A gdybyś o tym wiedział? Czy to by cię powstrzymało?

Prawdę mówiąc, nie potrafił tego powiedzieć. Wolałby oczywiście myśleć, że zdołałby nad sobą zapanować, że znalazłby w sobie dość przyzwoitości, by jej nie tknąć, ale niestety, nie był tego pewny.

Zacisnął usta, szukając w swoim sercu odpowiedzi - i nie mógł jej znaleźć.

- Może.

- Kłamczuch! Wiem, że mnie pragnąłeś. - W jej oczach mignął cień uśmiechu. - Miałeś to wypisane na twarzy, tak samo jak teraz.

A niech ją, to prawda. Pragnął jej i nadal jej pragnie. To jednak nic nie zmieni i nie pomniejszy jego winy.

- Pragnienie nie ma z tym nic wspólnego. Czy ten facet nie rozumie, że się myli?

- Ależ oczywiście, że ma - powiedziała Mac łagodnym głosem. - Nie trzeba o tym za dużo myśleć, Cade. Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań. Może tylko powinieś być na tyle rycerski, żeby pozwolić mi cieszyć się tym jeszcze przez kilka chwil, zamiast od razu przystępować do ataku.

Nie, to ona nic nie rozumie.

- Wcale cię nie atakowałem - powiedział.

- Tak to przynajmniej wyglądało z mojego punktu widzenia - odparła z wyrzutem.

Mimowolnie wyciągnął ku niej rękę, nie wiedząc do końca, czy chce nią potrząsnąć, czy ją objąć. A może i jedno, i drugie.

- Mylisz się. Ja atakowałem sam siebie. Nie powinienem był ci tego robić.

- Nie powinieneś był mi tego robić? - Nawet gdyby chciał, nie mógłby powiedzieć niczego, co by ją bardziej oburzyło. Odtrąciła jego rękę. - Mój drogi panie, wydawało mi się, że weszliśmy w to razem. Że „robiliśmy to” sobie nawzajem.

Mierzyła go wzrokiem przez zmrużone powieki i czekała na przykrą prawdę. W jej pojęciu był tylko jeden powód, dla którego mógł żałować tego, co się stało.

- Czy byłam w tym aż taka beznadziejna?

Cade osłupiał. Jak mogła nawet pomyśleć coś takiego!

- Nie, skąd! Byłaś wspaniała. - W głowie miał kompletny mętlik. Ostatkiem sił spróbował się skoncentrować. - Mimo to nie powinienem był...

- Czego nie powinieneś był robić? Nie powinieneś był dawać mi szczęścia? Sprawiać, że poczułam się tak cudownie jak nigdy w życiu? - Niemal wykrzyczała mu te słowa w twarz.

- Niestety, już za późno. - Zebrała ubranie, a potem odwróciła się i ruszyła do swojego pokoju. - Jak już mówiłam, nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań.

- McKaylo!

Zamrugła oczami, bojąc się, że łyż lada moment potoczą jej się po policzkach.

- Idź sobie!

- Przepraszam.

Na dźwięk tego słowa przystanęła. Cade dogonił ją, objął i odwrócił ku sobie. Uniosła dumnie głowę.

- Powiedziałaś ci, żebyś dał mi spokój.

Cade odebrał jej po kolei wszystkie części garderoby, które tuliła do piersi, i rzucił je na podłogę.

- Ani myślę, Kochaj się ze mną. Mac westchnęła ostentacyjnie.

- No cóż, jak trzeba, to trzeba.

Kiedy brał ją w objęcia, zarzuciła mu ręce na szyję. Dokąd ich to wszystko zaprowadzi?

- To przykry obowiązek, ale rozumiem, że ktoś musi to zrobić - stwierdziła.

Cade nachylił się ku jej ustom.

- Zawsze podziwiałem twój altruizm.

Przymknęła oczy w oczekiwaniu na nową, tym razem już znajomą rozkosz. Wiedziała, czego może się spodziewać, i nie mogła się już tego doczekać.

- Skoro tak uważasz.

ROZDZIAŁ 12

Mówię ci, że nic z tego nie będzie - przekonywał Cade.

Jeszcze długo po tym, jak euforia ich pierwszej miłosnej nocy zamieniła się w łagodne oszołomienie, Cade zmagał się z wewnętrznym nakazem, żeby być w stosunku do niej uczciwym.

Przez całe życie starał się nie dopuszczać do tego, żeby jakiegokolwiek sprawy pozostały nie rozwiązane czy nie dopowiedziane do końca - zwłaszcza jeżeli zależało to od niego.

Delikatnie pocałował Mac w czoło, wciąż obejmując ją i tuląc do siebie, podczas gdy aura na wpełn przerwanego snu unosiła się wokół nich jak tiulowa firanka. Serce przepęłniało mu uczucie błęgiego smutku.

- Nic z tego nie będzie? - zapytała Mac, unosząc się na łokciu, żeby na niego spojrzeć.

Jej długie, splątane włosy kuszącą kasztanową falą opadały na piersi. Uległ na moment pokusie i przeczesał palcami jedwabiste pasma, muskając przy tym gładki, zaróżowiony od snu policzek.

Uśmiechnął się, patrząc jej w oczy.

Szkoda, że sprawy ułożyły się tak, a nie inaczej. Widocznie tak było im pisane. Musiał o tym pamiętać, chociaż już sam widok Mac wystarczał, żeby serce zaczęło mu głucho bić w piersi.

- To nie powinno się było w ogóle wydarzyć.

Mac poczuła się, jakby ktoś oblał ją zimną wodą. Zrobiło jej się przykro.

- Już zaczynasz mieć wyrzuty sumienia? Zdawało mi się, że to raczej ja powinnam je mieć, a nie ty. - Jak znokautowany zawodnik, który podrywa się, by dalej walczyć, Mac dumnie uniosła głowę i rzuciła mu wyzwanie. - A może to zbyt staroświeckie?

Chciał znów dotknąć jej policzka i nie potrafił się powstrzymać, chociaż wiedział, że nie powinien tego robić. Choćby dlatego, żeby zachować trzeźwy umysł.

- Mam sobie do zarzucenia jedynie to, że będę musiał sprawić ci ból.

Coś jakby w niej zmiękło. Opuściła wyimaginowane rękawice bokserskie.

Uwierzyła mu.

- Epoki ci się pomieszały. Cade cicho się roześmiał.

- Nie tylko epoki. - Przygarnął ją do siebie, chociaż rozsądek podpowiadał mu, że powinien się odsunąć. Czuł miękkie, gładkie ciało, tulące się do jego piersi.

Uczucie to rozgrzewało go na setki sposobów, jakich dawno nie doświadczał. -

McKaylo, wiesz o tym, że siłą napędową mojego życia jest obowiązek odnalezienia syna.

W jej oczach ukazało się zrozumienie. Skinęła głową.

- Wiem.

Był pewny, że choć go usłyszała, nadal go nie rozumie.

- Aż do wczoraj nic innego nie liczyło się w moim życiu.

Mac przycichła. Dlaczego słowa te miały dla niej tak wielkie znaczenie?

Przecież spędzili ze sobą mało czasu. Mimo to wydało jej się, że wszystko będzie zależało od jego odpowiedzi.

- A teraz? - zapytała.

- Teraz też nic się nie zmieni - odparł, patrząc jej wymownie w oczy. - Nie może być inaczej. To nie byłoby fair, gdybym cię wciągnął w moje sprawy, a potem kazał ci stać z boku...

Nie miała zamiaru stać z boku. Nie przywykła do tego. Chciała mu pomóc, tak jak on jej pomagał. Oboje wiedzieli też, że ta dramatyczna sytuacja nie będzie trwać wiecznie. Świadomość tego dodawała jej siły i odwagi.

Musnęła ustami jego wargi.

- Czemu to ja nie mogę zdecydować, co jest fair? Cade potrząsnął głową.

- Jeżeli zdam się na ciebie, nie będę mógł już o niczym decydować.

Potraktowała to jako komplement i uśmiechnęła się. Mogłaby się oczywiście do tego przyzwyczaić, ale ryzyko, jakie się z tym wiązało, było zbyt wielkie.

- Przecież ja cię nie proszę o to, byś pozwolił mi zająć pierwsze miejsce w twoim życiu, Cade. W ogóle o nic cię nie proszę, może poza odrobiną czasu. - Znowu go pocałowała. - Co ty na to?

Żadnych wymagań, żadnych wyrzutów. Co za idealna sytuacja. Cade uśmiechnął się leniwie.

- Masz wielką siłę przekonywania.

Z żartobliwym błyskiem w oku Mac dumnie uniosła głowę.

- W szkolnym kółku dyskusyjnym byłam najlepsza. Cade pocałował ją w ramię.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedział ze śmiechem.

Uświadomił sobie, że nic w tej kobiecie nie jest w stanie go zadziwić. Uważał ją za osobę samodzielną i nowoczesną, a jednak okazała się dziewczicą. Dała mu jasno do zrozumienia, że przywykła rządzić, a zarazem godziła się na to, by pewne sprawy między nimi pozostały w stanie zawieszenia.

Zaskakiwała go pod każdym względem.

Wyciągnął ręce, pragnąc raz jeszcze dać rozkosz jej i sobie, póki ich sen się nie prześni.

Ostry dźwięk telefonu podziałał na nich jak zimny prysznic. W jednej sekundzie otrzeźwiali. Miłość zeszła na dalszy plan.

Mac przekręciła się na drugą stronę łóżka i pierwsza chwyciła słuchawkę. Serce waliło jej jak młotem, kiedy zdyszonym głosem powiedziała:

- Halo?

- Pani Sinclair? - W słuchawce zabrzmiał ciepły, głęboki baryton doktora Lamberta.

Trzymając obu rękami słuchawkę, usiadła na brzegu łóżka.

- Tak. - Spojrzała na Cade'a i potakująco skinęła głową.

- Tu doktor Lambert - całkiem niepotrzebnie dodał jej rozmówca. - Wydaje mi się, że mam dla państwa dobrą wiadomość.

- Tak? - Nie musiała udawać drżenia w głosie. Naprawdę była na granicy hysterii.

- Mój adwokat, Phillip Taylor, zawiadomił mnie przed chwilą, że dysponuje wolnym wieczorem, więc jeśli państwo nadal chcą...

Mac, przeczuwając, że Lambert spodziewa się teraz objawów głębokiego wzruszenia, nie sprawiła mu zawodu.

- Tak - wyszeptwała, kładąc uspokajającym gestem dłoń na rękę Cade'a, który niecierpliwie szarpał ją za ramię. Nie śmiała nawet na niego spojrzeć. - Ależ oczywiście, że chcemy się spotkać z panem, panie doktorze. I z panem Taylorem. Gdzie pan sobie życzy. O każdej porze dnia i nocy. Nie ma pan pojęcia, jak długo czekaliśmy na tę chwilę... - Mac zachłysnęła się, jakby z wrażenia zabrakło jej tchu.

- Wiem, moja droga, wiem - gorąco zapewnił ją Lambert.

- Doskonale panią rozumiem. Niech mi pani wierzy, może nie będą państwo musieli już długo czekać.

Powiedział „może”, pomyślała. Ten człowiek był rzeczywiście bardzo ostrożny.

- Niech pan tylko powie gdzie i kiedy.

Na początek Lambert podał jej nazwę restauracji. Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś do pisania.

- Chwileczkę... Kiedy człowiek potrzebuje czegoś do pisania, jak na złość nie ma niczego pod ręką. - Szarpnęła szufladkę nocnego stolika i ku swemu zdumieniu natrafiła na plik karteczek i długopis. Widocznie określenie „w pełni wyposażony apartament” odnosiło się nawet do najdrobniejszych szczegółów. - Mam! - Zaczęła szybko notować. - Błękitna Przepiórka, ósma wieczorem. - Czowała, że Cade zagląda jej przez ramię.

- Rezerwacja będzie na pańskie nazwisko?

- Nie, moja droga - oświadczył Lambert. - Na pani.

Słyszając to, Mac poczuła się dziwnie nieswojo. Mimo to radosnym tonem powiedziała:

- Cudownie! - Odłożyła pióro. - Przecież to w gruncie rzeczy nieważne, na czyje nazwisko ma być rezerwacja. No to do zobaczenia, panie doktorze.

- Do zobaczenia - powiedział Lambert i się wyłączył.

A jednak musiało to mieć jakieś znaczenie, doszła do wniosku, odkładając słuchawkę. Dlaczego Lambertowi zależało na tym, żeby rezerwacja nie była na jego nazwisko?

Cade spojrzął na zegarek. Dochodziła ósma rano. Albo doktor był rannym ptaszkiem, albo tak mu się spieszyło, żeby ubić nowy interes. Cade podejrzewał, że raczej to drugie.

- No i co? - Spojrzął niecierpliwie na Mac. - Chce się z nami spotkać dziś wieczorem?

Mac pokiwała głową.

- Rezerwacja ma być na nasze nazwisko. To dość dziwne.

- On uważa, że im mniej śladów po sobie zostawi, tym lepiej. Tacy ludzie jak Lambert nie lubią ryzykować. Sprzątają i przed sobą, i po sobie.

Mac naciągnęła koc, żeby się okryć, i spojrzała na Cade'a.

- Miałeś już wcześniej do czynienia z ludźmi pokroju Lamberta?

- Chodzi ci o ludzi, którzy prowadzili nielegalne interesy? Mac skinęła głową.

- Nie, nie na taką skalę, ale ten typ jest mi znany. To szakał żerujący na ludzkich uczuciach.

- A przecież sprawia takie dobre wrażenie... - Mac potrząsnęła głową. Ciekawe, ile niczego nie podejrzewających osób oszukał? Ilu ludziom zdoła jeszcze zniszczyć życie, zanim to wszystko się skończy?

- To tylko kamuflaż - zapewnił ją Cade.

Umysł Mac pracował już nad kolejnym problemem.

- W jaki sposób mamy znać Redhawkowi?

Dlaczego wyglądała tak ponętnie? Co się z nim działo? Czy już naprawdę nie potrafi skupić się na niczym innym?

- Pójdziemy kupić butelkę szampana, żeby uczcić ewentualne powiększenie się naszej rodziny. Kiedy ja będę płacił przy kasie i - mam nadzieję - skupiał na sobie

uwagę tego wynajętego fagasa, ty pójdziesz do najbliższej damskiej toalety oraz do telefonu.

- Całkiem niezły plan! - Mac już wyskakiwała z łóżka, gotowa się ubierać.

- Tak, ale możemy zaczynać dopiero za dwie godziny. - Cade złapał ją za rękę, zanim zdążyła zbyt daleko odejść.

- Dlaczego? - Odwróciła się i spojrzała na Cade'a. - Co to za nowy pomysł?

- To proste. Sklepy alkoholowe otwierają dopiero o dziesiątej.

Mac pokiwała głową. Rzeczywiście, nie pomyślała o tym. Zostało im jeszcze trochę czasu, z którym nie wiadomo co robić. A ona nie znosiła bezczynności.

- Masz ochotę na śniadanie?

- Nie, tylko nie śniadanie. - Szybko wskoczył z powrotem do łóżka i dodał: - Chodź, to ci pokażę, na co mam teraz największą ochotę.

Po paru godzinach opuścili sypialnię Cade'a i udali się do sklepu. Ich plan zakończył się pełnym sukcesem. Podczas gdy Cade'owi udało się wciągnąć sprzedawcę w dłuższą rozmowę na temat zalet rozmaitych gatunków szampana, Mac wymknęła się ukradkiem, żeby zadzwonić do Redhawka i zawiadomić go o wieczornym spotkaniu. Zadowolona z siebie, że udało jej się wywieść w pole śledzącego ich mężczyznę, już układała w myślach plan spotkania z Lambertem.

Do wieczora zostało jeszcze dużo czasu. Dopiero po kilku godzinach męczącego czekania oraz wpatrywania się nieobecny wzrokiem w migający ekran telewizora, na którym podobno toczyła się akcja jakiegoś filmu, Mac uświadomiła sobie, że przeoczyła absolutnie kluczową rzecz.

Odwróciła się do Cade'a i krzyknęła:

- O Boże!

Cade z miejsca się poderwał i chwycił ją za rękę.

- Co się stało?

Spojrzała z jękiem na zegarek. Nie było już czasu, żeby to załatwić. Wkrótce mieli się spotkać z doktorem.

- Nie mam się w co ubrać!

Miała taką poważną minę, że Cade nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Teraz to ty zaczynasz się zachowywać typowo. Zgnębiona uderzyła go pięścią w ramię.

- Mówię serio. Jadąc tu, byłam przygotowana na śledzenie, szybkie akcje i gonitwy, a nie na wizyty w lokalach.

Cade spojrzął na nią, ale oczyma duszy wciąż widział ją taką jak kilka godzin wcześniej.

- Nie musisz się jakoś specjalnie ubierać, żeby ich oczarować - stwierdził, a w myślach dodał: I tak najlepiej wyglądasz nago.

Mac przechyliła głowę i uważnie mu się przyjrzała:

- Czy to miał być komplement? Cade uśmiechnął się.

- Chyba tak.

- Jeżeli tak, to dziękuję. - Cmoknęła go w czoło i poczuła, że ma ochotę dalej go całować. Zganiła się w duchu za ten brak opanowania. Coś takiego nigdy jej się nie przydarzyło. Nigdy dotąd panowanie nad sobą, a także nad innymi nie sprawiało jej najmniejszych kłopotów. - Poza tym możesz mi wyjaśnić, co miałeś na myśli, mówiąc, że zaczęłam się zachowywać typowo? Kiedy to zachowałam się nietypowo?

- Aż do tej pory. Jesteś po prostu całkiem inna niż kobiety, do których przywykłem.

Mac nie lubiła sytuacji niejasnych. Dlatego też natychmiast zapytała:

- W dobrym czy w złym sensie?

Cade z tajemniczą miną ruszył do kuchni, ale Mac mogłaby przysiąc, że na jego ustach błąkał się uśmieszek.

- Poprzestańmy na tym, że jesteś po prostu inna.

Otworzył lodówkę i zaczął się zastanawiać, czy by nie otworzyć butelki szampana, którą dopiero co kupili. Odniósł wrażenie, że Mac przydałby się kieliszek na ukojenie nerwów. Z drugiej strony, trudno przewidzieć, jak w tej stresującej sytuacji mógłby na nią podziałać alkohol. Zamknął lodówkę i zapytał:

- A tak przy okazji, nie zaglądałaś do garderoby?

Zaskoczył ją, ale poznała już Cade'a na tyle dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie zadawał pytań bez powodu.

- A powinnam? Cade pokiwał głową.

- Redhawk lubi mieć wszystko zapięte na ostatni guzik, nawet gdy działa nieoficjalnie. Szafa jest pełna. Jestem pewny, że znajdziesz coś dla siebie na wieczór.

- Pełna szafa? - powtórzyła z powątpiewaniem. Większość mężczyzn nie wiedziała, co to znaczy. Ich zdaniem kobiecie wystarczyły jeden czy dwa kostiumy. - Czyje to rzeczy? - zapytała.

- Caitlin. - Cade sam to wcześniej sprawdził i na oko stwierdził, że Caitlin i McKayla musiały nosić podobne rozmiary. - To żona Redhawka - dorzucił, widząc, że Mac go nie rozumie.

- Musimy się pospieszyć, jeżeli mamy zdażyć na czas. - Mac krętymi schodkami pomknęła na górę do pokoju, który sobie wybrała.

Cade poszedł za nią, podziwiając jej kształtną pupę i powtarzając sobie, że nie powinien się rozpraszać. Teraz potrzebny mu jest trzeźwy umysł. W towarzystwie Lamberta i Taylora trzeba mieć się na baczności.

Kiedy znalazł się w swoim pokoju, podszedł do szafy. Na szczęście i on, i Redhawk także byli podobnego wzrostu i postury, czyli mieli ze sobą coś jeszcze wspólnego oprócz rdzennie amerykańskiego pochodzenia. Z tym że on był tylko w jednej czwartej Indianinem Cherokee, natomiast porucznik był po matce półkrwi Navajo.

Wyjął z szafy lekki, ciemnoszary garnitur, a w komodzie znalazł koszulę w kolorze oliwkowej zieleni. Musiał przyznać z podziwem, że Graham pomyślał o wszystkim.

Kiedy parę minut później wyszedł z pokoju, utwierdził się tylko w swoim przekonaniu na temat Redhawka. Mac czekała już na niego w salonie. Jej tempo wcale go nie zdziwiło. Za to na jej widok zaparło mu dech w piersi. Miała na sobie sukienkę z długimi rękawami w kolorze oliwkowym, która opinała jej krągłości jak druga skóra.

Zauważył, że kolorystycznie pasują do siebie, i ta myśl oraz wiążące się z nią skojarzenia sprawiły mu dziwną przyjemność.

- Ślicznie wyglądasz - mruknął.

W tym momencie Mac wykonała przed nim pełny obrót. Projektant musiał lubić wycięcia - suknia miała z tyłu głęboki dekolot, odsłaniający całe plecy aż po pas.

Przez dłuższą chwilę nie mógł wydać z siebie głosu. W końcu chrząknął.

- Czy ta suknia nie jest zbyt... przewiewna? Rozśmieszyło ją to niedopowiedzenie.

- Też tak pomyślałam, ale przecież mogę coś na siebie zarzucić. - Odwróciła się z kuszącym uśmiechem, ale gdy Cade wyciągnął ręce, żeby ją objąć, zarzuciła na ramiona kaszmirowy szal. - Piękny, prawda? - Przesunęła dłonią po materiale. - Mając to na sobie, czuję się niemal jak grzesznica.

Wolał nie wyobrażać jej sobie wyłącznie w tym szalu i jakoś mu się to udało.

- To mi wygląda na rzecz zrobioną przez jego matkę - powiedział. - Ona jest czystej krwi Indianką Navajo.

Mac uważnie przyjrzała się szalowi. Był wykończony długimi, ciężkimi frędzlami i misternym haftem.

- Co za przepiękna robota!

- O tak, to bardzo piękna rzecz - przyznał, otaczając Mac ramieniem i prowadząc do wyjścia. Prawie tak piękna jak nosząca go kobieta.

Nie mieli kłopotu ze znalezieniem restauracji. Błękitna Przepiórka, mieszcząca się przy długim bulwarze, ze swoją tradycją oraz ponadstuletnią historią była królową wśród pomniejszych lokali, które powstawały przy bulwarze jak grzyby po deszczu, by po paru latach zniknąć.

Parkingowy ruszył w ich stronę, zanim Cade zdążył wyłączyć silnik. Tańszy samochód zamienił teraz na mercedesa, żeby przekonać Lamberta o swojej zamożności.

Parkingowy otworzył drzwi przed Mac. Wsiadła z wozu i pomyślała, że mogłaby bez trudu przywyknąć do takich objawów luksusu. Jeszcze łatwiej byłoby jej się przyzwyczaić do przebywania w towarzystwie Cade'a.

W głowie zapaliło jej się światełko ostrzegawcze. Nie powinna zaprzętać sobie głowy takimi myślami.

Kiedy wchodzili do restauracji, Cade ujął ją pod rękę, a ona oparła mu głowę na ramieniu.

- Ten Lambert wie, jak korzystać z życia.

- O tak. - Cade zacisnął wargi. - Widać z tego, że handel dziećmi to bardzo lukratywny interes.

Kierownik restauracji uniósł na ich widok brwi i poprawił czerwony sznur, zamykający wejście do sali jadalnej.

- Sinclair, stół na cztery osoby - powiedział Cade.

- Witam państwa. Dwaj panowie już czekają. - Mężczyzna wprawnym ruchem uniósł sznur, wziął dwie karty i poprowadził Mac i Cade'a do stolika.

Gdyby to była Anglia, uznała Mac, można by wziąć tych dwóch wytwornych, starszych panów, siedzących przy ich stoliku, za przedstawicieli arystokracji. Już samym swoim wyglądem wzbudzali zaufanie i szacunek. Mac zaczęła się nawet obawiać, że to jakieś straszne nieporozumienie, a ci dwaj eleganccy panowie nie mają nic wspólnego z brudnymi interesami.

Na ich widok Lambert wstał. Jego towarzysz, Taylor, dublował każdy jego ruch, łącznie z dobrotliwym uśmiechem.

Doktor ujął Mac za ręce.

- Witam, pani Sinclair. Wygląda pani prześlicznie. Jest pani dziś naprawdę oszałamiająca.

A ty wyglądasz jak zły wilk szykujący się, by pożreć niewinną owieczkę, pomyślał Cade. Machinalnie otoczył talię Mac zaborczym ramieniem. Musnął przy tym jej nagie plecy, a uczucia, jakich doznał, nie miały nic wspólnego z celem ich wizyty w restauracji, miały za to bardzo wiele wspólnego z jego instynktem posiadacza.

- Powiedziałabym raczej oszołomiona - wyznała Mac, kiedy kelner odsunął jej krzesło. Nie spuszczała wzroku z twarzy Lamberta. - Wciąż mam w głowie taki straszny mętlik. Nigdy bym nie przypuszczała, że działacie w takim tempie.

- Pozwolą państwo, że przedstawię mecenasa Phillipa Taylora. - Adwokat, nieco młodszy od doktora, skinął głową i uściśnął im ręce. Po dokonaniu prezentacji Lambert kontynuował:

- Zazwyczaj nie działamy tak szybko, ale kilka młodych kobiet, z którymi jestem w kontakcie, znalazło się w bardzo trudnej sytuacji. Postanowiliśmy przyspieszyć całą procedurę, ponieważ państwu tak bardzo zależy na czasie. - Uśmiechnął się zachęcająco. Miał za sobą lata pracy z podobnymi pacjentami i wiedział, jak z nimi postępować. Z czasem stało się to jego drugą naturą. - Czy mają

państwo jakieś określone preferencje? - Spojrzał na męża, a potem na żonę, wiedząc, że z reguły to właśnie żona podejmowała decyzję. - Czy to ma być chłopiec, czy dziewczynka? Niemowlę czy trochę większe dziecko?

- A może w ogóle starsze dziecko? - podsunął Taylor.

Cade spojrzał na niego z zainteresowaniem. Z najwyższym trudem powstrzymywał instynktowną chęć, by rozkwasić temu adwokatowi jego gładką gębę.

- Macie też starsze dzieci?

- Przez starsze rozumiem cztery, pięć lat. No, ewentualnie sześciolatki - wyjaśnił Taylor. Końcami palców przyglądał cieniutki wąsik, o jeden odcień ciemniejszy niż jego szpakowate włosy. Zajrzał z westchnieniem do kieliszka. - Niektórym ludziom ciężko się żyje w dzisiejszych czasach. - Podniósł wzrok na Mac. - Trochę jak u Dickensa.

- Były to czasy najlepsze, a zarazem najgorsze? - odpowiedziała Mac.

Taylor pokiwał głową. Jego oczy z aprobatą prześlizgnęły się po zgrabnej figurze Mac.

- Dokładnie tak. Jest pani nie tylko piękna, ale i inteligentna. - Uniósł kieliszek i spojrzał na Cade'a. - A pan jest wyjątkowym szczęściarzem, panie Sinclair. Dostał pan od losu wszystko.

Cade odruchowo nakrył ręką dłoń Mac.

- No, prawie wszystko.

Lambert ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Brakuje panu syna, który nosiłby pańskie nazwisko, prawda?

Słowa te ugodziły Cade'a w samo serce. Z trudem się opanował.

- Szczerze mówiąc, myślałem raczej o córeczce.

Twarz ściągnęła mu się bólem. Mac spostrzegła to i żeby odwrócić uwagę Lamberta, szybko powiedziała:

- Mój mąż nie ma problemów z własnym ego. Wolałby mieć córeczkę niż synka.

- A pani, moja droga? - nie ustępował Lambert. - Co by pani wolała?

Potrząsnęła tylko głową z obawy, by żaden z mężczyzn nie zaczął podejrzewać, że chodzi im o cokolwiek innego niż legalną adopcję.

- Jest mi naprawdę wszystko jedno.

- Byle było zdrowe... - wtrącił się Taylor. Musiał tego wysłuchiwać aż do znudzenia.

- Byle dane mi było obdarzyć je miłością - powiedziała Mac.

Starsi panowie wymienili spojrzenia. Wyglądali jak dwaj rezydenci ekskluzywnego męskiego klubu, dzielący bez słów to samo przekonanie. Mac wstrzymała oddech.

Pierwszy zabrał głos Taylor.

- Jest pani wyjątkową kobietą, pani Sinclair.

- Ależ proszę, na imię mi Julia - poprawiła go Mac. Im prędzej obaj mężczyźni wyzbędą się resztek podejrzeń, tym szybciej sprawy zaczną się posuwać do przodu.

- No więc, Julio, może byśmy teraz coś zjedli? - Otwierając menu, Taylor dał sygnał do rozpoczęcia mniej oficjalnej części wieczoru. Nawet nie zajrzał do karty. Mac była pewna, że znał ją na pamięć. - Potem przedyskutujemy wszystkie szczegóły związane z adopcją.

Patrzyła, jak mężczyźni ze spokojem studiują kartę potraw, i czuła, że poziom adrenaliny gwałtownie jej podskoczył. Najchętniej rzuciłaby się na Taylora i zaczęła go dusić, żeby wydobyć od niego miejsce pobytu Heather.

Może to nie byłby wcale taki zły pomysł?

Niestety, nierealny. Ujęła Cade'a za rękę, żeby się trochę uspokoić, po czym zamówiła lekki posiłek. Zanim tu przyszła, wręcz umierała z głodu, teraz zupełnie straciła apetyt. Żołądek miała skurczony jak pięść.

Kiedy przyniesiono zamówione dania, Mac zaczęła dziobać sałatę widelcem, usiłując jednocześnie prowadzić lekką konwersację. Nie potrafiła jednak myśleć o niczym innym, jak tylko o Heather. Gdzie ona jest? Jak się czuje? Czy bardzo się boi? Czy uda im się ją znaleźć? Czy to tylko kolejna akcja, prowadząca donikąd?

Lambert spojrzał z wyrzutem na jej talerz.

- Czemu nic nie jesz, Julio? Jaki przykład będziesz dawać własnemu dziecku, jeżeli nie będziesz się zdrowo odżywiać?

- Nie zabraknie okazji, kiedy już będę miała dziecko. - Mac, zdenerwowana przyszła mama, uśmiechnęła się przepraszająco. Sięgnęła po widelec i z

westchnieniem zaatakowała sałatkę. - Przepraszam, panie doktorze. To wszystko przez to przecucie, że jesteśmy już tak blisko. - Rumieniec gniewu, który Lambert wziął za wyraz zażenowania, oblał jej policzki. - Czuję się jak dziecko oczekujące świąt.

- Doskonale to rozumiem. - Lambert lubił odgrywać rolę świętego Mikołaja. - W tej sytuacji nie będziemy was już dłużej męczyć niepewnością i pozwolimy wam coś obejrzeć. - Nie czekając na zgodę partnera, wyjął z kieszeni mały albumik z fotografiami i położył go na stole.

Na twarzy Taylora ukazał się wyraz niemej irytacji. Czy Lambert postąpił wbrew ustaleniom, wchodząc w jego kompetencje?

- Co to jest? - zapytał Cade.

Wypielegnowana dłoń Lamberta z czułością musnęła błękitną okładkę.

- Zdjęcia dzieci, które potrzebują domu. - Lambert patrzył wprost na Mac. - Dzieci, których matki nie mogą się nimi zająć. Szlachetne młode kobiety, które chcą zapewnić swoim pociechom lepsze warunki. Proszę, niech państwo to sobie przejrzą.

Cade pomyślał, że doktor Lambert chyba się trochę zagalopował w swojej roli. Zaczął oglądać zdjęcia. Były to głównie portretowe zbliżenia.

Wśród nich znajdowało się zdjęcie Heather. Cade poczuł, że Mac zeszywniała, i uznał, że teraz to on powinien zająć czymś Lamberta. Zaczął ostentacyjnie przeglądać album, głośno komentując oglądane fotografie.

- Tak trudno zdecydować się na jedno - powiedział w końcu.

- Niech państwo wezmą dwójkę - zaproponował Taylor. - Niestety, nie będzie to ani trochę taniej. Każde z tych dzieci ma matkę, która ponosi wydatki. W niektórych przypadkach są to nawet zaległe rachunki jeszcze ze szpitala... - Urwał na widok dziwnej miny Cade'a. - Czy coś się stało, panie Sinclair?

Cade nawet nie usłyszał jego pytania. Serce zamarło mu w piersi. W głowie zaczęło mu szumieć. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w fotografię małego chłopca.

Fotografię Darina.

ROZDZIAŁ 13

Mac nigdy nie widziała fotografii Darina Townsenda i nie miała pojęcia, jak wygląda synek Cade'a. Wewnętrzny głos podpowiadał jej, że buzia dziecka, na widok której Cade nagle zamarł, musi należeć do jego syna. Była o tym świecie przekonana.

Zacząła się gorączkowo zastanawiać, jak odwrócić uwagę obu mężczyzn od Cade'a i dać mu trochę czasu, żeby mógł się opanować.

Toaleta!

Sięgnęła po torebkę i zaczęła się nią wachlować, biorąc raz po raz głęboki oddech. Potem uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Panowie wybaczą, ale obawiam się, że to wszystko...

- Machnęła w stronę otwartego albumu ze zdjęciami. - Po prostu szalenie się zdenerwowałam. Pójdę się trochę ochłodzić.

- Wstała i rzuciła do Cade'a: - Zaraz wracam.

Doktor Lambert natychmiast zareagował:

- Gdybym mógł w czymś pomóc...?

Jeszcze będziesz musiał, draniu, przyrzekła mu w duszy, a głośno powiedziała:

- Nie, dziękuję, panie doktorze. Odrobina zimnej wody na szyję i nadgarstki na pewno postawi mnie z powrotem na nogi. Nie ma pan pojęcia, jakie to dla mnie niesamowite przeżycie.

Po odejściu Mac Lambert przeniósł uwagę na Cade'a, który w milczeniu wpatrywał się w fotografię małego chłopca.

Doktor uśmiechnął się. To właśnie od niego wszystko się zaczęło. Co za zrządzenie losu, że jego przybrani rodzice niedawno go zwrócili, twierdząc, że nie są w stanie nawiązać kontaktów emocjonalnych z tak smutnym dzieckiem.

Mimo to Lambert musiał przyznać, że nawet na swój sposób polubił małego.

Postukał starannie opiłowanym paznokciem w plastikową okładkę albumu.

- Widzę, że spodobał się panu Jeremy.

Cade podniósł wzrok. Co za dziwaczna sytuacja. Słowa Lamberta, jego własne odpowiedzi, wszystko. Nie potrafił znaleźć na to innego określenia jak czysty surrealizm.

- Jeremy? - machinalnie powtórzył to obco brzmiące imię.

Darin tak się teraz nazywa. Jeremy! Najwyższym wysiłkiem woli zmusił się, żeby znowu nie spojrzeć na fotografię. Bał się, że nie zdoła zapanować nad własną twarzą i wszystko się wyda.

Lambert odwrócił album tak, żeby patrzeć wprost na fotografię, i przyjrzał jej się, kiwając głową.

- Taaak... ten chłopiec trafił do nas w wyjątkowo tragicznych okolicznościach. Przeżył wypadek samochodowy, w którym zginęli jego rodzice. Nie ma żadnej rodziny, ale ja czuję się za niego w jakiś szczególny sposób odpowiedzialny. Jego matka pracowała u mnie jako recepcjonistka - wyjaśnił. - To bardzo bystre dziecko. Widać to po jego oczach.

Cade zawrzał gniewem. Po raz pierwszy w życiu pomyślał, że byłby w stanie nawet zabić. Lambert mówił o jego synu tak, jakby to było jakieś zwierzątko, rasowy szczeniak hodowany na sprzedaż. Czy w taki sposób dobierano dzieci do tego brudnego procederu? Dzięki ich widocznym zaletom, które miały sprawić, że łatwo będzie je potem sprzedać?

- Gdzie jest teraz Jeremy? - zapytał, starając się mówić spokojnym, rzeczowym tonem.

- Wzięliśmy go do siebie. - Lambert z powrotem odwrócił album i podsunął go Cade'owi pod nos. Należało kuć żelazo póki gorące. Niemal już zrezygnował z planów znalezienia chłopcu domu, ale skoro nadarzała się szansa...

- To taki chwilowy układ, który ostatnio zaczął się przeradzać w coś bardziej stałego - mówiąc to, Lambert przez cały czas obracał w palcach kieliszek, którego zawartość, poza kilkoma łydkami na początek, pozostała jednak nie naruszona. Nigdy nie pił podczas negocjacji. - Muszę przyznać, że przywiązałem się do Jeremy'ego, ale jeśli ktoś jest gotowy stworzyć mu dobry dom - mam na myśli właściwe środowisko i tym podobne - to mogę uznać, że zrobiłem swoje.

- A jaka suma wchodziłaby w grę? - Cade mówił wprowadzając do Taylora, ale patrzył w oczy Lambertowi. Był przekonany, że to doktor jest kluczową postacią w tym dramacie. - Mam na myśli rozpoczęcie procedury adopcyjnej.

- Za Jeremy'ego? - Szczupłe ramiona poruszyły się pod perfekcyjnie skrojoną marynarką. - Wyłącznie nominalna. - Zamyślił się na chwilę. - Ustawowe koszty sądowe oraz honorarium adwokata. No i może drobna prowizja za to, że zajmowałem się Jeremym przez ostatni rok. Cade zdumiał się.

- Jak to, przez rok?

- Tak długo chłopiec był u mnie.

Rok, a nie trzy lata. Chyba że Lambert kłamie, co jest bardzo prawdopodobne. Jakie miałyby powody, żeby mówić prawdę?

Chłopczyk na fotografii to nie jakieś fikcyjne dziecko o imieniu Jeremy, tylko Darin. Cade gotów był się o to założyć.

Lambert nachylił się i z miną dobrego wujka zapytał poufnym tonem:

- A gdybyście tak zaadoptowali Jeremy'ego? Mówił mi pan wprowadzając, że chcecie z Julią córeczkę, ale możecie mi wierzyć, że Jeremy to wyjątkowe dziecko.

- O tak - odparł Cade, z trudem hamując gniew. - To widać.

Znowu spojrzał na Taylora. Adwokat rzadko zabierał głos w dyskusji. Sprawiał wrażenie, jakby bardziej interesowała go zawartość kieliszka niż losy porwanych dzieci.

Cade zaczął właśnie mówić coś do Lamberta, kiedy dotarło do niego, że ktoś nad nim stoi. Spojrzał w górę. To jeden z kelnerów czekał, aż skończą rozmawiać.

- Tak?

- Pan Sinclair? Cade skinął głową.

- Telefon do pana - wyjaśnił kelner. - Przykro mi, ale nasz przenośny aparat chwilowo nie działa. Może pan skorzystać z aparatu w recepcji.

- Przepraszam. To pewnie ktoś z biura. Powiedziałem im, gdzie mogą mnie szukać. Ci ludzie pracują chyba przez całą dobę. - Cade miał nadzieję, że to wymyślone ad hoc usprawiedliwienie wystarczy.

- Niech się pan nie kłopotczy. Ja już zdążyłem się przyzwyczaić do tego, że przerywają mi nawet w najbardziej intymnych momentach - powiedział ze śmiechem Lambert, machając w stronę recepcji.

To pewnie Redhawk, pomyślał Cade, podnosząc słuchawkę. Tymczasem, ku swemu zdumieniu, w słuchawce usłyszał głos Mac.

- Wszystko w porządku?

Zaskoczony, rozejrzał się wokoło. Skąd dzwoniła? Z telefonu komórkowego? I gdzie się podział ich wszechobecny cień? Musiał przecież być gdzieś w pobliżu.

- McKayla? Czemu dzwonicz?

Mac znajdowała się w odizolowanej części foyer, z której wchodziło się do toalet i gdzie znajdowały się automaty telefoniczne.

- Jestem za twoimi plecami. - Zobaczyła, że Cade zaczyna się oglądać przez ramię. Nie powinien tego robić. Zwłaszcza że mógł być obserwowany. - Nie, nie odwracaj się, tylko patrz na drzwi. Chciałam po prostu wywołać cię od stolika. Bałam się, że Lambert zacznie cię wypytywać. Człowieku, zrobiłeś się błydy jak ściana. - Zawahała się na moment, a potem zadała mu bolesne pytanie. - Czy to fotografia Darina?

- Tak. - Co prawda, dziecko bardzo się zmienia pomiędzy trzecim a szóstym rokiem życia. Ale to był Darin. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Dopiero teraz Mac pojęła wagę jego słów. Ile jeszcze rodzin unieszczęśliwił ten drań o dobrotliwym uśmiechu świętego Mikołaja?

- Moglibyśmy ich teraz zdjąć.

- Nie, musimy odegrać ten spektakl do końca. Jeżeli za szybko odsłonimy karty, część wmieszanych w to ludzi zdąży się wymknąć. Albo, co gorsza, zdążą zniszczyć akta i wtedy nikt już nie zdoła odnaleźć wszystkich dzieci, porwanych w imię wszechpotężnego dolara.

Mac przybliżyła się do ściany i jeszcze bardziej ściszyła głos, bo jakaś kobieta mijała ją właśnie w drodze do toalety.

- Myślisz, że mają jakieś akta? Cade prychnął szyderczo.

- Oczywiście, że tak. Ludzie tego pokroju zawsze gromadzą akta dla własnego dobrego samopoczucia, żeby inni mogli to widzieć i ich podziwiać. W tym wypadku pomniejsze plotki z tej przestępczej szajki.

Pomyślał, że nie było ich obojga przy stole już od dobrych kilku minut. Lambert mógł zacząć coś podejrzewać.

- Ty wróc pierwsza - powiedział do Mac - a ja przyjdę za chwilę.

- Dobrze. - Już miała się wyłączyć, kiedy nagle usłyszała w słuchawce głos Cade'a, wymawiający jej imię.

- Tak?

- Chciałem ci podziękować.

- Za co?

- Za to, że przyszedł mi z pomocą. - Nigdy przedtem żadna kobieta nie musiała tego robić.

- Zawsze możesz na mnie liczyć. Aha, Cade...

- Tak?

Uśmiechnęła się, choć wiedziała, że jej nie widzi.

- Zobaczysz, że jakoś przez to przebrniemy. Nie mieli innego wyboru.

- Masz rację.

Cade odłożył słuchawkę na widelki. Darin. Nareszcie go odnalazł. Po trzech latach bezowocnych poszukiwań, gdy wydawało się, że syn zniknął z powierzchni ziemi.

Marzył o tej chwili od trzech lat, a teraz bał się uwierzyć, że wreszcie wpadli na właściwy trop.

Nikt się nigdy nie dowie, ile go to kosztowało, żeby wrócić do stolika i jakby nigdy nic podjąć spokojną rozmowę. Mało brakowało, a byłby rzucił się na obu mężczyzn i siłą wydusił z nich zeznania.

To by do niczego nie doprowadziło. Lambert i Taylor wyparliby się wszystkiego. Cade wiedział, że mają z Mac związane ręce i muszą odegrać tę smutną komedię do końca. Przecież nie chodziło tylko o Heather i Darina, ale o dziesiątki skrzywdzonych dzieci. To wielka odpowiedzialność. Dlatego nie mogli dać się ponieść emocjom.

Przysiągł sobie, że kiedy już będzie po wszystkim, gdy będą mieli w ręku adresy i dokumenty pozostałych dzieci, załatwi sobie krótkie sam na sam z tymi łotrami i za pomocą gołych pięści wyrówna rachunki za Darina. A także odpłaci im, choć w niewielkim stopniu, za to wszystko, przez co sam musiał przejść.

- Przepraszam, że to tak długo trwało - powiedział, siadając przy stoliku.

Lambert machnął lekceważąco ręką.

- Proszę nie przepraszać. Dla mężczyzny praca jest najważniejsza. - Uśmiechnął się, a potem wymownie spojrzął na album. - No więc, podjęliście już decyzję?

Cade i Mac wymienili spojrzenia. Trzeba będzie uważać, żeby nie wzbudzić niepotrzebnych podejrzeń.

- Chcielibyśmy adoptować tę małą dziewczynkę. - Cade przekartkował album i otworzył na stronie ze zdjęciem Heather.

- O, właśnie tę.

Postukał palcem w fotografię. Mac była jego klientką, a on podjął się odszukać tę półtoraroczną dziewczynkę. Odnalezienie Darina miało być premią, którą zamierzał zainkasować po tym, jak należycie wywiąże się ze swoich obowiązków.

Jego wybór wyraźnie ucieszył Lamberta.

- Doskonale. - Odwrócił album do siebie, żeby się upewnić, o które dziecko chodzi. - Ach, to Lily. Rozkoszna, prawda?

- O tak, rozkoszna - powtórzyła z uśmiechem Mac. Wargi miała zupełnie zdrętwiałe. Położyła Cade'owi rękę na ramieniu.

- Kochanie, a gdybyśmy tak jeszcze wzięli starszego braciszka dla Lily? Co ty na to? - A kiedy Cade spojrzął na nią ze zdumieniem, zwróciła się do Lamberta: - Byłoby to możliwe, panie doktorze? Moglibyśmy adoptować i Lily, i tego chłopczyka?

Lambert patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- Chcielibyście wziąć tę dwójkę? - zapytał w końcu. Skinęła głową i zaczęła mówić z rosnącym entuzjazmem:

- On ma w sobie coś takiego, co chwyta za serce. I nawet, jak się przyjrzeć, są do siebie trochę podobni. Można by ich wziąć za rodzeństwo. - Wbiła paznokcie w ramię Cade'a. - Co ty na to? - Poczwała, że się do niej odwraca, ale bała się na niego

spojrzeć. A może przesadziła? Albo popsuła mu szyki? - Mamy w sobie dość miłości, żeby wystarczyło jej dla obojga. Przecież czekaliśmy tak długo...

Taylor dopił trzeciego drinka i zaglądając w pusty kieliszek, wyraźnie posmutniał. Uniósł go z westchnieniem, w wyimaginowanym toaście.

- Wygląda na to, że pańska żona już podjęła decyzję. - Głośno się roześmiał i mrugnął porozumiewawczo do Cade'a. - My, żonaci mężczyźni, wiemy, co to znaczy.

- O tak, czasami ciężko z nią dyskutować - przyznał Cade, z trudem trzymając nerwy na wodzy. Zastanawiał się, czy nie posunęli się za daleko i czy Lambert i Taylor nie zaczęli czegoś podejrzewać. Choć, z drugiej strony, mogli też uznać zachowanie Mac za typową reakcję kobiety, której największe marzenie miało się ziścić po wielu latach oczekiwania.

Spojrzał pytająco na Lamberta.

- No więc, czy dałoby się to zrobić?

- O, to zależy wyłącznie od pana, panie Sinclair, ale, moim zdaniem, to jest możliwe. - Lambert z wielkodusznym uśmiechem odwrócił się do Taylora. Na widok pustego kieliszka w jego szarych oczach pojawił się błysk dezaprobaty. - Czy są państwo pewni?

- Najzupełniej pewni - oświadczyła Mac. Nakryła dłonią rękę Cade'a. Bała się, że jeśli na niego popatrzy, zdradzą ich spojrzenia.

- W tej sytuacji poczynimy z Taylorem stosowne przygotowania i jutro rano zadzwonimy do państwa. - Lambert spojrzał na swojego rolexa nie po to, żeby sprawdzić czas, ale dlatego, że lubił patrzeć na ładne przedmioty. - Powiedzmy sobie o dziesiątej?

Dziesiąta!

Ponad dwanaście godzin zawieszenia w próżni, pomyślała Mac. Niestety, nie mieli wyboru. Cała noc na krawędzi piekła!

Na razie to Lambert i Taylor rozdawali karty. W tej sytuacji pozostaje im tylko jak najlepiej wykorzystać wolny czas. Muszą skontaktować się z Redhawkiem, który powinien już chyba zgłosić się z tą sprawą do przełożonych. Kiedy uda się przyłapać Lamberta i Taylora w trakcie dosłownej „sprzedaży” porwanych dzieci, można będzie za jednym zamachem unieszkodliwić całą przestępczą szajkę. Prawdziwi rodzice

odzyskają swoje dzieci, a ona będzie mogła zwrócić Moirze córeczkę, tak jak to jej przyrzekła.

- Będziemy liczyć minuty - drżącym głosem zwróciła się do Lamberta.

- O, jestem tego pewny... - zaczął i urwał, ponieważ dalsze słowa zagłuszył przenikliwy sygnał telefonu komórkowego. Lambert przeprosił i wyjął z kieszeni aparat. Na jego twarzy ukazał się wyraz rezygnacji.

- Oczywiście. Zaraz tam będę. - Wyłączył telefon i rzucił Mac przeprasające spojrzenie. - Wygląda na to, że moja obecność jest absolutnie niezbędna. Pewnym bliźniakom tak bardzo się spieszy na ten świat, że poród zaczął się tydzień przed czasem. - Westchnął, po czym porozumiewawczym tonem dodał: - Czasami odnoszę wrażenie, że cały ten cud narodzin to lekka przesada. - Schował telefon do kieszeni. Podniósł się od stolika i spojrzał na Cade'a.

- Strasznie się spieszę. Zechce pan uregulować mój rachunek?

Cade'owi wydał się nagle bardzo żaloszny. Takie pytanie w ustach faceta, który miał na sobie garnitur za co najmniej tysiąc dolarów i na dodatek rolexa!

- Oczywiście. - Spojrzał na Taylora. - Pan także jest naszym gościem. - Pomyślał, że sam rachunek z baru będzie chyba dość słony.

Taylor nawet nie raczył podziękować, kiwnął tylko głową. Musiał zauważyć dezaprobatę we wzroku Lamberta, bo z kwaśną miną dodał:

- Ja też się już chyba pożegnam. Rano do państwa zadzwonię.

Wszyscy podali sobie ręce i obiecali skontaktować się na drugi dzień. Mac i Cade zostali przy stoliku. Mac z zapartym tchem patrzyła za odchodzącymi mężczyznami. Kiedy wreszcie znikli im z oczu, ścisnęła Cade'a za rękę. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało.

- Udało się! Odbierzemy im dzieci! - szepnęła, patrząc na Cade'a. Jak na człowieka, który jest o krok od wymarzonego celu, miał raczej obojętną minę. Czy jest coś, co przed nią zataił, czy może po prostu miał taki sposób bycia? - Nie jesteś podniecony?

Sprawy nie zawsze układały się tak, jak by człowiek sobie tego życzył. Nawet najprecyzyjniej przygotowane plany mogły się nie powieść. Dlatego nie chciał się cieszyć zbyt wcześnie.

Nie miał pewności, jak zniósłby kolejne rozczarowanie. Po zniknięciu Darina pogrążył się w rozpacz.

- Myślisz, że mogą nas podejrzewać? - zapytała Mac.

- Nie, ale ostrożność nigdy nie zawadzi - odparł po namyśle.

Mac przez całe życie starała się w pewnych sprawach zachować ostrożność. Ze strachu, że przestanie być panią siebie, że popadnie w niepotrzebną zależność.

- Często bywa inaczej - mruknęła, bardziej do siebie niż do Cade'a, a po chwili dodała: - Czasami ostrożność bardzo dużo kosztuje, a to, co przychodzi potem, podwójnie rani. - Bo potem przychodzi samotność, pomyślała ze smutkiem.

Mac głęboko wierzyła, że już tylko godziny dzielą ją od chwili, kiedy będzie mogła wziąć w ramiona ukochaną siostrzenicę.

Pośpiech, jej zdaniem, wcale nie zawadził. Zwłaszcza że jakiś wewnętrzny przymus popychał ją do akcji. Miała ochotę biegać z kąta w kąt, jakby to mogło w czymkolwiek pomóc. Jej nerwowe podniecenie stanowiło jaskrawy kontrast z pełnym rezerwy zachowaniem Cade'a.

Próbowała się opanować, ale czuła, że to próżny trud.

Wyszli z restauracji wkrótce po tym, jak rozstali się z Lambertem i Taylorem, i pojechali prosto do domu. Mac przez całą drogę mówiła, a Cade ograniczał się do chrząknięcia lub westchnienia.

Kiedy zatrzymali się na parkingu, Mac poczuła, że już dłużej nie zniesie ponurego nastroju Cade'a. Musi poznać jego przyczynę.

Wysiadła z wozu i z hukiem zatrasnęła drzwi.

- Powiedz mi, co cię gryzie?

Cade najpierw wystukał kod przy bramie, a potem mruknął:

- Nic. Akurat!

- To dlaczego milczałeś przez całą drogę? Cade spojrzał na nią z wyrzutem.

- Przecież ci odpowiadałem.

- Moim zdaniem chrząkanie można ewentualnie uznać za język jaskiniowców. - Nagle ją olśniło. - Boisz się, że mogłeś się pomylić? Że to nie jest twój synek? - Wydawał się taki pewny, kiedy rozmawiała z nim w restauracji.

Cade oczyma duszy ujrzał twarz na fotografii. Poczul przykry skurecz żołądka.

- Nie, to na pewno Darin. Wygląda zupełnie jak jego matka. - Co się z nim działo? Nie chciał otwierać serca przed tą kobietą, a tymczasem robił to jakby wbrew własnej woli. - Boję się, że w ostatniej chwili coś się nie uda i znowu wrócimy do punktu wyjścia.

Ach, więc o to chodziło.

- Musi się udać - powiedziała cicho Mac. Stała obok Cade'a i czekała, aż otworzy drzwi. - Zobaczysz, że odzyskamy nasze dzieci.

Powiedziała „odzyskamy”, jakby stanowili spółkę, jak on i Megan. A także Sam. Nie byli jednak spółką. Ona do nich nie należała. Była jego klientką i im prędzej zaczną sobie o tym przypominać, tym lepiej. Dla wszystkich.

- Darin to już nie twoja sprawa.

Mac spojrzała mu w oczy. Czy naprawdę w to wierzył? Czy posądzał ją o to, że potrafiłaby tak po prostu odejść? Po tym, przez co musieli razem przejść?

- Mylisz się.

- Wyślę ci rachunek pocztą.

Poczuła się, jakby dostała w twarz. Weszła powoli do domu.

- Na to, co dla nas robisz, nie ma ceny. - Słyszac odgłos zatraskiwanych zamków, odwróciła się do Cade'a. - Dlatego jeżeli po odszukaniu Heather ja z kolei pomogę ci odnaleźć Darina, będziemy kwita.

- Wtedy to ja będę ci dłużny - stwierdził.

- Jeden dług anuluje drugi - zapewniła go. Z dziwnym rozdrażnieniem rozejrzała się po starannie urządzonej mieszkanie. Próbowwała głęboko odetchnąć, ale w niczym to nie uspokoiło jej rozdygotanych nerwów. - To co teraz robimy?

Tak naprawdę, niewiele mogli w tej chwili zrobić. Cade zadzwonił do Redhawka jeszcze przed wyjściem z restauracji i zdał mu relację z przebiegu wydarzeń. Teraz przyszła kolej na porucznika, a im pozostało już tylko czekać.

- Czekamy - odpowiedział.

Mac czuła potrzebę natychmiastowego działania. Chciała jechać do Lamberta i zażądać wydania dzieci.

- Tak po prawdzie... - zaczęła.

Cade spojrzał jej w oczy. Słowa nie były już potrzebne.

- Wiem - powiedział. - Ja też.

Mac pomyślała, że odbierają na tej samej fali. To zastanawiające, jak wiele ich łączyło.

- Tej nocy chyba nie zmruję oka - wyznała szczerze.

Spojrzała na telewizor. Był właśnie sezon ogórkowy, a ona nie miała ochoty ona oglądanie odkurzonych przebojów. Przypomniała sobie studenckie czasy. Jak spędziła ostatnią noc przed egzaminami końcowymi?

- Grywasz w karty? - zapytała.

- Tylko w pokera.

Słyszac to, Mac uśmiechnęła się od ucha do ucha. Co za wspaniały zbieg okoliczności.

- To przecież moja ulubiona gra!

Cade'owi trudno było wyobrazić ją sobie przy pokerze. Poker zawsze kojarzył mu się z mężczyznami, zaszytymi w mrocznych salach, w oparach piwa i kłębach dymu tytoniowego.

- Sądziłem, że jesteś typem mózgowca. Do ciebie pasowałby mi raczej brydż albo coś w tym rodzaju.

Nie przepadała za brydżem. Był dla niej zbyt powolny, a ona lubiła szybkie tempo.

- Z tego wniosek, że nie można sądzić człowieka pochopnie. - Wspięła się na palce i zaczęła szukać czegoś w kuchennej szafce, ale niewiele znalazła. Stała zwrócona tyłem do Cade'a. Przed oczami miał jej nagie plecy. Nagle odechciało mu się pokera.

- Mam lepszy pomysł. Chodź do sypialni, to ci pokażę zupełnie nową grę.

ROZDZIAŁ 14

Z każdym muśnięciem rąk Cade'a ustępowało po trochu napięcie minionego dnia. Odpływało coraz dalej i dalej, aż zmieniło się w ledwo widoczny punkcik na horyzoncie. Niezapomniany, ale chwilowo nieistotny.

Dotykaniem Cade rozbudzał w duszy Mac innego rodzaju napięcia, innego rodzaju oczekiwania. Takie, które uzdrawiają, a nie niszczą; raczej koją, a nie podniecają.

Odwracając się w kojącym kręgu, uformowanym przez ramiona Cade'a, Mac całkowicie poddała się doznaniom, które nią zawładnęły. Oddawała się człowiekowi, któremu zawdzięczała tyle nowych przeżyć, tyle radości, nadziei, a także wiele innych równie porywających emocji, których chwilowo nie była w stanie analizować. Świadomość ich istnienia sprawiła, że nagle poczuła się wrażliwa i delikatna, prawdziwie kobieca.

To chyba miłość, przyszło jej do głowy. Ta myśl pewnie wstrząsnęłaby nią do głębi, gdyby nie zatraciła zdolności jasnego rozumowania. Zresztą, nie myśli się teraz liczyły, tylko uczucia.

Jej oddech, coraz szybszy i głośniejszy, niewiarygodnie podniecał Cade'a. Chciał działać szybko, pojąć Mac w jakimś dzikim pędzie, przeżyć miłość, zanim dopadną go dawne strachy i nowe wątpliwości, każąc mu się wycofać. Zarazem chciał działać powoli, delektować się każdą chwilą. Tak żeby mu pozostała w pamięci na całe życie. To, co się teraz między nimi działo, nie będzie przecież trwać wiecznie. Zbyt wiele razy był o krok od spełnienia, o włos od szczęścia, by wierzyć, że tym razem mu się powiedzie. Wspomnienia za to będzie mógł zachować, póki starczy mu tchu w piersiach.

Dlatego teraz starał się, by każda sekunda z Mac wryła mu się w pamięć. To właśnie robił. Uczył się Mac na pamięć.

Oliwkowa suknia zsunęła się z jej ramion. Srebrne nitki, przetykające materiał, odbijały światło, okrywając postać Mac niezwykłym blaskiem, który swoją poświatą objął także i Cade'a.

Uśmiechnął się. Nagle zapomniał o strachu. Gdzieś ulotniły się wyrzuty sumienia. Czy to nie cudowne, że to właśnie on może być pierwszym mężczyzną tak wspaniałej kobiety? Jak to możliwe, że przeżyła tyle lat na tym świecie i nikomu nie udało się poznać jej ciała tak, jak on to teraz robił? Jak to możliwe, że przeszła tak długą drogę i nikt nie błagał jej na klęczkach, żeby pozwoliła mu się kochać i wielbić?

Świadomość tego, że był jej pierwszym mężczyzną, musiała nieuchronnie prowadzić do pewnych wniosków. W pierwszej chwili nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Dopiero potem...

Był głodny...

I spragniony...

Spragniony jej ciała, smaku, zapachu, cudownych uczuć, jakie w nim budziła. Zaczęło mu się wydawać, że umrze z głodu i pragnienia, jeżeli się nią nie nasyci.

Z bijącym sercem, ustami przyciśniętymi do warg Mac, Cade coraz niżej zsuwał z niej suknię. Obcisłe rękawy stawiały lekki opór, lecz wreszcie uwolniły jej ręce. Cienki materiał zsunął się w dół po biodrach i opadł na podłogę.

Spojrzał na jej nagie piersi i obudziła się w nim dzika namiętność. Z jękiem wyszeptał jej imię - McKayla, a potem przygarnął ją do siebie, zatracając się w jedwabistej gładkości skóry, słodczy ust i delikatnej nucie perfum we włosach.

Przerażała go siła namiętności, jaka go ogarnęła. Im więcej brał, tym bardziej był złąkniony.

Z każdym pocałunkiem, z każdą pieszczotą coraz bardziej mu się poddawała. Mac czuła moc jego pragnienia i czerpała z niej życiodajne siły.

Poczucie bezpieczeństwa, jakie dawał jej Cade, przemieniło się w obehwładniającą rozkosz. Mac nie potrafiła już trzeźwo myśleć. Ona, tak zawsze ostrożna, zapomniała o konsekwencjach i poddała się żywiołowi; dała się unieść fali na nowe, bezmierne przestrzenie, których istnienia dotąd nawet nie podejrzewała.

Nagle zaczęła silniej rejestrować rzeczywistość - mięsistość dywanu, wysokość otaczających ją ścian, ciepło światła padającego od lampy. Wszystko stało się wyraźniejsze i bardziej intensywne - a zawdzięczała to Cade'owi.

Chciała na zawsze zostać na tym miejscu, jakie dla niej stworzył. Mimo to z otwartymi ramionami witała każde nowe doznanie, sycąc się nim, jakby miało być ostatnie w jej życiu.

W pośpiechu zerwała z niego ubranie, nawet nie zdając sobie sprawy, że zachowuje się jak szalona, popychana jakąś dziką, niepowstrzymaną siłą. Zwierzęcą raczej niż ludzką i rządzącą się własnymi prawami.

Nie była już tą dawną doktor McKaylą Dellaventurą. I wcale nie czuła się z tego powodu gorsza.

Kochali się na podłodze, na stole, na łóżku. Czas stanął w miejscu, rozmazały się kształty otaczających ich przedmiotów. Pochłoneła ich miłość, którą nasycali tysiącem nowo odkrytych barw.

Ciałem Mac raz po raz wstrząsały dreszcze. Pot zalewał jej oczy. Umierała z rozkoszy i ze zmęczenia. Chciała odpocząć i chciała też, by ta rozkoszna męka nie miała końca. Dygotała w gorączce pod dotykiem rąk Cade'a. Płoneła w miłosnej agonii.

Wpiła mu się palcami w ramiona i przyciągnęła go ku sobie, unosząc biodra w niemym błaganiu o to, czego nie potrafili już sobie nawzajem odmówić.

Kiedy w nią wszedł, z ich ust jednocześnie wyrwał się jęk - wyraz ich obopólnego pragnienia. Złączeni splekli palce. Cade unieruchomił ręce Mac ponad jej głową i rozpoczął powolny taniec, przeznaczony tylko dla nich dwojga.

Nie mogła złapać tchu. Czuła zawrót głowy. Potęga przeżytej rozkoszy pozbawiła ją sił i resztek świadomości. Leżała osłabła i oszołomiona.

Była zakochana!

Cade opadł na nią, całym swoim ciężarem wciskając ją w mięsisty dywan. Mac nie czuła niewygody i nie chciała, żeby zmieniał pozycję. Gdyby na zawsze mogło zostać tak, jak jest, czułaby się najszcześniejsza.

W sennym oszołomieniu zarzuciła mu ręce na szyję i przymknęła oczy. Gdyby mogli trwać tak bez końca albo jeszcze dłużej...

Wreszcie, w jakimś mrocznym zakątku jej mózgu, zakiełkowało ziarenko energii. Poruszyła się i nabrała tchu.

- Pierwszą godzinę mamy już z głowy - powiedziała. - A co będziemy robić przez pozostałe jedenaście?

Cade pomyślał, że najchętniej powtórzyłby raz jeszcze ten sam program. Ze zdumieniem skonstatował, że czuł się jak widz na spektaklu, którego tematem było jego własne życie.

Uniół się na łokciach i z uśmiechem w oczach spojrzał na Mac - pasemka mokrych włosów przykleiły jej się do czoła. Jego ciało znów upomniało się o miłość. Czy to normalne? A może McKayla była czarownicą i rzuciła na niego urok?

Dotknął ustami jej skroni.

- Z czym ci się kojarzy słowo „bis“?

Gdyby ktoś ją o to spytał, gotowa była przysiąc, że jest do cna wyczerpana z energii. Jednak dotyk jego ust rozbudził drzemiącą w niej resztkę sił, napędzając jej ciało niewymowną słodyczą.

- W tym przypadku ze słowem „brawo“. Ale to już zależy od ciebie, bo to twoja rola.

- Nasza - poprawił ją głębokim głosem, który wywołał w niej dreszcz. - Nasza.

Cade zaciągnął hamulec ręczny, ale wciąż siedział za kierownicą.

Zaparkowali przy krawężniku na jednej ze spokojnych uliczek, położonej nieopodal dzielnicy willowej. Po obu jej stronach rosły okazałe, egzotyczne drzewa. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie śpiewem ptaków. Nie tak wyobrażali sobie miejsce, w którym handluje się dziećmi.

Taylor zadzwonił do nich przed godziną i podał im adres, pod którym mieli się spotkać z wybranym przez siebie dzieckiem, czyli Heather, a także matką dziewczynki, z którą należało uregulować sprawy finansowe. Mac wzięła ze sobą fałszywy czek, opiewający na sumę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Zgodnie z życzeniem Taylora, wystawiony był na jego kancelarię adwokacką.

Natychmiast po telefonie adwokata Mac i Cade wsiedli do samochodu i szybko udali się pod wskazany adres, gnani panicznym lękiem, że jakaś nagła zmiana może pokrzyżować im szyki i przynieść kolejne rozczarowanie.

Od chwili gdy odebrali telefon, Mac wypowiedziała może pięć słów. Siedziała w samochodzie sztywna i wyprostowana jak żołnierz. Cade położył jej rękę na ramieniu.

- Denerwujesz się?

- Jestem zbyt wściekła, żeby się denerwować - powiedziała, otwierając drzwi wozu. Spojrzała na Cade'a. - Chcę działać, działać i jeszcze raz działać.

Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Nie wątpił też, że jej gniew, raz rozbudzony, mógł stanowić potężną siłę napędową. Na myśl o tym, że mógłby stać się obiektem jej gniewu, uśmiechnął się sam do siebie i zatrzasnął drzwi.

- Muszę pamiętać, żeby ci się przypadkiem nie narazić. Przypomnij mi o tym, dobrze?

- Dobrze. Możesz na mnie liczyć.

Mac nie spuszczała wzroku z małego, jednopiętrowego domku, do którego skierował ich Taylor. Powiedział im, że należy on do pośredniczki. Przyjmowała pod swój dach dziewczęta, którym powinęła się noga. Usypiała ich czujność na tyle, że godziły się jej zaufać, a potem nakłaniała do podpisania aktów zrzeczenia się dziecka. W przypadkach podobnych do tego, który przywiódł tu Mac i Cade'a, przechowywała za słoną opłatą porwane dzieci do momentu adopcji.

Mac pomyślała, że najchętniej własnymi rękami wyprułaby flaki tej kreaturze.

Wiele nowych rzeczy wydarzyło się w krótkim czasie, odkąd zaangażowała się w poszukiwania Heather. Nigdy by nie przypuszczała, że może być zdolna do tak intensywnych i różnorodnych uczuć, zarówno tych pozytywnych, jak i negatywnych.

Podchodząc do drzwi frontowych, zadała sobie pytanie, kto będzie udawał matkę Heather. Czy będzie to Shirley Lambert, czy ktoś inny z tej organizacji? Ile aktorów i aktorek brało udział w tym przestępczym dramacie? Czy policja aresztuje wszystkich? A może niektórym uda się wymknąć i znowu zaczną się mnożyć w jakimś innym miejscu, jak wirus, którego nie zdołano zwalczyć do końca? Mac mogła tylko mieć nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Kątem oka spostrzegła, że Cade rozgląda się wokoło. Był mocno zaniepokojony.

- Co się stało?

Może nic, ale Cade miał złe przeczucia.

- Nigdzie nie widzę samochodu Taylora.

Mac omiotła wzrokiem obie strony ulicy. Cade miał rację.

- Rzeczywiście, może zaparkował w garażu? - Wydawało się to mało prawdopodobne, bo drzwi garażu były zamknięte.

- Może. - Ton Cade'a świadczył o tym, że i on w to wątpi. Podeszli do drzwi frontowych i zadzwonili. W domu panowała cisza. Cade zadzwonił jeszcze raz. Znowu nic.

Wymienili spojrzenia. Mac niecierpliwie wskazała na drzwi. Cade nacisnął klamkę, która, ku jego zdumieniu, ustąpiła. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Kiedy jednak Mac zrobiła krok w przód, Cade zatrzymał ją ruchem ręki. Coś mu się w tym wszystkim nie podobało. Nie potrafił tego wyjaśnić ani sobie, ani tym bardziej Mac, ale wolał zachować ostrożność.

Znając Mac, wiedział, że nie będzie chciała czekać na zewnątrz, więc kazał jej iść za sobą. Zachowywał się niczym saper wkraczający na pole minowe.

W pewnym momencie Cade kątem oka zarejestrował widok broni z długim, zniekształcającym tłumikiem. Rzucił się na podłogę, pociągając za sobą Mac. Na szczęście, stało się to na ułamek sekundy wcześniej, zanim usłyszeli głuchy świst kuli. Przeleciała im nad głową. Cade na czworakach dopadł kwiecistej sofy i schował się za jej rozłożystym oparciem. Za nim, jak cień, podążyła Mac.

Nie miała czasu na myślenie, działała instynktownie. W płucach wciąż brakowało jej tchu po gwałtownym upadku. Dała nura za sofę i przytuliła się do jej pękatego korpusu.

Spojrzała w górę i zobaczyła, że w ręku Cade'a błysnęła broń. Od kiedy nosił ją przy sobie?

Rozległa się seria wystrzałów, a potem usłyszała eksplozję. To kula trafiła człowieka, w którym rozpoznała śledzącego ich detektywa.

Coś jest nie tak!

Na myśl o tym poczuła przykry ucisk w piersi. Zaskoczona i oszołomiona próbowała ogarnąć umysłem tę dramatyczną sytuację, w jakiej się znaleźli.

Zostali rozszyfrowani!

Zobaczyła, że Cade poderwał się na nogi.

Nie chciał dać temu osiłkowi, udającemu prywatnego detektywa, kolejnej szansy. Mężczyzna przyciskał rękę do ramienia, a pomiędzy palców tryskała krew. Trzymając go na muszce, Cade krzyknął:

- McKayla, poszukaj czegoś, żeby go związać.

Nie spostrzegła w pobliżu niczego wystarczająco mocnego. Pobiegła do garażu, gdzie wreszcie wśród puszek i kanistrów znalazła kawałek konopnego sznurka. Szorstki sznurek boleśnie wbił jej się w rękę, kiedy próbowała go wyszarpnąć spod jakiejś skrzyni.

Biegiem wróciła do domu i szybko związała mężczyźnie ręce za plecami, nie zważając na stek wyzwisk, jakim ją obrzucił.

- Gdzie Heather?! - krzyknęła. Spojrzał na nią z nienawiścią.

- Kto to jest Heather?

Cade szarpnął nim tak, żeby móc patrzeć mu w twarz.

- Ta dziewczynka, którą mieliśmy adoptować.

Detektyw spojrzał kątem oka na lufę, wciskającą się w jego skroń.

- Ja nic nie wiem o żadnej dziewczynce. - Pot cienką strużką zaczął mu spływać po czole. - Posłuchaj, nie widzisz, że jestem ranny? To jakaś pomyłka.

- O tak, i do tego twoja. - Dyskrekcja przestała już być potrzebna. To oczywiste, że Taylor i Lambert ich rozszyfrowali. Trzeba było działać szybko.

- Gdzie trzymają dzieci?

- Nie powiem ci, choćbyś mnie zabił.

- Zrobię to, bądź spokojny - zagroził mu Cade.

Miał wielką ochotę wyładować na tym draniu swoje nagromadzone frustracje, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Trzymając przed sobą związanego mężczyznę, pchnął go w stronę otwartych drzwi.

- Mam zadzwonić po policję, panie Taylor? - zapytała przerażona sekretarka. Stała w kącie, wepchnięta tam przez obcą kobietę, która jak burza wpadła do kancelarii.

Miniaturowy dyktafon wypadł Taylorowi z drżących rąk. Nie mógł pojąć, jak do tego doszło. Przecież Lambert wydał wyraźne polecenie, żeby zlikwidować tę dwójkę.

- Tak, tak, niech pani to zrobi - odpowiedziała za Taylora Mac. Zmierzyła adwokata wzrokiem pełnym pogardy i nienawiści. - Proszę zadzwonić na policję i poprosić porucznika Grahama Redhawka. Jestem pewna, że pan Taylor ma mu dużo do powiedzenia, prawda?

Taylor posłał jej mordercze spojrzenie i zwrócił się do sekretarki:

- Idź już, Eugenio. Ja doskonale panuję nad sytuacją.

- Raczej wątpię - groźnym tonem odezwał się Cade. Zbliżył się do Taylora. - Co się stało? Czemu nie było pana w tamtym domu?

Adwokat spojrział w stronę drzwi.

- Gdzie Fowler?

Cade uniósł brwi i z lekkim zainteresowaniem spojrział na Taylora.

- Ten facet, którego nasłaliście na nas, żeby nas zabił? Jest w komisariacie. - Nachylił się tak, że niemal dotykał twarzy adwokata. - Właśnie składa zeznania.

Taylor wpadł w panikę. Miał przecież pozostać poza wszelkimi podejrzeniami, obiecywano mu, że nie poniesie ewentualnych konsekwencji.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Cade poczuł, że jego cierpliwość już się wyczerpała. Złapał Taylora za koszulę i jednym szarpnięciem poderwał go z krzesła.

- Mówię o tych dzieciach, Taylor. O tych Bogu ducha winnych dzieciach, oderwanych od swoich rodzin po to, żebyście mogli z Lambertem nabijać sobie kabzę.

- Ja nic nie wiem...

Cade wzmocnił uścisk. Taylor poczerwieniał. Zaczęło mu brakować powietrza.

- Jeszcze raz zaprzeczysz, a wyrwę ci język i każę ci go połknąć.

- Oszalałeś - wydyszał Taylor, patrząc błagalnym wzrokiem na Mac, ale zacięty wyraz jej twarzy odebrał mu resztki nadziei. Chciał wzywać pomocy, lecz zdał sobie sprawę z bezowocności wszelkich prób.

- Tak, oszalałem - potwierdził Cade. Miał ochotę zabić Taylora gołymi rękami. Sprawiliby mu to wielką satysfakcję. - Przetrzymujecie mojego syna i jej siostrzenicę. Jeżeli chcesz wyjść żywy z tego pokoju, powiesz mi, gdzie są te dzieci.

- Ale ja nie wiem... - zaczął Taylor. Buta ustąpiła miejsca trwodze. Teraz walczył już tylko o przeżycie. Jęknął, kiedy stalowy uścisk ręki Cade'a jeszcze bardziej ograniczył mu dopływ powietrza. Czuł, że za chwilę się udusi. - Nie, proszę - wycharczał - nie wiem, co to za dzieci.

Mac położyła Cade'owi rękę na ramieniu. Nagle przeraziła się, że Cade rzeczywiście gotów udusić Taylora.

- Puść go. - Potrząsnęła go za ramię, żeby się opamiętał. - Wiem, co teraz przeżywasz, ale jeżeli go zabijesz, on już na nic nam się nie przyda. - Cade nadal nie chciał puścić Taylora. Musiała jakoś do niego dotrzeć. Nie można do tego dopuścić, żeby taki Taylor zrujnował jego przyszłość. - Pójdiesz siedzieć za morderstwo i nigdy nie zobaczysz syna! - podniosła głos.

Cade spojrział na nią z wdzięcznością, a potem z jego ust posypała się litania przekleństw. Przeklinał Lamberta, Taylora i swoją trzyletnią mękę. Wreszcie rozluźnił uścisk i cisnął Taylora na krzesło.

- Gadaj! - rzucił.

Taylor uniósł ku niemu spoconą twarz.

- Nie wiem, o jakie dziecko chodzi.

Cade postąpił krok w jego stronę. Taylor z ochrypłym jękiem wyciągnął ręce.

- Błagam - zwrócił się do Mac. - Chcę się zobaczyć z prokuratorem. Mam pewną propozycję...

Kolejna strata czasu. Na to Cade nie mógł się zgodzić. I nigdy się nie zgodzi.

- Ja też mam pewną propozycję: albo nam powiesz, gdzie są te dzieci, albo za pięć minut będziesz się smażył w piekle, tam gdzie twoje miejsce.

- Niech ci będzie. Powiem wam, gdzie są dzieci. - Sięgnął w stronę komputera.
- Tylko błagam, nie zabijajcie mnie.

- Mów! - powtórzył Cade. - Potem zobaczymy, czy warto darować ci życie.

Mac nie miała wątpliwości, że mówił serio. Już po wszystkim, pomyślała z ulgą. Jeszcze przed wieczorem odzyska Heather.

ROZDZIAŁ 15

W pokoju panował półmrok.

Chłopiec wpatrywał się w Cade'a szeroko otwartymi, pełnymi przerażenia oczami. Siedział skulony na sofie, jakby chciał się wtopić w czarne skórzane poduchy.

Cade patrzył na niego i czuł, że zaraz pęknie mu serce. Dziecko, którego tak uporczywie poszukiwał przez te wszystkie lata, nie pamiętało własnego ojca. Mało tego, Cade wzbudzał w nim lęk.

Chciał podbiec do chłopca, chwycić go w objęcia i przytulić do piersi - zamiast tego, zadając sobie gwałt, zrobił krok w stronę sofy i osunął się na kolana. Darin jeszcze głębiej wcisnął się w poduszki.

- Co oni ci zrobili, Darin? - W sercu Cade'a radość mieszała się z furją.

W oczach chłopca, prócz lęku, pojawiło się zmieszanie. Potrząsnął ciemną główką.

- Nie jestem Darin. Nie ma Darina. Teraz jest Jeremy. Nazywam się Jeremy.

Mac ze współczuciem pokręciła głową.

Tuliła małą Heather i nic nie było w stanie oderwać jej od siostrzenicy. Kiedy weszła do pokoju w innej części domu, gdzie przetrzymywano Heather, dziewczynka z miejsca ją rozpoznała. Dlatego nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, jak by się poczuła, gdyby dziecko na jej widok zareagowało strachem.

Położyła Cade'owi rękę na ramieniu.

- On się ciebie boi, Cade.

- Myślisz, że tego nie widzę? - burknął, a potem poczerwieniał. - Przepraszam - powiedział.

Nie musiał przeproszać. Doskonale go rozumiała. Pomyślała, że ojcu i synowi potrzebny jest jakiś bodziec, który obudziłby nie do końca uśpioną pamięć dziecka.

- Może gdybyś z nim porozmawiał o czymś, co robiliście razem...

Cade rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie jakieś fragmenty ich wspólnego życia, zanim zostali rozdzieleni. Czy Darin będzie to pamiętał? Wciąż klęczał przy sofie, na poziomie oczu chłopca. Zachowywał się tak, jakby zapomniał o

obecności Mac i Redhawka, którzy stali nad nim i ze współczuciem przyglądali się jego desperackim usiłowaniom. Nawet gdyby pokój był pełen ludzi, nie miałyby to dla niego żadnego znaczenia, Liczył się tylko syn, którego tak naprawdę jeszcze nie odzyskał.

- Darin, pamiętasz, jak zawsze w sobotę rano oglądaliśmy kreskówki?

Ciemne oczy wpatrywały się nieruchomo w jakiś punkt ponad jego ramieniem.

- Jeremy.

Cade'owi zachciało się płakać.

- Jeremy - powtórzył, choć imię to z trudem przechodziło mu przez gardło.

Pomyślał chwilę. - Przypominasz sobie psa? Nazywał się Spotty. - Był to ulubiony filmowy bohater chłopca. Cade nadal trzymał w domu kasety z filmami, które Darin tak lubił oglądać. - Kupiłem ci kiedyś pluszowego Spotty'ego. Wszędzie go ze sobą zabierałeś. Nie pamiętasz? - mówił coraz głośniej, próbując przełamać tę niewidzialną barierę, oddzielającą go od synka. - Raz go zgubiłeś. Szukaliśmy go wtedy przez cały dzień w domu i ogrodzie. A tymczasem on był przez cały czas w garażu!

Chłopiec wciąż siedział z kamienną twarzą i patrzył przed siebie martwym wzrokiem. Nic. Ani śladu porozumienia. Cade pojął, że nie udało mu się dotrzeć do Darina. Co to za rozpacz, odnaleźć po latach ukochane dziecko i przekonać się, że jest się dla niego obcym. Co oni zrobili jego synowi?

Mac i Redhawk wymienili spojrzenia. Redhawk potrząsnął głową. Sam był ojcem, dlatego głęboko przeżywał to, czego właśnie był świadkiem.

- Spróbuj z ulubioną bajeczką - szeptem podpowiedziała Mac.

Cade zaczerpnął tchu.

- On nie miał jakiejś ulubionej bajki. Lubił wszystko, co mu czytałem.

Mac pomyślała o zabawach z Heather.

- A może jakaś piosenka? - powiedziała. - Miał jakąś ulubioną piosenkę? Co mu najczęściej śpiewałeś?

Cade już miał powiedzieć, że nic, ale nagle coś mu się przypomniało.

- Ach tak, była taka piosenka, „Ja i mój cień”. Darin zawsze chodził za mną jak cień i któregoś dnia sam ułożyłem dla niego tę piosenkę. Śpiewaliśmy ją przez cały czas.

Kiedy Cade wymienił tytuł, w oczach chłopca na ułamek sekundy pojawił się jakiś błysk.

- Spróbuj. Spróbuj mu to zaśpiewać.

Miał wrażenie, że w płucach zabrakło mu powietrza. Ledwo słyszalne słowa z trudem przebijały się przez gardło, ściśnięte od powstrzymywanych łez. Miał poczucie totalnej klęski. Przy trzeciej zwrotce zrezygnował. Na twarzy Darina nie pojawiła się żadna oznaka, że cokolwiek sobie przypomniał.

Cade odwrócił się i spojrzał na Mac i Redhawka.

- Myślę, że to potrwa znacznie dłużej niż...

W tym momencie rozległ się cichy, poważny głosik. Chłopiec podjął przerwana piosenkę.

Cade zamarł na ułamek sekundy, a potem ogarnęła go ogromna radość.

- Więc jednak pamiętasz! - Zerwał się na nogi i chwycił Darina w objęcia. Po policzkach polaty mu się łzy. Wszystko będzie dobrze. Jego syn nareszcie do niego wrócił. - Pamiętasz!

Ukrył twarz w zagłębieniu szyi synka i tulił go do siebie, wdychając słodki zapach jego skóry.

Mac nawet nie próbowała ukryć łez.

Darin w pierwszej chwili próbował się wyrwać, ale zaraz potem jego drobne ciało się odprężyło. Chłopczyk mocno przytulił się do ojca.

- Czemu płaczesz, tatusiu?

Tatusiu. Najśłodsze słowo, jakie kiedykolwiek słyszał. Cade podniósł głowę i spojrzał na synka.

- Bo jestem taki szczęśliwy - powiedział, całując jego poważną buzię.

Darin, zdezorientowany, spojrzał na Mac. Nie mogła się powstrzymać, pogłaskała go po ciemnej główce.

- Jak będziesz dorosły, zrozumiesz - powiedziała. - Możesz mi wierzyć.

Chłopiec patrzył na nią przez chwilę, jakby próbował ją umiejscowić.

- Czy ty jesteś moją mamą? - zapytał z powagą.

- Nie - odparła i nagle uświadomiła sobie, że chciałaby nią zostać. Chciałaby być mamą Darina i żoną Cade'a. Czyżby wreszcie dojrzała do tego, żeby kogoś pokochać? Nie potrafiła sobie na to pytanie odpowiedzieć.

- Przepraszam, panie poruczniku. - Jeden z policjantów wsunął głowę do pokoju. - Jest nam pan na chwilę potrzebny.

Redhawk, głęboko poruszony tym, czego był świadkiem, odkrzyknął:

- Zaraz przyjdę! - Podszedł do Darina i pogłaskał go po głowie. - Ludzie będą wam bardzo wdzięczni. Odnaleźliśmy akta ponad stu dzieci adoptowanych w mocno podejrzanych okolicznościach. O ile nam na razie wiadomo, organizacja prowadziła studia fotograficzne w Kalifornii, Arizonie i Nevadzie. Rodzice przyprawiali tam swoje dzieci, żeby im zrobić zdjęcia, niczego nie podejrzewając, a pracownicy atelier pokazywali później fotografie Lambertowi, który razem ze swoim partnerem dokonywał wyboru. Wtedy do akcji wkraczali porywacze. Adresy i potrzebne informacje dostawali od fotografów. Czeka nas jeszcze dużo pracy, ale kiedy już będzie po wszystkim, wiele rodzin będzie mogło nareszcie odetchnąć. - Spojrzał na Mac i Cade'a. - Mogę coś jeszcze dla was zrobić? Była tylko jedna rzecz, o której oboje marzyli.

- Czy ktoś mógłby nas zawieźć na lotnisko? - zapytał Cade. Spojrzał na Mac. Skinęła głową.

- Tak, chcemy jak najprędzej jechać do domu.

W obliczu tego, czego udało im się dokonać, była to bardzo skromna prośba. Redhawk pomyślał, że spełni ją z najwyższą przyjemnością.

- Załatwione - powiedział z szerokim uśmiechem.

Wiadomość o rozbiciu szajki handlującej dziećmi w tajemniczy sposób wyprzedziła Mac i Cade'a.

Kiedy ich samolot wylądował na lotnisku Johna Wayne'a, w hali przylotów czekał już tłum przedstawicieli prasy i telewizji. Mac i Cade wyszli za bramkę i usiłowali przedostać się do windy, która zwiózłaby ich na parter. Wtedy otoczyły ich kamery i mikrofony, a dziennikarze zasypali gradem pytań.

Mac tuliła do siebie drżącą Heather. Dziewczynka była przerażona. Darin trzymał kurczowo Cade'a za rękę. Cade próbował osłonić ich wszystkich, ale nie na wiele się to zdało.

- Jak to możliwe, że tak szybko się dowiedzieli?! - zawołał, próbując przekrzyczeć tłum. Wiedział z doświadczenia, że tego typu sprawy zawsze znajdują się w centrum uwagi, a jednak nie był przygotowany na tak natychmiastową reakcję. Marzył tylko o jednym - żeby jak najszybciej znaleźć się z synem w domu.

- Ktoś z mojej rodziny musiał się wygadać - powiedziała Mac. To ona zadzwoniła do matki z telefonu komórkowego, jeszcze zanim wsiedli do samolotu. Chciała, żeby jej rodzina przestała się niepotrzebnie zamartwiać. Chodziło jej zwłaszcza o Moirę. Rodzice obiecali jej pełną dyskrecję i z pewnością nie powiadomili nikogo, natomiast bracia - to już inna sprawa. Danny i Randy uznali zapewne, że należy się ze wszystkimi podzielić taką radosną wiadomością.

Mac zadzwoniła także w jeszcze jedno miejsce, ale była przekonana, że z tej strony nie nastąpił żaden przeciek.

Cade zaśmiał się ironicznie. Otaczający ich tłum gęstniał z minuty na minutę.

- Na to wygląda.

Z tłumu wyłowił znajomą twarz. To Ben Underwood. Za Benem pojawili się Sam i Rusty. Nim Cade się zorientował, jego współpracownicy z agencji utworzyli wokół nich zwarty krąg. Nigdy ich widok nie ucieszył go tak jak właśnie teraz.

Megan radośnie cmoknęła go w policzek.

- Pomyśleliśmy sobie, że trzeba ci pospieszyć na pomoc - powiedziała. - Witaj w domu, tatusiu. - Uśmiechnęła się do chłopca, którego Cade wziął na rękę. - Miło cię widzieć, Darinie Townsend. - Nagle coś sobie przypomniała. Sięgnęła do torby i podała Darinowi dużego, pluszowego psa.

Na widok zabawki chłopcu zaświeciły się oczy. Chwycił psa i mocno go przytulił.

- Spotty!

Cade zaniemówił. Poczł niewymowną wdzięczność.

- Skąd wiedziałaś...

- To nie był mój pomysł - wyjaśniła Megan. - Mac do mnie zadzwoniła. Mówiła, że powinieneś mieć jeszcze gdzieś w domu tego psa. Prosiła, żebym spróbowała go odszukać i przywiozła na lotnisko. - Spojrzała z uśmiechem na Darina. - Wygląda na to, że miała rację.

A więc to Mac ich wezwała. I to również Mac, chociaż spieszo jej było spotkać się z własną rodziną, pomyślała o tym, żeby pomóc mu odbudować więź z synkiem. Nie wiedząc, co powiedzieć, spojrzał na nią przez ramię i ograniczył się do krótkiego:

- Dzięki.

Jej uśmiech świadczył o tym, że go rozumiała. Zaraz potem, mimo chroniącego ich żywego muru, osaczyli ich dziennikarze.

- Hej, Cade, tylko parę słów... - błagał reporter telewizyjnych wiadomości.

Pomyślał, że do tej pory media mu sprzyjały. Chociaż bardzo chciał pojechać z synem do domu, uznał, że jest im coś winien. Swego czasu jego historia trafiła na pierwsze strony gazet, a potem gazety zamieszczały informacje o kolejnych etapach poszukiwań. I to właśnie za pośrednictwem prasy trafiali do niego ludzie, którym był w stanie pomóc. W tym również Mac. Dlatego nie mógł teraz odmówić dziennikarzom. To byłoby nie fair.

Przystanął i rozejrzał się wokół. Twarze zlewały mu się w jedną zamazaną plamę. Uśmiechnął się do stojącego najbliżej reportera i nachylił do mikrofonu.

- Chętnie powiem parę słów. Wygląda na to, że moja agencja nareszcie osiągnęła stuprocentową skuteczność.

Mac bardzo chciała zostać z Cade'em. Posłuchać, jak rozmawia z dziennikarzami; patrzeć na jego błyszczące radością oczy i rozpromienioną twarz. To była chwila jego triumfu i uczciwie sobie na nią zapracował. Ten człowiek przeszedł przez piekło i nie tylko z niego wrócił, ale udało mu się jeszcze pokonać szatana.

Coś w głębi duszy podpowiadało jej, że po raz ostatni są tak blisko siebie.

Dlatego tak bardzo chciała być z nim bodaj przez chwilę.

Musiała jednak spełnić do końca daną siostrze obietnicę - osobiście zwrócić jej dziecko.

Rodzina na nią czekała.

Skinęła z wdzięcznością do Megan.

- Dzięki - szepnęła.

Megan dała bratu znak, że wychodzi z Mac i Heather. Rusty pokiwał głową i przybliżył się do Cade'a, odgradzając go od tłumu swoją masywną postacią.

Idąc za Megan, Mac odwróciła się do Cade'a i powiedziała:

- Do zobaczenia. - Wiedziała, że jej nie widzi i nie słyszy. Był zbyt zaaferowany.

Od dwóch tygodni Mac nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Można by pomyśleć, że kiedy wreszcie przywiozła Heather do domu i oddała ją Moirze, gdy wszystko się uspokoiło, jej życie powinno wrócić do normy.

Tak się jednak nie stało.

Niepokój, który towarzyszył jej podczas prób odzyskania Heather, a także podczas wędrówek w głąb samej siebie, wciąż jej nie opuszczał. I rzucał cień na każdy jej krok.

A Cade jak nie dzwonił, tak nie dzwonił. W końcu sama chciała się do niego odezwać, ale zabrakło jej odwagi. To nie do niej powinien należeć kolejny krok. Choć uważała się za osobę silną, nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak przyjęłaby wiadomość, że to, co zaszło między nimi, było po prostu „przygodą, jakich wiele”.

Nie wiedziała, co ma z sobą począć. Co robić dalej z własnym życiem? Przeszłość nie dawała jej spokoju. Atakowała ją, prześladowała, spędzała sen z powiek. I powstrzymywała od dalszego działania. Nawet w pracy nie znajdowała ukojenia. Musiała zdawać szczegółową relację z tych dramatycznych dni wszystkim bez wyjątku rodzicom małych pacjentów. Dlatego, między innymi, tak trudno było jej o tym wszystkim zapomnieć.

Po powrocie do domu wysłała Cade'owi czek, opiewający na umówioną kwotę, do której dołączyła darowiznę na rzecz agencji. Zrobiłaby to, nawet gdyby ojciec i bracia nie dali jej na to pieniędzy. Wiedziała, że Cade zamierza nadal prowadzić agencję. Powiedział jej to w samolocie, przed powrotem do domu. Firma tego typu, zajmująca się poszukiwaniem zaginionych i uprowadzonych dzieci, nadal była bardzo potrzebna.

To samo przeczytała któregoś dnia w gazecie. Ostatnio wszelkie informacje na temat Cade'a czerpała wyłącznie z prasy i z telewizji.

Prawdę mówiąc, nie miała podstaw, żeby spodziewać się jego telefonu. Przebyli razem pewną część drogi, to wszystko. Przez ten krótki czas stanowili naprawdę zgrany zespół, ale ich wspólna podróż dobiegła końca i każde z nich musiało pójść w swoją stronę.

Nakładając biały kitel, pomyślała z żalem, że chociaż jej trudno się z tym pogodzić, Cade, jak widać, nie miał najmniejszych problemów. Gdyby było inaczej, próbowałby przynajmniej do niej zadzwonić. Bóg jeden wie, ile razy przeszłuchiwała automatyczną sekretarkę w nadziei, że zastanie jakąś wiadomość.

Ale ani jego numer się nie zarejestrował, ani jego głos się nie nagrał.

W końcu doszła do wniosku, że widocznie zapragnął odciąć się od przeszłości, czyli również od niej. Czy mogła mieć o to do niego pretensje?

Zgnębiona pchnęła ruchome ramię fotela tak mocno, że nieszczęsny mebel aż jęknął.

Zresztą, jakie to ma znaczenie, czy będzie go obwiniać, czy nie? Cade nie pojawił się w jej życiu z wyboru, a ona nie zamierzała robić z siebie idiotki. Nie będzie mu się naprzykrzać, chociaż tak bardzo chciałaby się z nim zobaczyć. Pewnie ma teraz i bez niej wystarczająco zapełnione życie.

Tymczasem jej życie stało się przeraźliwie puste, chociaż chwyciła się rozmaitych zajęć.

Dobrze jej tak. Sama jest sobie winna. Powinna była wiedzieć, że naraża się na wielkie ryzyko. Na własnej skórze doświadcza jego skutków. Cóż, trzeba skupić się na pracy, a z czasem, być może, uda jej się o wszystkim zapomnieć.

Tylko jak długo to potrwa?

Kiedy nie miała swoich pacjentów, przyjmowała w gabinecie ojca i brata. I tak miało być, dopóki nie odzyska spokoju.

Rodzina szybko wyczuła, że coś niedobrego się z nią dzieje, dlatego i brat, i ojciec podsyłali jej pacjentów, mając nadzieję, że to mordercze tempo pomoże jej odzyskać równowagę.

Niestety, zamiast czuć się coraz lepiej, czuła się coraz gorzej. Z czasem pojawiło się też zmęczenie. I nie chodziło o to, że zatraciła jasność myśli czy zdolność osądu, tylko po prostu poczuła się jak żołnierz na pierwszej linii frontu, który zaczyna odczuwać długotrwałe skutki boju.

A przecież wojna dawno już się skończyła.

Spróbowała sobie przypomnieć, jaki to dzień. Wtorek? A może czwartek? Wszystkie dni tygodnia zlały jej się w jedną całość. Nienawidziła tego uczucia. I tego smutku, który wciąż jej towarzyszył. Kiedy to się wreszcie skończy?

Pomasowała sobie skronie, żeby odpędzić migrenę, która znowu dawała o sobie znać. Walczyła z nią bezskutecznie od dwóch tygodni.

A może powinna wziąć jeszcze dwie tabletki aspiryny? Ostatnio zażywała ich tyle, że wystarczyłoby dla całego Los Angeles. Niestety, ta kuracja okazała się bezskuteczna. Jedyne lekarstwo, jakie jej pozostało, to czas.

Choć i to nie jest takie pewne.

Angie, jej asystentka, zajrzała do gabinetu.

- Głowa do góry, pani doktor. Mamy nowego pacjenta.

Następne dziecko, które będzie musiała do siebie przekonać. Wizyty u dentysty to nie to samo co wyprawa do Disneylandu.

W zwykłych okolicznościach uważała to za miłe wyzwanie, ale dziś nie miała już ochoty na nic takiego.

Niestety, nie mogła podesłać małego pacjenta ojcu, który jako jedyny dentysta prócz niej pełnił dyżur tego ranka. Miał w sobie coś onieśmielającego, co sprawiało, że dzieci się go bały.

Skinęła głową i sięgnęła po nowe gumowe rękawiczki.

- Przyślij go do gabinetu. Angie wręczyła jej nową kartę.

Mac znużonym gestem odwróciła kartę, żeby przeczytać nazwisko, wypisane na drugiej stronie. Przeczytała raz, gwałtownie zamrugała oczami, po czym raz jeszcze przeczytała, żeby się upewnić, iż wzrok jej nie myli. To nie mógł być zwykły zbieg okoliczności. Spojrzała na asystentkę.

- Czy to jakiś żart?

Ale to nie Angie odpowiedziała, tylko stojący za nią ciemnowłosy mężczyzna.

- Bynajmniej. Jesteśmy poważnie zainteresowani leczeniem naszych zębów, prawda? - zwrócił się do chłopczyka, którego trzymał za rękę.

Darin poważnie pokiwał głową, a potem rzucił się do Mac. Objął ją w pasie i ukrył twarz w białym fartuchu, gdzieś na wysokości jej biodra. Jako dziecko z natury pogodne i śmiałe, poczynił olbrzymie postępy w ciągu ostatnich dwóch tygodni. A z Mac zaczął nawiązywać nieśmiały kontakt już w trakcie lotu z Phoenix.

Teraz spojrzał z uśmiechem w górę.

- Cześć, Mac. Czy to będzie bolało?

Pogłaskała chłopca po głowie i spojrzała na jego ojca. Czowała się okropnie i tak też pewnie wyglądała. On za to prezentował się doskonale. Pomyślała, że to nie fair.

- Czy to ma być mój nowy pacjent?

Przez minione dwa tygodnie Cade próbował zapomnieć o Mac. Niestety, bez skutku. Wprawdzie odzyskał już syna, czyli miał cel w życiu, jednak z głęboką konsternacją stwierdził, że mu to przestało wystarczać, że potrzebował czegoś więcej. A konkretnie McKayli.

Patrzył jej teraz w oczy, nie wiedząc, od czego zacząć. Jak jej powiedzieć, co czuł przez cały ten czas?

- Przyjmujesz dzieci w swoim gabinecie, prawda? - zapytał w końcu.

- Tak.

Cade wskazał na Darina, który wciąż tulił się do Mac. Pomyślał, że wyglądają jak matka i syn. To umacniało go tylko w jego postanowieniu.

- No to on chyba jest w sam raz.

- Tak. - Spojrzała na chłopca. - Nie bój się, Darin. To nie będzie bolało. Ani trochę. Mogę ci to obiecać.

Pomyślała, że musi skoncentrować się na chłopcu i zapewnić mu maksimum komfortu. Podniosła go i posadziła na fotelu. W pierwszej chwili nie mogła sobie przypomnieć, co ma robić dalej. Potem sięgnęła po aparat fotograficzny, prezent od Moiry z okazji dyplomu.

Wycelowała obiektyw w Darina.

- Uśmiechnij się. - Była to zupełnie zbędna komenda, bo chłopiec i bez tego uśmiechał się od ucha do ucha. Pstryknęła dwa razy.

W chwilę później polaroid wypluł dwa zdjęcia. Jedno podała Cade'owi.

- Weź je sobie do domu, na pamiątkę pierwszej wizyty Darina u dentysty.

Cade zauważył, że drugie zachowała dla siebie. Pomyślał, że to miłe z jej strony. Darin wyciągnął rękę po fotografię. Patrzył szeroko otwartymi oczyma, jak z kliszy zaczyna się wyłaniać jego twarz. Zrobiło to na nim wielkie wrażenie.

- Zapamiętam tę wizytę i bez fotografii - powiedział Cade do Mac. - Jeżeli już o tym mówimy, to wolałbym raczej zabrać do domu panią dentystkę.

Jako lekarka wiedziała, że to absolutnie niemożliwe, mimo to gotowa była przysiąc, że serce zamarło jej w piersi. Kiedy znowu doszła do siebie, wskazała na stojące w rogu gabinetu wideo, z włączonym filmem dla dzieci.

- Usiądź tam na chwilkę i pooglądaj sobie film, Darin. Muszę porozmawiać z twoim tatusiem.

Cade wyszedł za nią do sąsiedniego pokoju.

- To zabrzmiało dość groźnie.

Odwróciła się i zmierzyła go palącym spojrzeniem. Kiedy się odezwała, głos jej drżał.

- Bo jestem na ciebie wściekła. Przez dwa tygodnie nie pofatygowałeś się, żeby do mnie zadzwonić, a teraz przychodzisz sobie jakby nigdy nic, jakby nic się nie stało...

- Bardzo dużo się stało - przerwał jej ze spokojem, nie chcąc, by do reszty straciła panowanie nad sobą. - W tym cały problem. Musiałem sobie to wszystko przemyśleć. - Słowa nie układały mu się tak gładko, jak by sobie tego życzył. Musiał zdać się na Mac i ufać, że zechce go zrozumieć. - Po śmierci żony przysięgłem sobie, że nigdy więcej nikogo nie pokocham. Łatwo mi przyszło dochować przysięgi, bo coś we mnie umarło razem z Elaine. - Patrząc Mac w oczy, pomyślał o tym, jak się kochali. Nagle zapragnął to powtórzyć. I to niejeden raz. Chciał się zatracić w jej sile i wrażliwości. - Tak mi się przynajmniej wydawało, póki ty się nie pojawiłaś. I póki nie obudziłaś tej strony mojej natury, którą dawno uważałem za umarłą.

- Ale dlaczego nie zadzwoniłaś?

Czuł, że to zabrzmiało dziwnie, niemniej jednak była to prawda.

- Właśnie dlatego. Próbowałem sobie wmówić, że była to tylko chwilowa reakcja na pewną dramatyczną sytuację, a później radość wywołaną odnalezieniem Darina. W obliczu tylu przeżyć łatwo stracić obiektywizm. Ale ja straciłem coś więcej.

- Zapragnął dotknąć Mac, wziąć ją w ramiona. Stał jednak bez ruchu i tylko patrzył jej w oczy. - Straciłem serce - dodał i nie mógł już dłużej się powstrzymać. Delikatnie dotknął policzka Mac. - Czy ci się to podoba, czy nie, jestem w tobie zakochany, McKaylo.

Przez ostatnie dwa tygodnie obdarzała go w myślach najgorszymi epitetami. Teraz, za żadne skarby, nie potrafiła sobie przypomnieć ani jednego.

- To mi się podoba, nawet bardzo - powiedziała cicho. Cade odetchnął z ulgą, a potem wziął ją w ramiona.

- To dobrze. Może wobec tego druga część mojego planu także ci się spodoba.

- Jaka znowu druga część?

Był pewny, że potrafi uczynić ją szczęśliwą. Chciał spędzić resztę życia, dając jej szczęście.

- Wyjdź za mnie.

Musiała się chyba przestyszeć. Jeden rzut oka na jego skupioną twarz upewnił ją, że dobrze słyszała. Cade jej się oświadczył.

- Tak po prostu?

- Nie, nie tak po prostu. Najpierw musimy złożyć papiery, zrobić badanie krwi...

- Zaraz, zaraz... - nie dała mu skończyć. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że to nie żarty.

- Mówisz serio?

Cade uśmiechnął się z powagą i musnął włosy Mac. Boże, jak strasznie za nią tęsknił. Tak bardzo, że nawet teraz, kiedy trzymał ją w ramionach, czuł się obolały.

- Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej serio. Mac nagle osłabła, jakby uszły z niej wszystkie siły.

- Ale... tak szybko?

- Dopiero co oskarżałaś mnie o to, że do ciebie nie dzwoniłem. A teraz, kiedy już się zdecydowałem, jestem, twoim zdaniem, za szybki. Zdecyduj się, McKaylo. Albo tak, albo siak.

Puls gwałtownie jej podskoczył. Krew zaczęła żywiej krążyć w całym ciele.

- A co powinnam wybrać? Nachylił się i musnął ustami jej wargi.

- Mam nadzieję, że mnie.

- A mam jakiś inny wybór? - Kiedy spojrzał na nią z niepokojem, roześmiała się, a potem pocałowała go w usta. - Jasne, że za ciebie wyjdę! - Na widok malującego się w jego wzroku pytania, dodała miękko: - I oczywiście kocham cię, Cadzie Townsendzie.

Wyglądało na to, że nareszcie, po tak długim czasie, życie zaczęło mu się od nowa układać pomyślnie. Cade nie bardzo mógł w to uwierzyć.

- Już na zawsze będziemy razem?

Wspięła się na palce i zarzuciła mu ręce na szyję. Wiedziała, że Angie ich podgląda, ale jej to nie przeszkadzało. I tak wkrótce wszyscy się dowiedzą.

- Na zawsze, a nawet jeszcze dłużej - odparła.

Cade uśmiechnął się i mocno ją przytulił. Za plecami usłyszał; jak Darin zaśmiewa się z czegoś, co właśnie działo się na ekranie. Od tego śmiechu zrobiło mu się ciepło na sercu.

- Czy to znaczy, że Darin może odtąd liczyć na bezpłatną opiekę stomatologiczną?

- Tylko wtedy, kiedy nie będę zbyt zajęta jego ojcem.

- Rozumiem. Może wobec tego powinniśmy mu załatwić innego dentystę.

Przynajmniej na pierwsze sto lat.

Spojrzała na niego i z zawiedzioną miną zapytała:

- Tylko na pierwsze sto lat?

- Poczekajmy te sto lat, a potem się zobaczy.

- Zgoda, umowa stoi - szepnęła, a potem przycisnęła usta do jego warg.

EPILOG

Obie ręce, Darin. Trzymaj się obiema rękami.

Cade patrzył uważnie, jak jego syn znika mu z oczu, podczas gdy karuzela wiruje, a drewniane konie kołyszają się przy dźwiękach wesołej muzyki. Wstrzymał oddech i odetchnął dopiero w chwili, gdy jego synek wyłonił się z drugiej strony na karym koniku, tym razem posłusznie trzymając lejce obiema rękami.

Z początku myślał, że dobrze byłoby to jeszcze trochę odłożyć, nieco poczekać. Minął już jednak rok, a poza tym zawsze uważał, że w którymś momencie trzeba jednak stawić czoło demonom, inaczej człowiek nigdy się od nich nie uwolni. Powrót do wesołego miasteczka, z którego Darin został uprowadzony, miał być terapią dla nich obu. Musiał tylko pamiętać, że ma się odprężyć. Jakkolwiek by było, Darin obchodził dziś swoje siódme urodziny.

Patrząc na syna, pomyślał, że Darin znacznie lepiej radzi sobie z przeszłością.

- Nie jesteś trochę nadopiekuńczy? - Mac spróbowała go objąć i przytulić.

Ostatnio nie było to takie łatwe. Jej zaokrąglony brzusek z tymczasowym lokatorem coraz bardziej im przeszkadzał.

Cade cicho się roześmiał. Nie chciał krępować Darina. Kiedy on sam był w tym wieku, strasznie się wstydził, gdy rodzice go pilnowali.

- Masz rację. To przecież duży chłopak. Ma sześć... nie, siedem lat! Muszę o tym pamiętać.

Mac w zadumie pokiwała głową.

- Potem będzie miał osiem lat, a potem dziewięć...

- No, nie tak szybko, przestań mnie popędzać. - Cade uniósł rękę, jakby chciał zatrzymać czas. - Nie wszystko naraz, moja droga.

Od jakiegoś czasu coraz trudniej było jej znaleźć wygodną pozycję. Spróbowała oprzeć się o Cade'a. Zasłaniając obronnym gestem brzuch, zapytała:

- Czy tak zamierzasz traktować naszą Bernice - albo Horatia - kiedy już będzie na tym świecie?

Na dźwięk tych wyszukanych imion, które rzuciła jakby od niechcenia, Cade aż się wzdrygnął. Robiła to przez ostatnie dziewięć miesięcy, próbując znaleźć takie, które najlepiej by jej pasowało. Ostatnio odnosił wrażenie, że jej propozycje stawały się coraz bardziej ekscentryczne. A może to on coraz bardziej dziwaczał?

- Owszem, jeżeli tak je nazwiesz. Bo jak się zawczasu nie zahartują, będą obrywać cięgi od wszystkich łobuzów z sąsiedztwa. - Popatrzył na Mac. - Powiedz mi prawdę, Mac, chyba nie traktujesz tego wszystkiego serio?

- Ciebie i Darina jak najbardziej serio. - Mac uśmiechnęła się. - A co do imion... no, możesz spróbować mnie przekupić.

Obejmując Mac ramieniem, przygarnął ją do siebie.

- A czym?

Mac zamyśliła się na chwilę.

- Poczekaj, muszę się zastanowić. - Spojrzała na niego rozpromienionym wzrokiem. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek była równie szczęśliwa, mimo iż od jakiegoś czasu nie widziała już nawet własnych stóp. - Takie to i twoje szczęście. Poślubiłeś przekupną kobietę.

- Tak. - Cade impulsywnie pocałował ją w skroń. - Takie to i moje szczęście - powtórzył. W dniu, w którym wkroczyła do jego biura, dokładnie rok temu, rzeczywiście przyniosła mu szczęście i odmieniła życie.

Karuzela zatrzymała się. Darin podbiegł do nich w podskokach.

- Widziałeś? Widziałeś mnie, tatusiu?

W ciągu ostatnich miesięcy chłopiec urósł o dobrych kilka centymetrów i zaokrąglił się na buzi. Zniknęło gdzieś to blade, wystraszone dziecko, które odnaleźli przed rokiem. Można było mieć nadzieję, że dramatyczne przeżycia nie pozostawiły trwałych śladów w jego psychice. Cade nachylił się, żeby uściskać syna, ale coś zatrzymało go w pół gestu. Darin uważał, że jest już za duży, żeby go pieścić publicznie, więc tylko rozwichrzył mu włosy.

- Nie spuszczałem z ciebie wzroku, stary.

Darin cofnął się i wpadł na Mac. Dziecko w jej brzuchu kopnęło mocno jak rasowy bramkarz.

- Au! - Darin odwrócił się i spojrzął na brzuch Mac. A potem zaczął sobie rozcierać bok. - Mamusiu, Humphrey mnie kopnął! - Darin od pierwszej chwili nazywał ją mamusią, sprawiając jej tym wielką przyjemność.

- Humphrey?! - powtórzył z niedowierzaniem Cade. - Jego też w to wciągnęłaś? Mac z uśmiechem objęła chłopca i dumnie uniosła głowę.

- Im więcej, tym lepiej. Darin podniósł na nią oczy.

- Czy jak dzidzius tak kopie, to znaczy, że chciałby już wyjść?

- O tak - skinęła głową. - Już niedługo.

Darin uśmiechnął się i rozpromienionym wzrokiem objął oboje rodziców.

- To najfajniejsze urodziny, jakie miałem.

Ze ściśniętym gardłem Cade wsunął się pomiędzy żonę i synka, objął ich oboje i przygarnął do siebie.

- Wiesz co, stary, właśnie pomyślałem sobie to samo.

